LEON WELICZKER



Brygada ŚMIERCI

LEON WELICZKER

BRYGADA ŚMIERCI

(SONDERKOMMANDO 1005)

PAMIĘTNIK

Digitized by Project Zikaron
Touro University-NY Libraries
www.zikaron.tourolib.org
2024

ŁÓDŹ 1946

Wydawnictwa
Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej
przy Centralnym Komitecie Żydów Polskich
Nr 8

Copyright by:
Centralna Żydowska Komisja Historyczna w Polsce
Łodz, Narutowicza 25

vDigitized by Project Zikaron
Touro University-NY Libraries
www.zikaron.tourolib.org
2024

Opracowała *Rachela Auerbach*
Okładkę projektował: *Jan Marcin Szancer*
Fotografia z archiwów C. Z. K. H. w Polsce
Szkic obozu w/g wskazówek autora wykonał *Ołomucki*

Odbito w Zakładach Graficznych W. I. N. W.

BRYGADA ŚMIERCI

Pamięci zamordowanych przez Niemców drogich Rodziców moich Abrahama i Chany, moich Braci Arona i Jakuba, moich Sióstr Elki, Racheli, Judyty i Biny oraz pamięci Nauczyciela mego inż. Rudolfa Ebera – książkę niniejszą poświęcam.

Autor

Przedmowa

W serii pamiętników, wydawanych przez Centralną Żydowską Komisję Historyczną, jako jeden z pierwszych ukazuje się pamiętnik młodego chłopca żydowskiego Leona Weliczkera p. t. „Brygada Śmierci". Swoją tragiczną Odysseję w Lwowskim ghetcie, w obozie oraz w drużynie robotników żydowskich zmuszonych przez Niemców do pracy przy wykopywaniu i paleniu zwłok celem zniszczenia śladów masowych zbrodni dokonanych na terenie Lwowa i okolicy — opowiada autor. Nam wypadnie skreślić pokrótce dzieje rękopisu, który oddajemy obecnie do druku.

W kilka dni po wyzwoleniu Lwowa przez Armię Czerwoną z końcem lipca 1944 r. opowiedział mi o nim po raz pierwszy adwokat lwowski Edward Kessler.

„Ostatnie miesiące pod okupacją niemiecką — opowiadał mi Kessler — przeżyłem w bunkrze wraz z młodym chłopcem, który ma niesamowite przeżycia i spisał z nich pamiętnik." Kessler przyrzekł mnie z nim skomunikować. Nazajutrz zgłosił się do mnie rosły młodzieniec, ubrany w łachmany, na wpół bosy, o ziemistej cerze bunkrowca. Lecz ten nędzarz z pozoru, był w istocie bogaty i świadom swego bogactwa. Z dumą pokazał mi swój skarb — zapiski z pobytu w ghetcie lwowskim, w obozie Janowskim i w „brygadzie śmierci" „Oto wszystko com uratował — rzekł mi po prostu — strzegłem tego, jak oka w głowie". Było to kilkanaście grubych zeszytów, szczelnie zapisanych niewprawną ręką. Początkowo pisał Weliczker swe notatki w obozie, ukradkiem. Uciekając z „brygady śmierci", zdołał zabrać ze sobą swe zapiski. Siedząc w bunkrze przez szereg miesięcy, uporządkował je i spisał w formie pamiętnika.

Po przeczytaniu tych kilkunastu, ołówkiem nagryzmolonych zeszytów, doszedłem do wniosku, że należy je jaknajrychlej przygotować do druku i wydać. Jako członek Komisji Historycznej Akademii Nauk we Lwowie otrzymałem polecenie

poczynienia wszystkich koniecznych redakcyjnych poprawek celem przygotowania rzeczy do opublikowania. Przyczyny natury technicznej — zniszczenie przez Niemców całego prawie przemysłu poligraficznego we Lwowie i elektrowni — uniemożliwiły natychmiastową realizację tego planu.

Tymczasem pamiętniki Weliczkera zostały oddane do dyspozycji Nadzwyczajnej Radzieckiej Komisji Śledczej dla badania zbrodni niemieckich we Lwowie. Komisja Śledcza, po sprawdzeniu danych, zawartych w pamiętnikach, uznała je za bardzo istotny materiał dowodowy. W urzędowym komunikacie Nadzwyczajnej Radzieckiej Komisji Śledczej o zbrodniach popełnionych na terytorium województwa lwowskiego (Moskiewska "Prawda" — Nr. 307, 23. XII. 1944 r.) szereg dat i cyfr opiera się na zeznaniach Weliczkera. Sam Weliczker, doskonale obznajmiony z topografią obozu Janowskiego, miejsc straceń w jarze obok obozu, w lesie Lesienickim, na Wólce i innych miejscach oddał Komisji Śledczej w czasie dochodzenia cenne usługi, jako przewodnik.

Za pracę swą Weliczker otrzymał oficjalne podziękowanie Nadzwyczajnej Radzieckiej Komisji Śledczej.

Dzięki wskazówkom Weliczkera wyjaśniono sprawę stracenia profesorów wyższych uczelni lwowskich — Bartla, Stożka, Ostrowskiego i i., zamordowanych przez Niemców w niespełna tydzień po zajęciu Lwowa, pogrzebanych przez nich przy ulicy Wuleckiej i spalonych w październiku 1943 przez brygadę śmierci. Dokładne okoliczności spalenia ich ciał zostały ustalone głównie na podstawie materiałów i wspomnień Weliczkera i opublikowane w prasie polskiej i rosyjskiej. (Por. art. Dr. Józefa Sieradzkiego: „Z każdym dniem umieraliśmy" Odrodzenie Nr. 47 Kraków 1945 r. oraz rec. w „Przeglądzie Zachodnim" Nr. 4/5 Poznań, 1945 str. 273) — W Moskwie znajduje się w przygotowaniu zbiorowa praca p. t. „Los uczonych jednego miasta", wydawana przez Komitet Radzieckich Uczonych pod redakcją Włodzimierza Biełajewa. W ramach tej publikacji zbiorowej przewidziany jest artykuł L. Weliczkera p. t. „Mogiła na Wólce".

Rękopis Weliczkera w międzyczasie uległ pewnej korekcie i został uzupełniony przez autora w miarę licznych rozmów, które przeprowadziliśmy z nim na temat jego przeżyć. Po repatriacji Weliczkera rękopis wraz z autorem znalazł się w Łodzi i tu nareszcie spełniło się jego przeznaczenie. Pamiętniki Weliczkera, dotyczące ghetta lwowskiego i obozu Janowskiego, zostały starannie przepisane, włączone do zbiorów archiwum CŻKH i stanowią wartościowe źródło dla historii

tego okresu. Trzecią, najcenniejszą część tych pamiętników p. t. „Brygada Śmierci" oddajemy obecnie w ręce czytelnika. Rękopis „Brygady Śmierci" został opracowany, zaopatrzony objaśnieniami i uwagami wstępnymi przez Rachelę Auerbach. W trosce o zachowanie charakterystycznych cech tego autentyku musiano literackie i stylistyczne opracowanie ograniczyć do minimum. Zasady tego opracowania i istotę przeprowadzonej korekty referuje Rachela Auerbach w swych uwagach wstępnych.

„Brygada Śmierci" nie jest jedynym utworem, który w ramach naszych wydawnictw ilustruje gehennę żydostwa lwowskiego. Ostatnio ukazały się w wydawnictwie Wojewódzkiej Żyd. Komisji Hist. w Krakowie wspomnienia Michała Borwicza o obozie Janowskim. W wydawnictwie CŻKH ukazała się również moja monografia p. t. „Zagłada Żydów Lwowskich",dająca zwięzłą historię obozu Janowskiego.

W przygotowaniu są ponadto pamiętniki 12-to letniej dziewczynki Janki H. z obozu Janowskiego (w opracowaniu Krakowskiego Oddziału CŻKH). O obozie Janowskim pisze również w swej monografii St. Szende: „The promise Hitler kept" – Londyn 1945 oraz J. Weinberg w broszurze p. t. „Tam gdzie śmierć była ulgą". Bibliografię innych pomniejszych rzeczy o obozie Janowskim znajdzie czytelnik we wzmiankowanej pracy „Zagłada Żydów Lwowskich".

Żadna z wyżej wspomianych prac nie uwzględnia szerzej tematu, o którym pisze Weliczker. Do bogatego katalogu zbrodni niemieckich dodaje rzecz Weliczkera rys mało znany dotąd z bezpośredniego przeżycia i obserwacji, a mianowicie: – metodyczne usuwanie śladów zbrodni oraz cały, oparty na tym osobliwy przemysł palenia trupów z jego metodami i techniką, z jego zwyczajami, z jego gwarą i słownictwem fachowym, jednym słowem cały przekrój życia tego nowego, dziwacznego środowiska.

Stąd wielkie dokumentaryczne znaczenie tej pracy zarówno dla współczesnego pokolenia, które było świadkiem i obiektem poczynań hitlerowskiego „Nowego Porządku", jak i dla sądu historii, która wyda wyrok na głównych sprawców i winowajców tej największej zbrodni w dziejach ludzkości.

Dr. FILIP FRIEDMAN

Uwagi wstępne

Jedną z głównych plag obozów niemieckich, mających jako główny lub uboczny cel wyniszczenia Żydów, były t.zw. selekcje.

Zawsze gotowe czekało na Żyda w pobliżu obozu takie lub inne, technicznie udoskonalone lub prymitywne, dyskretnie zamaskowane miejsce stracenia. Taki lub inny, wiecznie otwarty, czekał masowy dół. Nad dołem tym SS potrząsało rzeszotem o coraz większych okach i coraz mniej substancji ludzkiej ostawało się procesowi przesiewania. Aż wreszcie następował niechybny, oczekiwany z nieomylnym pesymizmem dzień „likwidacji" ostatecznej i wtedy całe rzeszoto obracane było dnem do góry. Poza „nielegalnymi" wyjątkami, które zeszły w podziemia „strony aryjskiej", z ghetta lub obozu nie pozostawało — nic.

O dłuższym utrzymaniu się na dnie rzeszota selekcyjnego decydowały rzekomo i niejako oficjalnie młodość, zdrowie, zdolność do pracy, oraz pewne określone, przydatne gospodarce lub celom wojennym Niemiec umiejętności fachowe. Wszystko to w istocie skuteczne niekiedy, ale tylko na czas pewien, dopóki nie następowało wyniszczenie organizmu z powodu niedożywienia i rabunkowego gospodarowania jego siłą roboczą. Nieoficjalnym współczynnikiem utrzymania się przy życiu były pieniądze lub inne walory, mające znaczenie zarówno jako okup dla różnych potentantów i pośredników, załatwiających zatrudnienie oraz coraz to nowe stemple i „numerki" niemieckich placówek pracy, jakoteż jako środek zaopatrywania się w niezbędną do uzupełnienia głodowych racji, przemycaną do obozu żywność. Jeszcze dalszym czynnikiem był kaprys przeprowadzającego selekcję zbira — „przypadek", „szczęście", „los".

O utrzymanie się na dnie tego wielkiego rzeszota śmierci, w którym znalazła się ludność żydowska pod niemiecką okupacją, decydowały jednak poza wymienionymi, obliczalnymi i nieobliczalnymi czynnikami bardziej zewnętrznymi — także czynniki wewnętrzne, psychiczne. Walory osobiste jednostki, jej zdolności, jej jakość moralna, jej doza żywotności. Przy współdziałaniu tych czynników warunki życia obozowego dokonywały wśród Żydów jeszcze jednej selekcji, która w różny sposób krzyżowała się lub biegła równolegle z selekcją dokonywaną przez Niemców.

Właściwości formalne funkcyj psychicznych, jako to tempo myślenia i wykonywania czynności, szybkość orientacji i decyzji, elastyczność w przystosowaniu się do coraz nowej sytuacji życiowej i ponadto odporność na zmęczenie jako też odporność na tragiczne wzruszenia. Zdolność przytępiania własnej wrażliwości i tłumienia reakcyj afektywnych. Wszystko to sprzyjało wytrzymałości jednostki wśród atakujących ją ze wszystkich stron niebezpieczeństw potwornej i groźnej karykatury bytowania, zowiącej się życiem obozu.

Kto umiał się ustrzec przed niebezpieczną formą katowania, kto umiał się dostatecznie „połapać" w charakterze i momentalnych nastrojach naganiacza, lub nawet — co gorsza — zyskać jego względy, albo też (bo i to w tych wyjałowionych ze wszelkich konwenansów ludzkich warunkach jednak bywało) jego mimowolny szacunek — żył do jakiegoś czasu.

Kiedyindziej znowu godna postawa, zbyt rzucające się w oczy zalety duchowe lub cielesne jednostki budziły zawiść władców obozu i przyśpieszały jeszcze jej zagładę.

Utrzymaniu się przy życiu sprzyjały też cechy moralne — negatywne. Kto nadał się do funkcji szpiega, denuncjatora, narzędzia ucisku i maltretowania współtowarzyszy, kto nadał się do takiej lub innej „kolaboracji", ten oszczędzany był przez jakiś czas, mając jednak również w perspektywie następujący w pewnym momencie akt likwidacji świadka i wspólnika zbrodni.

Stosunek między pozytywnymi cechami uzdolnień psychicznych i negatywnymi cechami postawy moralnej, a możnością utrzymania się przy życiu był następujący:

Oczywiście nie wszyscy ludzie, którzy powyżej wymienione cechy posiadali ostali się przy życiu. Nie ostało się ich może nawet dziesięć procent. Natomiast wszyscy ci, którzy się przy życiu utrzymali, cechy te lub ich część posiadać muszą. Mówi się, że wytrzymali i wyszli żywcem z rąk niemieckich ludzie podli lub wyjątkowo zdolni i żywotni. Faktycznie linia podziału nie przebiega tu tak jednoznacznie. Sama podłość nie wystarczy. Muszą jej towarzyszyć pewna sprawność, spryt itd.

I tak ci, którzy ocaleli, są to prawie w stu procentach ludzie dużych zalet funkcjonalnych, a dopiero pod względem swoich walorów moralno-społecznych rozpadają się na dwie kategorie:

Zdeprawowanych pod względem moralnym i moralnie zdrowych. Ta druga kategoria, zważywszy szkołę upodlenia, przez którą przeszli, nie poddając się jej pokusom ni presji — są to już jednak przeważnie ludzie o wartości etycznej zgoła nieprzeciętnej.

Spotkałam już cały szereg tego rodzaju ludzi żydowskich, którzy wyszli z bagna okupacji i teroru niemieckiego niezepsuci: jak dąb pod wodą zahartowani jeszcze, zwarci w sobie, uodpornieni przeciwko moralnemu rozkładowi. Jednym z tych ludzi jest Leon alias Arje Lejb Weliczker, autor niniejszych pamiętników.

Jak z autobiografii jego wynika, zdolność radzenia sobie w trudnym i niebezpiecznym położeniu występuje u niego w wysokim stopniu. Będąc wielokrotnie złapany przez Niemców, umie on im za każdym razem — uciec. Nawet, gdy stoi już rozebrany nad grobem w szeregu ludzi gotowych do rozstrzelania, w dodatku ciężko chory — nie daje on za wygraną. Nie rezygnuje z życia, nie poddaje się fatalizmowi grawitacji do zagłady, której tylu Żydów somnambulicznie ulegało. Próbuje się ratować i szczęście mu sprzyja.

Miałam okazję zapoznać się z pamiętnikiem Weliczkera dotyczącym jego pobytu w obozie Janowskim i na innych placówkach pracy. Wyuczył się on w tym okresie całego szeregu rzemiosł, umiał wybić się wśród współtowarzyszy. Znam też innych obozowców żydowskich, którzy wyuczyli się po kolei

różnych rzemiosł i sprawności swojej w tym rzemiośle zawdzięczali przez czas pewien swoje życie. Byłam raz obecna na posiedzeniu łódzkiego Oddziału Komisji Głównej Badania Zbrodni Niemieckich przy przesłuchaniu pary polskich obozowców— b. więźnia Buchenwald'u i b. więźniarki Ravensbrücken. Oboje byli przed wojną skromnymi pracownikami biurowymi, młodymi ludźmi, ale jaką inteligencję, sprawność umysłową i rzeczowość ujawnili oni chociażby w swych sprawozdaniach. W obozach ich trzeba było pracować po kilkanaście godzin dziennie w tempie przyspieszonym. Wszystko robiono biegiem, przy bardzo napiętej uwadze. I ich system nerwowy to wytrzymał, odnośne funkcje ich nabrały wprawy. Były to przejawy wybitnych walorów aparatu psychicznego, który w obliczu konieczności życiowej potrafił podołać wygórowanym do maksimum wymogom czynnościowym. U innych ludzi, którzy wyszli zwycięsko z egzaminu niemieckiej okupacji, rzuca się w oczy nieprzeciętna odwaga i taka zdolność ryzyka i szybkiej decyzji, o jaką by ich w normalnych czasach nikt nie posądził.

Równocześnie występuje u ludzi tych zdolność jaknajbardziej celowego akomodowania swoich afektów, zdolność unikania tego wszystkiego, co mogłoby spowodować t.zw. załamanie psychiczne.

Gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka Weliczker liczył lat piętnaście. Był najstarszym synem wśród siedmiorga dzieci. Prócz nauki szkolnej pobierał przez dwa lata naukę w jeszybocie lwowskim p.n. Tiferet Jisroel („Ozdoba Izraela"). W tradycji rodzinnej żywa była pamięć i splendor dziadka, wybitnego talmudysty, reb Josla Mojszy Reissa z Krystynopola. Po ukończeniu szkoły powszechnej oddano Lonka do gimnazjum handlowego, gdzie miał się sposobić do zawodu księgowego.

Straszliwe nieszczęście, które się zwaliło na Żydów lwowskich z wkroczeniem Niemców, wymaga odeń jednak kwalifikacji zgoła innych, niż te, których się żąda od pomocnika handlowego. I Weliczker kwalifikacje te szybko zdobywa. O wiele szybciej i sprawniej od niejednego ze starszych, od własnego swego ojca, uczy się sprostać wymogom sytuacji. Ten młodo-

ciany, ledwo z okresu pubertacji się wygrzebujący chłopak, ileż wykazuje rzutkości, ile, rzekłabym, dojrzałości życiowej!

Grunt, to jednak jego dojrzałość moralna.

Po przeróżnych perypetiach, pozostawszy sam jeden z całej rodziny, Weliczker wcielony zostaje w czerwcu 1943 roku do t.zw. brygady śmierci, figurującej w ewidencji niemieckiej pod sygnaturą Sonderkommando 1005, a mającej za zadanie oczyszczenie okręgu lwowskiego z masowych grobów, spalenie znajdujących się w nich dziesiątków tysięcy trupów i zatarcie wszelkich śladów, dokonywanych od dwu lat na tym terenie mordów.

W towarzystwie rej wodzących w brygadzie zawodowych złodziei i rzezimieszków z pl. Solskich we Lwowie, w atmosferze jakże dosłownej bliskości grobu, mając jako wychowawców i przewodników życiowych, obrabiających jego duszę kazaniami i przykładami bestialstwa, patentowanyh zbirów słynnej lwowskiej szkoły katów obozowych, młody chłopak chroni czule w swym sercu wyniesione z domu maksymy moralne, każde słowo zasłyszane z ust matki. Pławiąc się w straszliwej, niezniszczalnej tęsknocie za utraconym życiem rodzinnym, idealizuje je we wspomnieniu i snach, jak potrafi tylko ból nienasyconego, niewyżytego dzieciństwa: wyobraźnia przedwczesnego sieroctwa. W tęsknocie i idealizacji tej znajduje on skuteczny pancerz przeciwko napierającej nań zewsząd podłości.

Dwa wyrażenia Weliczkera zafrapowały mnie podczas moich z nim rozmów. Razu pewnego opowiadając mi o jednym z typów żydowskich pracujących „na piaskach", scharakteryzował go w sensie negatywnym tymi słowami: „brzydko się wyrażał o trupach". — I kiedyż to — pomyślałam — zdążyłeś się nauczyć tego, że o trupach nie należy się brzydko wyrażać? Innym razem mówił o pewnym łotrze, ocalałym z brygady śmierci, który dawał się w obozie we znaki kolegom, „sypał", katował, wydawał na śmierć i w pełni zasłużyłby na stryczek, gdyby obecnie złożyć nań doniesienie do władzy. Weliczker spotkał go po wyzwoleniu, jednakże zameldowania nie złożył.

— „Nie wolno mi było tego zrobić — oświadczył w rozmowie ze mną. — Tamten ma żonę i dwoje dzieci"... Identyczny skrupuł wyraził jeden z byłych więźniów Treblinki w sto-

sunku do pewnego gajowego, który ma na sumieniu ograbienie i wydanie w ręce Niemców wielu zbiegów z Treblinki. Jest to — obstrahując od jego problematyczności w tym wypadku — skrupuł etyczny typowo żydowski.

Jako najwyższą mądrość życiową i dostojeństwo osobiste w czasach chaosu i podłości pielęgnuje Weliczker w swym stosunku do ludzi zasady żydowskiej etyki ludowej. Uczucia dla rodziców, obowiązki względem młodszych braci, względem chorych towarzyszy, pełna litości kontemplacja męki ofiar zbiorowych egzekucyj, których autor był świadkiem — przemawiają z kart jego pamiętników niesfałszowaną mową uczciwego serca i szlachetnych instynktów społecznych.

Wiele naiwnych refleksji jego, zahaczających o ten temat, zmuszona byłam wykreślić. Inne pozostawiłam w pierwotnej, niezaradnej ich postaci, aby świadczyły o wzniosłej postawie moralnej młodego Żyda, stanowiącej najcenniejsze dziedzictwo i własność jego uratowaną z zagłady.

Ileż to dóbr takich zmarnowanych i zniszczonych zostało bezpowrotnie w masowych dołach, gdzie legły miliony ludzi!

W opracowaniu pierwotnego tekstu pamiętników Weliczkera niejedno musiałam skreślić. Mając na oku to, że obok innych funkcji, mają one też spełnić funkcję lektury zdatnej do czytania, zmuszona byłam do licznych zmian. Polegały one w pierwszym rzędzie na usunięciu powtórzeń i dłużyzn nieistotnych, po wtóre na poprawkach języka i stylu, który w swej surowej, z żydowska zaprawionej lwowszczyźnie byłby dla większości czytelników niestrawny. Należało się liczyć z tym, że wartość tego autentyku, jakkolwiek stanowi on bezsprzecznie cenny materiał dla badań psychologii młodzieży, polega w pierwszym rzędzie nie na jego indywidualnych właściwościach stylistycznych i językowych, ani na specyficznych ciekawostkach psychologicznych, tylko na jego związku z odzwierciadloną w nim „epoką", na jego stosunku do rzeczywistości, stworzonej przez Niemców na zajętych przez nich terenach. Na zawartych w nim opisach zbrodni.

Na wiarygodnym świadectwie masowych mordów.

Na precyzyjnym, dokładnym, niemożliwym w swym realiźmie do sfingowania opisie bądź to dokonywanych w bezpośredniej bliskości autora masowych egzekucyj, bądź to zacierania śladów przestępstw — opróżniania mogił i palenia trupów — w którym sam brał udział.

Dokumentaryczna wartość pamiętników Weliczkera polega tedy na dwu momentach:

1) Na faktografii ogólnej wytępienia Żydów lwowskich, a częściowo też i mordów dokonanych na Polakach.)*

2) Na opisach form życia i pracy, stworzonych przez Niemców dla robotników żydowskich. Na przedstawieniu dziejów pewnej brygady roboczej nie gorszej, raczej lepszej pod względem traktowania i wyżywienia robotników — aniżeli inne niemieckie zespoły pracy — ale jakże mimo to zdumiewającej, jeśli chodzi o dawne, niehitlerowskie, choćby najbardziej tyrańskie formy stosunków międzyludzkich.

Mamy przed sobą obraz całkowitego przewartościowania wszelkich wartości, wszelkich ludzkich konwencyj.

Kiedy zabija się z wyroku sądu zbrodniarza — po nieudanej egzekucji — kara powieszenia zostaje mu zamieniona na karę dożywotniego więzienia. Nie uznaje jednak procedury tej kat niemiecki, mordujący niewinnych ludzi. Niedostrzeleni Żydzi zasypani zostają żywcem, lub spaleni żywcem na stosie, na równi z martwymi. Weliczker opisuje, jak żydowska obsługa próbuje ratować po egzekucjach tego rodzaju „żywe trupy", zabierając dla nich w kieszeni kombinezonów roboczych pieniądze i kostki cukru i pozostawiając na noc na placu ubranie i obuwie, dla ułatwienia im ucieczki. Już znalezienie czegokolwiek w kieszeni robotnika groziło kulą, „nie mówiąc o tym, coby im się dostało za zbrodnię ratowania ludzi". Kula oczywiście także tu jeszcze nie jest rzeczą najgorszą.

Mimowolny być może sarkazm przytoczonego powiedzenia jest sarkazmem wielkiej mocy. Dla autora powiedzenie takie jest prostym, nawet nie specjalnie zaakcentowanym okre-

**) Mord elitarny z dnia 4 lipca 1941 na prof. Bartlu i towarzyszach, których zwłoki uczestnicy „brygady śmierci" zidentyfikowali po wykopaniu ich na rozkaz Niemców z ukrytej pod plantacją buraków mogiły. (Porówn. objaśnienia Nr 99).*

śleniem znanych mu stosunków. Czytając jego opisy trzeba dopiero gwałtem, na chwilę bodaj odzyskać dawne nawyki w ocenie zjawisk, ten „dystans", któryby nam pozwolił ujrzeć fenomeny te we właściwym świetle.

Nie wiadomo bowiem człowiekowi, omroczonemu sugestią w prymitywny sposób, jako coś zupełnie naturalnego i zwykłego przedstawionej rzeczywistości, jak ma te zjawiska zdefiniować.

Nie wiadomo, czy są one w tej dla katów zarówno jak dla ofiar naiwnej poniekąd, samo przez się zrozumiałej powszedniości bardziej zdumiewające, czy bardziej potworne.

Charakterystyczne niezmiernie są wysiłki pewnych zbirów niemieckich pogodzenia swoich funkcyj katowskich z normalnym samopoczuciem przyzwoitego człowieka. Przerzucenia mostu między potworną robotą, a konwenansem czystego sumienia poczciwego filistra. Arcycennym przyczynkiem do analizy tej znanej i skądinąd postawy psychicznej przeciętnych ludzi niemieckich, urobionych na niebezpieczne bestie, na pełnych zimnej krwi funkcjonariuszy niemieckiej machiny morderczej — są pod tym względem często cytowane przez Weliczkera przemówienia szefa brygady śmierci — Untersturmführera Scherlacka.

W pracach Michała Borwicza o obozie Janowskim jest mowa o tym, jak oprawcy zapewniają wciąż, że są „dobrzy". Wedle relacji Weliczkera o tym samym obozie były skrzypek kawiarniany Ślązak Rokita, rekordowy strzelec do żywych celów, świadczy na przemian dobro i zło więźniom obozu i tłumaczy im po pijanemu, że im nic złego nie życzy, ale swoje robić musi. „Ich bin doch SS-mann, ich muss schiessen" — jest SS-manem więc strzelać musi. Dowódca brygady śmierci dochodzi do coraz większej zażyłości z robotnikami żydowskimi, na których patrzy bez nienawiści, jak dobry gospodarz na bydło wchodzące w skład jego żywego inwentarza. Dba o nich, o ich higienę i wyżywienie. W celu zaopatrzenia ich w odzież sprowadza od czasu do czasu dla „likwidacji" tę lub inną placówkę żydowską z miasta i darowuje swoim robotnikom, zdjętą na rozkaz przed zastrzeleniem garderobę i obuwie innych Ży-

dów. Tłumaczy im nawet w lirycznym podchmieleniu, że ostatecznie cała trupia robota wygrzebywania i palenia trupów dawnych, papranie się w gnijących zwłokach, łącznie z zabijaniem i paleniem trupów świeżych nie jest rzeczą przyjemną — ale cóż robić,! Wszyscy wykonywują rozkaz. Zarówno on, jak i jego podwładni. W ten sposób wszystko razem wzięte stanowi harmonijną całość. Grunt to, aby człowiek był uczciwy i miał nieobciążone sumienie.

„Nur anständig und sauber" — tylko czysto a przyzwoicie — i wszystko będzie w porządeczku.

Od czasu do czasu z takiej lub innej przyczyny trzeba kropnąć kilku robotników, np. dać żydom poglądową lekcję nieuciekania albo wyekspediować tego lub owego na ogień z powodu choroby, co się tu wielce dowcipnie nazywa wysyłaniem do Krankenhausu, czyli do szpitala. Ale to ogólnej harmonii ani pogody ducha Untersturmführera nie zakłóca. Jedyną troską, która go trapi jest — orkiestra. Ambicją jego jest zainstalować wreszcie w swoim miniaturowym obozie orkiestrę taką samą, jak posiadają wielkie, prawdziwe obozy. Z urlopu przywozi dla swojej brygady w prezencie instrumenty muzyczne, skrzypce, harmonię. Korzysta z okazji, by spośród ludzkich odpadków obozu Janowskiego wyłowić sobie paru muzykusów. I w końcu postawił na swoim. Już brygada jego śpiewa wychodząc do pracy, już wyprowadza ją kapela stającą do apelu, już wita ją powracającą z roboty. Na jesieni zanosi się na likwidację reszty żydów janowskiego obozu, ale brygada Scherlacka ma jeszcze na długi czas roboty poddostatkiem. Wyrobił sobie pierwszorzędną markę. Liczy na to, że po obrobieniu Lwowa, wyjedzie jeszcze na prowincję. (Aby tylko nie na front!). „Mamy jeszcze roboty na 100 lat" — powtarza wciąż. Sam cieszy się i chce, aby się cieszyli „jego" żydzi.

Spośród nieużytków ludzkich, przeznaczonych na stracenie można sobie wybrać co się chce. Dodać do kapeli grabarzy jeszcze paru dobrych wirtuozów. Ongi znanych artystów estradowych. Obecnie „szmelc". Scherlackowy żywy inwentarz.

Tylko, że żydzi nie umieją się odwdzięczyć za tyle dbałości o ich rozrywki. Wieczorami część słucha muzyki, część śpie-

wa i tańczy, ale wszystko tylko w tym celu, aby zamaskować odbywające się potajemne narady nad ucieczką. — W końcu dochodzi ona do skutku. Część Żydów się ratuje, większa część ginie, ale ginie też trochę Niemców. Untersturmführer musiał być szczerze oburzony na taki obrót sprawy. Czyż nie stworzył dla nich idealnych warunków bytowania aż do samej śmierci? Co za lekkomyślna banda! Dokąd pognali, skoro u niego było im tak dobrze?!

Weliczkera nie stać na komentarze lub na świadome zamierzenia literackie i może dlatego właśnie codzienne to, usankcjonowane już przyzwyczajeniem potoczne szataństwo zaprowadzonych przez Niemców porządków ludzkich, działa tak wstrząsająco. Dlatego właśnie ujawnia tak bezpośrednio przedziwny i przepotworny świat rzeczywistości stworzonej przez Niemców.

Nazwaliśmy utwór jego pamiętnikiem.

Powstał on częściowo z notatek zapisanych podczas pobytu w brygadzie, częściowo z rekonstrukcji pamięciowej. Jak wyjaśnia Weliczker, w drugiej fazie istnienia brygady, gdy przeniosła się ona z „Piasków" do Lasu Krzywickiego, pełnił on funkcje porządkowego i poniekąd magazyniera. Pozostawał więc w baraku, gdy inni wychodzili do roboty i miał możność notowania ważniejszych wydarzeń. Papier i ołówek posiadał, przechowując te przybory do użytku rachmistrza, zapisującego przy stosie ilość spalonych trupów. Notatki swe wyniósł przy ucieczce wraz z pieniędzmi, które sobie naszykował był przed wypadem.

Co skłoniło Weliczkera do notowania wydarzeń i przechowywania notatek? Co go skłoniło następnie do spisania pamiętnika, gdy znalazł się w kryjówce, w domu polskiego gospodarza, a jeszcze później do szukania drogi dla publikacji swych wspomnień, do służenia Sowieckiej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich za gorliwego przewodnika i pomocnika na terenie lwowskim?

Sądzę, że poza występującą często w tym wieku skłonnością do prowadzenia notatek, do pisania dzienników, powodował Weliczkerem w pierwszym rzędzie naturalny instynkt

*Żyda, który uważa za swój obowiązek narodowy, jako jeden z nielicznych ocalałych świadków, dokonać oskarżenia zbrodniarzy niemieckich o straszliwy gwałt i krzywdę wyrządzoną swemu narodowi. Weliczker cytuje nawet sam pewnego obozowca, który nie chcąc probować ucieczki, do której się szykowali inni, zdecydowany pozostać na miejscu i zginąć — przy pożegnaniu w krytyczną noc życzy uciekającym powodzenia i zaleca im w razie ocalenia, „opowiedzieć światu, co widzieli". *)*

Spotykamy się bardzo często z oświadczeniem uratowanych Żydów, że sensem i celem ich ocalenia jest oskarżenie i zemsta nad Niemcami.

Nie jest to pusty frazes. U Weliczkera świadomość i uczucia narodowe, na równi z uczuciami rodzinnymi jako też religijnymi są bardzo rozwinięte.

Prócz notatek posługiwał się Weliczker własną pamięcią i to świeżą, spisując swe wspomnienia w głównych zarysach już w r. 1943. Warunki pamięciowe posiada on wyjątkowo sprzyjające. Przeprowadzone z nim rozmowy i badania ujawniły zachowanie jeszcze częściowo przez niego właściwej dzieciństwu i rzadko tylko występującej w wieku dojrzałym t.zw. pamięci eidetycznej.

Weliczker widzi dokładnie i umie dowolnie odtworzyć w pamięci raz widziane obrazy. Widzi cyfry i słowa raz ujrzane na papierze.

Posiada on również szczególne uzdolnienie do matematyki. Podręczniki matematyczne „czyta" i w ten sposób przyswaja sobie bez większego wysiłku ich treść.

W opracowaniu moim starałam się jak najmniej naruszyć tekst oryginału. Zmieniałam tylko to, co uważałam za najniezbędniejsze.

Poza poprzednio wymienionymi poprawkami i skrótami, dokonałam też pewnych przestawień, podzieliłam nierozczłonkowany rękopis na rozdziały, zaopatrując je w pochodzące ode mnie podtytuły, które dają w przybliżeniu dyspozycję treści.

*) por. str. 120-121

Rozdziały te, stanowiąc często połączenie treści dość luźne, zawierają przeważnie tylko etapy chronologiczne toku wydarzeń, a jedynie niektóre z nich traktują o jednolitych zjawiskach. Używany przez autora w opisach czas teraźniejszy, mimo, że pochodzą one przeważnie z retrospekcji, pozostawiłam ze względu na to, że ożywia trochę monotonię stylu.

Zwracam uwagę czytelnika na dramatyczność niektórych scen, na charakterystyczny opis „wykończenia" „morowca" i siłacza Lufki, który ośmielił się chcieć posiadać „Na piaskach" coś własnego. Z jaką wyrazistością przemawia w swej prostocie opowiadanie o jego kaźni!

Wpleciony tu i ówdzie występuje niekiedy także motyw przyrody. Raz jest to nękający deszczyk, który kropi bez końca i podkreśla bezradne wyczekiwanie przez grupę obozowców niewiadomego losu. Innym razem wspomina Weliczker o księżycu odbijającym się w kałużach wybojów na gościńcu, którym kroczą dwaj bezdomni nie wiedzący dokąd się udać zbiegowie: jak uciec śledzącym ich z coraz to innej strony. Opis przyrody pojawia się tu w momencie, w którym się samorzutnie nasuwa. Podobnie bywa u Weliczkera i u innych naiwnych, literacko niewyrobionych autorów wojennych wspomnień także — z metaforą. Nadchodzi taki moment narracji, w którym odczuwają jej konieczność i dają ją pierwszą lepszą, banalną albo i fałszywą, ale czynią to w tym miejscu, które jej naprawdę wymaga. Bdajby pisarze zawodowi byli tak oszczędni z tym elementem. Lektura primitywów tego rodzaju może być bardzo pouczająca, jeśli chodzi o genetykę, że tak powiem, zjawisk literackich.

Zwracam też uwagę czytelnika na element humoru i ironii pełnej nienawiści tam, gdzie Weliczker wprowadza przemówienie Untersturmführera, bolesnej tam, gdzie mówi o niezdolności do ryzyka, do odruchów oporu u ofiar, które bezpośrednio w obliczu śmierci wciąż jeszcze jakoby się wahają przed czymś, jakoby oczekują czegoś...

Na taki jeden natrafiłam w pamiętniku Weliczkera ustęp, którego doprawdy mógłby się nie powstydzić niejeden dobry pisarz. Jest to na str. 101 i 102 opis powtórnego złapania zbiegłego w nocy z miejsca egzekucji „żywego trupa".

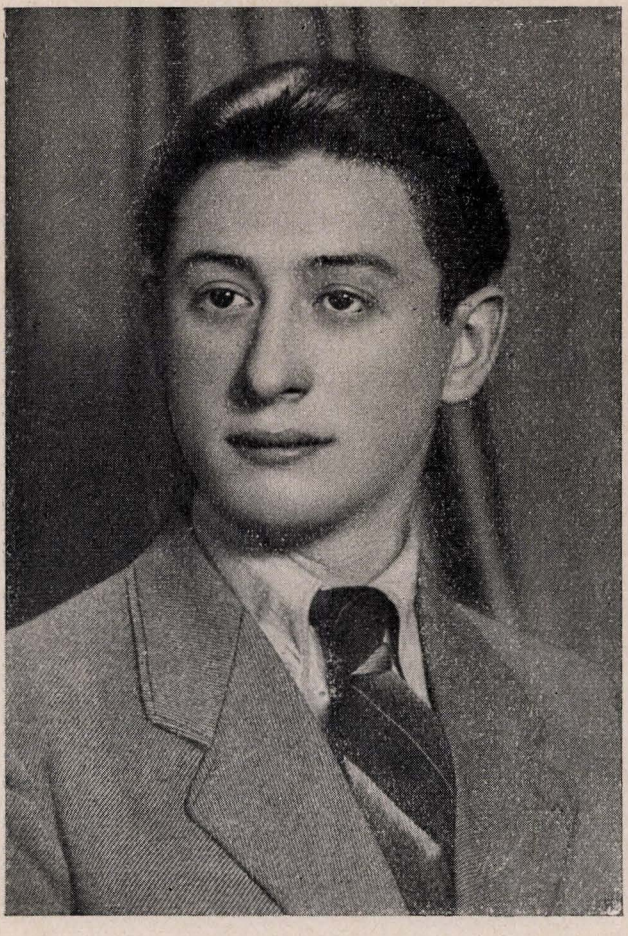
Niemniej zaznaczyć muszę, że mimo wszelkich poprawek całość posiada niewątpliwie niejedno niedociągnięcie.

Na dalszy retusz tej rzeczy nie pozwala jednak zarówno chęć możliwie wiernego zachowania charakteru oryginału, jak i chęć oddania jej jak najprędzej do rąk czytelnika.

Niech idzie w świat! Niech służy prawdzie o Niemcach!

Rachela Auerbach.

Łódź, dnia 8 lutego 1946 r.



Leon Wehczker

Mój Życiorys

Urodziłem się 10-go marca 1925 r. w Stojanowie w województwie lwowskim. W roku 1931 rodzice moi zapisali mnie do szkoły. W r. 1933 przenieśliśmy się do Lwowa, gdzie dalej uczęszczałem do szkoły. W r. 1938 ukończyłem 7-mio klasową szkołę powszechną i wstąpiłem do Gimnazjum Kupieckiego. Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Lwowa uczęszczałem do tej samej szkoły. W roku 1940 przeszedłem do szkoły ogólnokształcącej i w r. 1941 zdałem egzamin wstępny na politechnikę. Studia moje przerwał wybuch wojny niemiecko-sowieckiej.

Po wkroczeniu Niemców do Lwowa zostaję 2-go lipca aresztowany. Przez trzy dni przebywam w więzieniu bez jedzenia, nawet bez kropli wody. Biją mnie strasznie, podobnie zresztą, jak siedzących wraz ze mną 5.000 Żydów. W piątek 4-go lipca większość aresztowanych rozstrzeliwują, a ja i jeszcze kilku wieczorem uciekamy. W sobotę, 5-go lipca na wpół żywy leżę schowany w domu. W niedzielę, dnia 6-go lipca odbywa się w naszym domu rewizja, mnie znajdują Ukraińcy i zabierają na Żołkiewską rogatkę do roboty. Było nas tam stu. Osiemdziesięciu ośmiu z powodu tortur zmarło na miejscu, a dwunastu wróciło do domu. Byliśmy na wpół żywi. Jeden prowadził drugiego pod ramię. W tym to dniu, kiedy jeszcze większość Żydów nie wiedziała o tych strasznych rzeczach, kiedy jeszcze miałem całą rodzinę, marzeniem moim było, żeby mnie rozstrzelali bez męki.

Tydzień odpoczywam w ukryciu. Po tygodniu zostaję ponownie aresztowany, ale w drodze do więzienia uciekam. Teraz odpoczywam przez 5 tygodni. Dnia 27. sierpnia, w dniu „rocznicy Petlury“ [1]) przychodzą do nas do domu z listą, na której jest nazwisko mojego ojca z rozkazem aresztowania go.

Ojciec mój leży chory. Ma odbite płuca. Zbili go 3-go lipca, kiedy ja byłem aresztowany. Poszedł do mnie do więzienia, złapali go i strasznie zbili. Zgłosiłem się na miejsce mego ojca. W tym to dniu zostało zabitych ponad 1.000 osób, a ja znów uciekłem. Kiedy organizują pierwszy, najstraszniejszy obóz na terenie Wschodniej Galicji we Lwowie przy ulicy Janowskiej, znowu przychodzą wziąć mego ojca. Zgłaszam się po raz drugi zamiast ojca i zabierają mnie do obozu. W obozie Janowskim jestem do dnia 8. czerwca 1942 r. Dnia 5. czerwca zachorowałem na tyfus i dwustronne zapalenie płuc. Dnia 8. czerwca biorą mnie wraz z 180 ludźmi na rozstrzelanie. Kopię sobie sam przy 41 stopniach gorączki, nago, grób. Już rozstrzeliwują ludzi z naszej grupy i kolejka prawie już dochodzi do mnie, jednakże uciekam i na wpół nagi w krótkich plażówkach docieram do domu. Leżę trzy tygodnie nieprzytomny. Gdy wracam do przytomności, żegnam się z rodzicami i rodzeństwem — cały dom płacze — odchodzę do lasu. Jestem na Wołyniu przy „Judenfrei"[2]). W grudniu tego roku dowiedziałem się, że matka i cztery siostry zostały zabite. Mówię sobie: „co będzie z ojcem i dwoma braćmi, to będzie i ze mną". Wracam do Lwowa.

We Lwowie jest już ghetto. Nie znam adresu moich. W tym też dniu jest „akcja obozowa" i odrazu zostaję zabrany do obozu. W obozie jestem jeden dzień i uciekam. Kręcę się po ghetcie i widzę zdaleka, jak biegnie ktoś, niby cień mego brata. Dopadam do niego. Jest to mój najmłodszy brat. Prowadzi mnie do domu. Ojca już od czterech tygodni nie ma, zostałem tylko z dwoma braćmi, z których jeden ma lat 12 a drugi 14. W „ghetcie" akcja za akcją, poświadczenie pracy kosztuje tysiące, a ja dziękuję Bogu, kiedy mogę bodaj grosz zarobić czy to rąbaniem drzewa, czy inną pracą, aby mieć na kawałek suchego chleba dla mnie i dla moich braci. Nareszcie dostaję zupełnie bezpłatnie poświadczenie pracy. Bracia moi przechodzą tyfus i czerwonkę, ja ich trzymam w ukryciu, bo kto jest chory w ghetcie na tyfus, biorą go do szpitala, a ze szpitala nago wywożą na rozstrzelanie. Także po wyzdrowieniu aż do likwidacji ghetta trzymam braci w ukryciu, ponieważ ten co nie pracuje, zostaje też rozstrzelany, nawet dzieci.

Przy likwidacji ghetta wraz ze wszystkimi żydami zabierają mnie z dwoma braćmi „na piaski".

Było to 3. czerwca 1943 r. Jeden brat podczas próby ucieczki zostaje zastrzelony koło drutów tego placu, na którym jesteśmy zebrani. Ja z drugim bratem zgłaszamy się sami na śmierć, ale mnie oddzielają od niego. Jego posyłają na śmierć, a mnie do obozu. W obozie jestem do 15. czerwca 1943 r. Od 15. czerwca do 20. listopada jestem w „brygadzie śmierci". 20. listopada 1943 r. uciekam z tej strasznej brygady i przebywam w ukryciu do 27. lipca 1944 r. t. zn. do przyjścia Armii Czerwonej do Lwowa.

Wychodzę na świat już wolny. Ale nieszczęście moje teraz właśnie poczułem w całej pełni. Nie mam dokąd pójść, nikogo nie mam na świecie, nikogo nie znam, grosza nie mam przy duszy. Nawet stać na nogach nie mogę, gdyż po 8-miu miesiącach siedzenia bez ruchu w ukryciu i wilgoci, dostałem osłabienia mięśni. Nareszcie po całodziennym błąkaniu się po ulicach miasta decyduję się pójść do naszego mieszkania, w którym mieszkaliśmy do 1942 r. Idę tam. W mieszkaniu naszym mieszka pewien szewc, Polak, który mieszkał przed wojną naprzeciwko naszej kamienicy. Oddaje mi jeden pokój. Byłem w mieszkaniu tym przez dwa dni. Dłużej zostać tam nie mogłem, gdyż stale miałem obraz mej tragedii przed oczyma. Mieszkania nie mam, więc przez kilka nocy śpię na schodach w różnych kamienicach, aż wreszcie zapoznaję się z pewnym chłopcem żydowskim z Charkowa i razem obejmujemy mieszkanie w centrum miasta. Od tego czasu postanowiłem nigdy już nie iść do tej dzielnicy, gdzie mieszkałem wraz z rodzicami. Jest to dla mnie zanadto bolesne.

W jakiś czas później zacząłem pracować jako buchalter w Zarządzie Odbudowy Lwowskich Warsztatów Kolejowych.

W sierpniu 1945 r. jako polski repatriant opuściłem Lwów i przeniosłem się na Śląsk, do miasta Gliwice.

Leon Weliczker.

Rozdział I.

OSTATNI DZIEŃ W OBOZIE.

15 czerwca 1943 r.

Dzień zaczyna się, jak zwykle. O godzinie 4-tej nad ranem pobudka, prędkie ubieranie się, wypychanie się z baraku poprzez tłumy obdartych i wynędzniałych obozowców. Każdy spieszy się, bo wnet apel. Po drodze słychać zewsząd różne głosy: „Komu smarować, komu? Za jeden złoty. Gorąca kawa, cukier, masło, kiełbasa, ćwierć chleba, porcja chleba". Z powodu braku pieniędzy u obozowych konsumentów sprzedawcy — niebogatsi zresztą od kupujących — sprzedają chleb porcjami dziesięciodekagramowymi. Ten system sprzedaży odpowiada zarówno kupującym, którzy nie mogą sobie pozwolić na więcej niż jedną porcję za dwa złote, jak i sprzedającym, których kapitał z reguły nie przekracza możności kupna jednego bochenka, kosztującego 18 złotych. Z zysku zatem ze sprzedaży może sprzedawca osiągnąć dla siebie dziesięciodekową porcję t.j. tyle, ile wynosi racja chleba, otrzymywana przez obozowca na cały dzień.

Wspólnie z innymi śpieszę załatwić, co potrzeba. W klozecie uformował się wielki ogonek. Przy drzwiach zamieszanie, że ani wejść, ani wyjść. Nareszcie dostaję się do środka. Tu bałagan jeszcze większy niż u wejścia. Słychać krzyki: „nie oblewaj mnie, nie przewracaj mnie". Za kawałek papieru można otrzymać miejsce do siadania, oczywiście w kucki, gdyż inaczej siadać tu wogóle nie można.

Koło każdego chwilowego właściciela miejsca stoi ogonek. Każdy z wyczekujących swej kolejki trzyma spodnie w rękach. Kłócą się, kto pierwszy przyszedł. Wszyscy, jak jeden, krzyczą na tego, który się załatwia: „no, prędzej! Dokończysz później przy pracy!" Niejeden próbuje nawet groźba: „jeżeli ty się natychmiast nie podniesiesz, to cię wsadzę". Drugi grozi siedzącemu, że go oblejе, jeżeli natychmiast nie ustąpi. Pierwszy, który stał w kolejce szykuje się do zajęcia miejsca, ale niestety, ni stąd ni z owąd wyrasta ktoś nowy: „dam kawał

papieru i puść mnie na swoje miejsce". Ten zgadza się, zaczynają się nowe kłótnie i groźby. Okazuje się, że ten nowy jest bardziej morowy od tamtych. Nie pomagają żadne prośby, żadne groźby. Nie boi się oblania, ani wsadzenia go do kału. Mówi, że dziękowałby Bogu, gdyby go zostawiono w spokoju, jak ten kał.

Nareszcie wysuwam się z klozetu i spiesznym krokiem przepycham się przez tłum do „Waschraumu"[3]). I tu zastaję wielki bałagan. Za kilka groszy kupić można menażkę wody u wynędzniałego obozowca, który wepchnął sie do środka i nabrał menażkę wody, ale nie może sobie pozwolić na jej zużycie, gdyż musi z czegoś żyć. Z 10-cio dekagramowej porcji chleba i jednego litra wodnistej zupy z trzema krupami nie może się wyżywić, a kapitału żadnego nie posiada. W dodatku pracuje w brygadzie lagrowej.[4]) Gdy ma dobry dzień i uda mu sie nabrać pięć lub sześć razy wody oraz dostać na tę wodę odbiorców, to zarobi na 10-dekową porcję chleba.

Kupuję sobie menażkę wody i myje się. Po obmyciu kupuję za pół złotego porcję kawy. O wzięciu kawy w kolejce nie ma mowy, bo z tego biedacy obozowi ciągną swoje marne zyski. Przechodząc zresztą koło kuchni, możesz się narazić na gumowe pałki Lagerpolicyst'ów,[5]) którzy myślą, że również idziesz „na grandę" i kilka razy pchasz się po kawę.

Teraz biegne poszukać brygadiera, żeby mi dał moją porcję chleba, gdyż pobiera on chleb dla całej brygady. Brygadiera zastaje na placu apelowym, gdzie zaczynają się już formować piątki. Każda brygada ma swoje stałe miejsce. Służba porządkowa i „Lagerpolicyści" z pałkami gumowymi w ręku spędzają już ludzi na apel.

„Panie brygadierze proszę o mój fasunek chleba".

„Tyś jeszcze nie wziął?" — pyta mnie brygadier i spogląda na kawałek papieru, gdzie zapisuje kto dostał chleb, bo niektórzy lubią go w błąd wprowadzać i brać porcje po dwa razy.

Staje odrazu w mojej piątce i zabieram się do jedzenia. Nie zdążyłem jeszcze ugryźć kesa, a już zauważył to jakiś biedny obozowiec i nie zważając na to, że ustawiają się do apelu, przybiega do mnie i prosi bym mu również pozwolił ugryźć kawałek chleba.

Wreszcie jesteśmy ustawieni do apelu. Na podwórzu obozowym zalega grobowa cisza. Na wielkim placu stoimy w piątkach, brygadami w formie prostokata, w którym brak jednego boku. Każda brygada ma swoje stałe miejsce. Stoimy zwróceni

twarzami naprzeciwko siebie. Po prawej stronie każdej brygady stoi osobno jeden obozowiec z żółtą, niebieską, czerwoną albo białą opaską na lewym ramieniu. Jest to brygadier. Z twarzy i ubrania można mniej więcej poznać przy jakiej pracy dana brygada jest zatrudniona. Np. pracownicy „Ostbahnu" t. zn. ci, którzy pracują na kolei noszą przeważnie czarne, wysmarowane sadzą „ferszalungi"[6]) i są bardzo wymizerowani. Praca jest tam ciężka i przy tym bardzo biją. Handlować tam bardzo trudno, tak, że nie ma z czego żyć. Inna brygada jest porządniej ubrana, bo pracuje w mieście w jakiejś dobrej firmie. Niecierpliwie oczekujemy chwili opuszczenia lagru na cały dzień.

Za bramą zaczyna grać muzyka.[7]) Kapela składa się z sześćdziesięciu ludzi. Każdy z nas chciałby już jak najprędzej znaleźć się po tamtej stronie „bramy śmierci".[8]) Wiemy, że przy jej przejściu niejednemu z nas dziś, jak codzień, muzyka odegra „tango śmierci".

Nareszcie brama otwiera się i wchodzą trzej SS-owcy. Na lewym ramieniu M.P.[9]) w prawej ręce nahajka, a koło nich kroczy wielki pies.

Rozlega się komenda: „Achtung, Mützen ab".[10])

Wszyscy, jak jeden mąż zdejmują prawa ręką czapkę. Każdy wstrzymuje oddech, każdy czeka na nadejście rozkazu. Każdy ma przestraszoną twarz, bo w razie jakiegoś drobnego uchybienia lub nieprzewidzianego kaprysu mordercy mogą zastrzelić kilkudziesięciu, albo nawet kilkuset ludzi.

Nagle słychać komendę: „Nieder".[11])

Każdy jak stał, pada w miejscu. Powtarza się to kilkanaście razy. Później następuje chwila przerwy i słychać wezwanie dla pierwszej brygady do wyjścia. Za nią kroczy brygada druga, trzecia itd.

Każdy czeka z niecierpliwością i chciałby już bramę mieć poza sobą. Nareszcie przychodzi kolej na naszą brygadę. Słychać „Links um, im Gleichschritt marsch"![12]) — Maszerujemy, jak żołnierze. Tuż po przejściu przez brame słychać: „Kolonne halt".[13]) Stajemy. Przed nami mordercy. Na twarzy mają ironiczny uśmieszek. Koło nich stoją askarzy[14]) w czarnych mundurach i patrzą w twarz szefa obozu.

Szef obozu nazwiskiem Willhaus wysoki, szczupły, zawsze z złowrogim uśmiechem na ustach, w randze Untersturmführera. Na dany znak askarzy okrążaja brygadę i prowadzą ją drogą dobrze znaną każdemu. Drogą, którą setki ludzi prze-

chodzą, a muzyka im gra do taktu. Każdy z nich wie, że za kilka minut usłyszeć może komendę: „ausziehen“[15]), a w chwilę później: „dreh dich um“[16]) i kula zaśwista mu w tył czaszki.

Brygadier mój melduje ilu ludzi posiada i dostaje rozkaz, żeby dalej maszerować. Maszerujemy na plac przydziału pracy. Tu czeka już kilka brygad. Nagle przychodzi inżynier, ten sam który bywa codziennie, z SS-owcami i wybiera 75 ludzi ze wszystkich brygad. Jestem wśród wybranych. Mówi żebyśmy czekali na auto, pojedziemy budować drogę między Kulikowem a Żółkwią. Czekamy tak kilka minut, ale auto nie nadjeżdża, więc dostajemy rozkaz, żeby pójść na razie nosić cegły, a gdy zawołają: „Strassenbau Kulikow — Żółkiew“[17]) mamy zebrać się na umówionym miejscu. Naszym brygadierem został znany bokser lwowski Gross, uratowany już kilkakrotnie od śmierci przez Willhausa, szefa obozu, kiedy cała brygada jego poszła „na piaski“[18]).

Zaczyna padać drobny deszcz.

Wchodzę do warsztatu „Instalacji wodociągowej“. Tam zwykle zachodziłem i pomagałem w robocie, a inżynier, który przydzielał roboty, pozwalał mi zamiast noszenia cegieł pracować jako pomocnikowi przy warsztatach. Tam radzę się starszych ludzi, czy tego, że mamy jechać do Żółkwi, nie należy uważać za jakiś trick[19]). Ciągle patrzę przez okno warsztatu, skąd widać miejsce, na którym mamy się zebrać, a auta jak niema tak niema. Przez okno widać, jak ludzie sznurem, jednakowym krokiem ze spuszczonymi i smutnymi twarzami niosą przed sobą po pięć cegieł na rękach. Widać też, jak wskazówki zegara obozowego, który wisi przy bramie obozu, posuwają się pomału naprzód.

Zbliża się godzina obiadowa, a deszcz ciągle kropi. Krople te padają na policzki ludzi noszących cegły i po policzkach ściekają na ziemię, jak łzy. Jakby natura wiedziała, że ludziom zabrakło już łez i pomagała im płakać.

Godzina dwunasta. Brygadier zbiera nas na obiad i kroczymy nieuszeregowani w kierunku kuchni. Nagle słychać każdemu dobrze znane słowo „sechs“[20]). Każdy wie, co to oznacza. Ktoś z dozorców nadchodzi. Bez oglądania się w oka mgnieniu formujemy piątki. Rozlega się głos brygadiera „Achtung Mützen ab!“[10]). Każdy wyprostowuje się i maszerujemy dalej, jak żołnierze. Po chwili słychać „Mützen auf“[21]). Jeszcze chwilę maszerujemy, jak żołnierze, aż SS-owiec oddala się i później znowu idziemy w swobodnym szyku. Przed bramą brygadier bierze kartkę, na której wypisana jest ilość osób, żeby pobrać w kuchni tyleż obiadów.

Wchodzimy do tej części obozu, gdzie mieszkamy i jemy. W tej części obozu panuje cisza, niema jeszcze nikogo. Wszędzie czysto. Widać stojące rzędami baraki, a naokoło nich ogrodzone trawniki. Tu i ówdzie stoją „Ordnerzy“[22]) z gumowymi pałkami w rękach. Słychać odgłosy naszego stąpania po gościńcu wybrukowanym kamieniami, z których wyglądają napisy ze złotych liter. Są to kamienie nagrobków z cmentarza żydowskiego. T.zw. „Friedhofskolonne“[23]) rozbija nagrobki, a z rozbitych kamieni układa gościniec.

Podchodzimy do budynku, gdzie znajduje się kuchnia. Tu przed okienkiem stajemy w kolejce, z naczyniami w ręku, a z boku okienka brygadier, który sprawdza ilość wziętych obiadów. Każdy patrzy z zaciekawieniem na łyżkę porcjową, jaką też zupę dostanie. Czy przynajmniej będzie miał kilka krup, gdy przed nim jeden miał tyle szczęścia, że dostał kawałek kartofla wielkości fasoli.

Mam już obiad, teraz spieszę na poszukiwania, by kupić kawałek chleba do zupy, która właściwie nie jest niczym więcej, jak zagotowaną wodą. Ale nie każdy może sobie pozwolić na kawałek chleba do zupy. Teraz tu nic nie kupisz, oprócz u Ordnera w klozecie kilka papierosów. Nareszcie przychodzi drużyna z cmentarza i u jednego z tej brygady kupuję ćwierć chleba. Tymczasem „zupa“ moja wystygła. Siadam, jak wszyscy na ziemi koło budynku, gdzie znajduje się kuchnia i jem obiad. Tuż przede mną przechodzi obozowiec, któremu udało się dwa razy wziąć zupę i chce jedną zupę sprzedać, aby za nią kupić porcję chleba.

Zjadam obiad. Idę do Waschraumu[3]), aby obmyć szalkę[24]). Teraz i tu pusto. Obmytą szalkę zawieszam, jak wszyscy, na pasku, którym jestem opasany.

Kończymy obiad i grupujemy się, aby wyjść z powrotem do pracy. Wychodzimy poza bramę. Tuż po tej stronie bramy naprzeciwko budki z zegarem, przy wieży na której straż pełni askar[14]), stoi jeszcze przywiązany do belki chłopak około lat osiemnastu. Jest sino-czerwony. Milczy, bo już nie ma siły do płaczu. Całe jego ciało jest ciasno skrępowane sznurami, którymi go przywiązano do belki, tak, że nie stoi na ziemi lecz wisi w powietrzu. Przed tym powieszeniem dostał 25 nahajek. Każdy wie, że są to cierpienia przedśmiertne, bo gdy go odwiążą, to nie będzie mógł od razu pracować. Będzie „kaput“, czyli niezdatny do pracy — więc kula. Każdy udaje się do swoich przedpołudniowych zajęć, ale przed rozejściem się brygadier przypomina, że gdy nas zawoła, mamy się odrazu zebrać, by nie potrzebował długo czekać.

Udaję się, jak zwykle, do warsztatu instalacji wodociągowej. Tu naradzam się jeszcze raz ze starszymi — co mam robić? Jechać, czy nie . Czy nie jest to jakaś zasadzka? Ale gdyby chcieli nas wziąć „na piaski" — rozumujemy — toby nas wzięli byli z rana, tak jak wszystkich. Poco te ceremonie — jakaś Żółkiew? I poco nam auto? Czy pieszo nie możemy pójść, jak wszyscy? Radzą mi więc, żebym jechał, bo wiedzą, że chcę lada dzień uciec z obozu i ruszyć w drogę. A wyjechać poza Lwów autem i do tego z obozu jest — powiadają — wielką rzeczą. Powinienem wykorzystać okazję.



Rozdział II.

W BRYGADZIE ŚMIERCI. WIĘZIENIE ŚMIERCI. CO ROBIONO W WĄWOZIE?

Tymczasem, gdy tak rozmawiałem, na plac tuż przed warsztaty zajechały dwa ciężarowe samochody. Brygada nasza jest już zebrana i ludzie wsiadają. Przypadkowo wyjrzałem przez okno warsztatu i widzę to wszystko. Rzucam jeszcze raz pytanie, czy mam pójść czy nie? Odpowiada mi brygadier warsztatu: „jeżeli jedzie Gross, który został tyle razy wyratowany, to i ty możesz jechać".

Wybiegam z warsztatu i prędko wskakuję na auto, gdzie znajduje się nasz brygadier Gross. Z szoferki wychodzi wysoki, szczupły mężczyzna w randze Scharführera[25]) i pyta, kto z nas jest stolarzem. Każdy podnosi rękę i krzyczy. Ten, że jest stolarzem, tamten, że jest murarzem, a inny znów malarzem itd. Czy na to, aby otrzymać kulę w kark „na piaskach" trzeba mieć jakiś zawód? Nareszcie słychać z tyłu głos: „Genug, genug"[26]). Patrzę: ten który woła jest mężczyzną tęgim, przystojnym, w randze Untersturmführera[27]). Przyszły nasz szef. Oblicza nas. Zamiast 75 jest nas 44, ale mówi, że to narazie mu wystarczy, jutro weźmie sobie więcej ludzi. Siada do szoferki i bez żadnego nadzoru auto rusza.

Główna żelazna brama otwiera się przed nami. Wyjeżdżamy na gościniec. Czy do Żółkwi, niestety nikt z nas nie wie. A deszcz ciągle kropi. Patrzymy wszyscy z zaciekawieniem, dokąd auto jedzie. Aż tu przed ulicą Pilichowską, która prowadzi „na piaski" podnosi się strzałka, która pokazuje, że tu auto skręca. Wszyscy umilkli. Słychać tylko słowo: „zeskakujemy"! Pierwszy wyskakuje nasz brygadier Gross, za nim drugi i trzeci. I ja już trzymam jedną nogę za klapą, aż tu ni stąd ni zowąd wyrasta auto z szupowcami[28]), których jest 80. Padają strzały; auto zatrzymuje się. Dwóch dalszych, którzy zeskoczyli, wskakuje z powrotem na auto. Człowieku poco wskakujesz na auto, czy i tak nie jedziesz na śmierć? Czy nie lepiej paść na drodze za wolność, niż tam „na piaskach"[18])

rozebrać się i widzieć przed sobą ogień, który spala poprzednie ofiary? Auto rusza dalej, przy szoferce zwrócony do nas twarzą stoi Scharführer [25]) i nad naszymi głowami trzyma rewolwer. Za nami jedzie auto z szupowcami [28]), które czekało na nas na rogu ulicy Pilichowskiej.

Podnieś głowę człowieku i napluj przynajmniej w twarz mordercom! Nikt tego nie robi, bo i cóż z tego będzie miał. Chyba tylko przedśmiertne tortury. A może to przyśpieszy śmierć? A może nie należy jeszcze wyrzekać się życia? Może stanie się jeszcze jakiś cud, który nas uratuje? Cud, na który nadarmo czekało tyle setek tysięcy ludzi przez dwa lata, a który teraz jeszcze w ciągu tych kilku minut, które mamy przed sobą, miałby się spełnić?

Myślę nad tym, czym ja bardziej od innych zawiniłem, że danym mi było wpierw ujrzeć śmierć moich rodziców i rodzeństwa, by teraz pójść samotnie ich śladem. Czemuż bodaj nie poszedłem z ostatnimi dwoma swymi braćmi? Ja podły tchórz, bojący się śmierci „ratowałem się" do obozu, patrzałem, jak bracia rozbierają się na śmierć, aby w dwanaście dni później samemu pójść tą samą drogą. Ale cóż, nie mogę być lepszy, niż ci, którzy mnie otaczają, którzy dziękowali Bogu za każdy przeżyty dzień i liczyli każdego dnia na to, że przyjdzie zbawienie. Zawsze mówili, że wyzwolenie jest bliskie, ale niestety śmierć była jeszcze bliższa.

Deszcz dalej kropi.

Stajemy. Auto okrążają szupowcy z M. P.[9]) i SS-owcy, którzy z nami jechali, z rewolwerami w ręku. Untersturmführer daje rozkaz „Aussteigen" [29]), Wszyscy, jak jeden mąż wyskakujemy i ustawiamy się w piątki. Z wielkiego, bardzo głębokiego wąwozu, który ciągnie się na kilkaset metrów, bucha gęsty, cuchnący, czarny dym. Wąwóz ten jest jednym wielkim grobem masowym, mieszczącym tysiące trupów. Z boku na górze leżą stosy drzewa. Opodal stoi maszyna, którą obsługuje szupowiec w czarnym ferszalungu [6]). Koło maszyny widać połączone z nią rurami aluminiowymi beczki z oliwą. Maszyna pompuje oliwę, która aluminiowymi rurami wprowadzona zostaje do ognia. Ogień syczy. Czy może syczą ci, którzy się palą? A może palą ich żywcem? Za kilka chwil będę pewnie wiedział wszystko.

„Habt keine Angst" [30]) — zaczyna Untersturmführer swoje przemówienie. „Będziecie tu pracowali, a gdy skończy się ta praca pójdziecie z powrotem do obozu".

Słuchamy z niedowierzaniem. Już my ich dobrze znamy. Czy wszyscy wywiezieni na śmierć nie pojechali również na

„robotę"? Nareszcie każą nam wszystko, kto co ma w kieszeni, oprócz chusteczki i papierosów, oddać. Mówią, że dobrze umieją szukać i wiedzą, gdzie się co chowa, więc radzą nam byśmy się nie narażali na kulę i wszystko wyłożyli przed nimi na ziemię. Wyrzucamy wszystko, co posiadamy, nawet chusteczki i papierosy, bo przekonani jesteśmy, że idziemy na śmierć. Następnie pada pytanie: „wer war von euch Vorarbeiter" [31]). Występują dwaj — jeden młodszy blondyn, późniejszy nasz „Oberjude" [32]) Herches i drugi, starszy, liczący około lat 40, niejaki Lustman.

I któż nie zna „ich" tricków? Z pewnością jeden będzie prowadził swoją brygadę do jednego paleniska, drugi do drugiego. Bo są tutaj dwa paleniska.

„Wer ist von euch Tischler" [33]) pyta dalej oficer. Bez namysłu wyciągam rękę w górę, bo i tak przecież nic do stracenia nie mam. Może pojadę na Pełczyńską — tam jest Dienststelle [34]) — aby tam pracować, bo chyba tu do trupów nie potrzeba im stolarzy. A tam już sobie dam radę. W każdym razie długo być tam nie zamierzam. Wraz ze mną wyciąga ręce jeszcze kilku. Mnie, jako tego, który się wybija wzrostem, biorą pierwszego, a po mnie jeszcze dwóch. Pod nadzorem dwóch szupowców i Scharführera z M. P. idziemy do miejsca pracy, zostawiając resztę za sobą. Nie myśleć, czy tak jest dobrze, czy źle! Co może być złego, skoro dzieje się już to najgorsze? Może dlatego wybrał tylko trzech, żeby tam pozostała okrągła liczba 40, a nas zaprowadzi osobno do ognia? Poco myśleć? O ucieczce teraz mowy nie ma. Nareszcie stajemy.

„Tu — objaśnia nam Scharführer — będziecie budowali „Unterkunft" [35]), w którym będziecie mieszkali".

Miejsce to znajduje się niedaleko wąwozu. Z dwóch stron wznoszą się wzgórza o stromych zboczach, a w środku rozciąga się płaszczyzna o powierzchni około 120 m^2.

Wchodzimy na ten plac. Tu już ktoś zaczął budować, bo już część budynku postawiono. Były tu przed nami trzy brygady, każda z nich pracowała nie dłużej, niż trzy dni (tak opowiadano w obozie). Więc wiemy już wobec tego dokładnie, jak się rzecz przedstawia. Scharführer objaśnia nam, że powinniśmy uważać, jak budujemy, bo sami będziemy w tym baraku mieszkali. Ale cóż? Znamy już całą prawdę. Zapewne i my pobudujemy kawałek, a po trzech dniach pójdziemy do ognia. Później przyjdzie inna brygada, nowe ofiary, którym powiedzą również, że jadą do Żółkwi, czy Bóbrki, aż z kolei i oni staną przerażeni na tym przeklętym miejscu.

Dostajemy narzędzia i ogólne instrukcje od Scharführera, jak ma wyglądać budowla. Bierzemy narzędzia do rąk. Jeden na drugiego patrzy pytającym wzrokiem: Może ty jesteś stolarzem? Okazało się, że wszyscy mieli ten sam pomysł. Każdy liczył na to, że może ktoś drugi jest naprawdę stolarzem, więc można się będzie jakoś przy nim kręcić. Stolarzem jednak nie był żaden. Nagle jeden z nas odzywa się do Scharführera, który zauważył, że żadnego pojęcia nie mamy o stolarce i powiada, że tam wśród reszty ludzi znajduje się prawdziwy stolarz. Niemiec pyta o nazwisko i za chwilę zjawia się ten stolarz. Pod jego kierownictwem zaczynamy robotę, chociaż on sam również nie dużo więcej umie od nas. Ale jakoś zaczęliśmy. Każdy z nas był ciekaw, co się dzieje tam, gdzie pozostała reszta żydów, jednak baliśmy się pytać, bo nie wolno było rozmawiać. Usłyszeliśmy tylko, jak ten stolarz syknął: „ależ tam piekło".

Nagle Scharführer każe nam przerwać robotę i składać narzędzia. Ustawiamy się czwórkami i każą nam zejść pod nadzorem do wąwozu, gdzie się pali ogień. Za chwilę ujrzeliśmy resztę ludzi, ustawiających się piątkami. Ogień uderza w twarz, dym piecze w oczy, smród zatyka gardło. Ogień trzaska i syczy. Leżąc w ogniu, niektóre trupy wyciągają ręce, jakby prosiły aby je wyratować. Naokoło pełno trupów. Mają usta otwarte, jakby chciały powiedzieć: „przecież jesteśmy waszymi matkami, ojcami, którzy was wychowali i troszczyli się o was, a teraz sami nas palicie, bez litości rzucacie nas w ogień". Gdyby im pozwolono mówić, to by może coś takiego powiedziały, ale i im z pewnością nie wolno mówić, bo i ich stale pilnują. A może powiedziałyby, że nam wszystko przebaczają. Wiedzą, że niczego nie robimy z własnej woli, że stoimy pod nahajką i rewolwerem tych samych bandytów, którzy ich zastrzelili. Przebaczyliby nam, bo przecież matki czy ojcowie, którzy tu leżą, znieśliby napewno z ochotą największe tortury, gdyby tylko wiedzieli, że to ich dzieciom coś pomoże. Ale cóż:

Ojcze, jeżeli i tyś tu był przyszedł
Czy nie mogłem zginąć wraz z Tobą
I mieć już wszystko za sobą?
Nie stałbym dziś samotny nad grobem
I przed śmiercią spalał Twoje ciało.

Stoimy między trupami, noga przy nodze wśród skrzepów krwi. Czekamy nie wiedząc, czy to na śmierć, czy może dziś jeszcze na razie na powrót do „więzienia śmierci", gdzie będziemy tej nocy spali, jak te trzy brygady przed nami.

Naokoło nas na górze stoją szupowcy z karabinami w rękach, jakby do ataku, słyszymy, jak jeden woła do drugiego: „hast du genug Kugeln?“ [36]) Patrzymy po sobie: czy to dla nas? Ale były to kule przeznaczone do pilnowania nas po drodze.

Nasz Oberjude Herches melduje stan ludzi. Jest nas 42. Słychać: Rechts um [37]); każdy obraca się w prawo. Obracanie się to nie odbywa się jednak tak składnie, jak w obozie, bo przeszkadzają nam trupy, wśród których stoimy.

Pada rozkaz: „Unterhacken“ [38]). I tak piątkami wspinamy się po stromej, śliskiej ścianie ku górze. Zapowiedzieli, że jeśli ktoś puści ramię drugiego, to z miejsca dostanie kulę. Po chwili jesteśmy już na górze, tam gdzie byliśmy przed trzema godzinami. Dopiero teraz ludzie ośmielają się puścić parę z ust. Naczelnik szupowców mówi nam, jaki regulamin obowiązuje nas w chodzeniu. Za najmniejsze wykroczenie grozi kula.

1. Jeden drugiego musi trzymać pod ramię;
2. Odstępy od jednej piątki do drugiej nie powinny wynosić więcej niż 50 cm;
3. Nie wolno się oglądać;
4. Każdy ma mieć głowę opuszczoną;
5. Nie wolno rozmawiać.

Naczelnik przypomina jeszcze raz, że za wykroczenie przeciwko regulaminowi, czy nawet podejrzenie, że ktoś zamierza popełnić wykroczenie, grozi kula. Potem jeszcze raz oblicza nas i słychać rozkaz: „Vorwärts“ [39]). Przy tym dodaje: „aber langsam“ [40]). Idziemy wolnym krokiem, piątkami po śliskiej, piaszczysto-gliniastej ziemi. Z opuszczonymi głowami, trzymając jeden drugiego pod ramię. Idziemy jak za pogrzebem. Idziemy nie tą drogą, którą tu przybyliśmy, lecz drogą, która stanowi bezpośrednie połączenie między „piaskami“ a obozem. Ciągle pagórki i doły z wodą. Cała ta droga jest jednym masowym grobem. Cała ta droga wygląda, jak głęboko otwarta gardziel. Wydaje się, jakby i nas chciała połknąć. Jakby jej tych trupów, które tu leżą zakopane, było za mało. A może, gdyby umiała mówić, rzekłaby: „niestety i ja jestem w ich rękach tak samo, jak wy“.

Posuwamy się naprzód. Deszcz ciągle kropi. Z daleka już widać wieżę obozową, na której stoi askar [14]). Może pójdziemy do obozu spać? W tym wypadku już mnie więcej nie zobaczą! Ucieknę!

Zbliżamy się do obozowych pól. Tu siedzą obozowcy, sortując kartofle.

Siedzą tu także i tacy, którzy mieli jechać z nami do Żółkwi. Byli na tyle mądrzy, że nie pojechali.

Każą im się odwrócić, bo nie wolno na nas patrzeć. Ludzie z „piasków".

Stoimy już przed drutami obozu. Tu przez furtkę, którą wyprowadza się codziennie obozowców na śmierć, wchodzimy do środka. Skręcamy na prawo przez furtkę i wychodzimy na zadrutowany plac, gdzie stoją w jednym szeregu w trzymetrowych odstępach baraki [41]). Tu mieszkają kobiety, pracujące w „DAW" [42]) lub w pralni, która znajduje się przy obozie. Baraki te mają po piętnaście metrów długości i 6 m szerokości. Każdy barak jest przedzielony na trzy części, każda część ma osobno wejście i trzy okna. Okna pierwszego baraku od strony furtki, którą myśmy weszli, są okratowane. Jest to t.zw. „więzienie śmierci" [43]). Kto się do tego więzienia dostaje — musi iść na śmierć. Baraki te stoją na palach, tak, że między podłogą baraku, a ziemią jest odstęp 40 cm. Wchodzimy na plac, który znajduje się między barakiem więziennym a drugim barakiem. Plac ten ma około 3 metrów szerokości i 17 metrów długości. Tu siadamy piątkami na ziemi, a raczej w błoto, biorąc nogi pod siebie, po turecku.

Zastanawiam się, czy nie należy tu zaraz spróbować ucieczki, podsuwając się pod barak? Nie! Decyduję, że lepiej będzie później nocą oderwać deskę w podłodze, gdy już będziemy sami i „zwiać" pod barak. Wacha nie zostanie być może z nami na noc, tylko zamknie nas na klucz i odejdzie.

Szupowiec odchodzi po wodę do mycia. Siedzimy, a z drugiej i trzeciej części więziennego baraku przez zakratowane okna wyglądają przestraszone, czerwono-sine i spuchnięte twarze z podbitymi oczyma. Są to ludzie, sprowadzeni z „aryjskiej" strony, t.zn. tacy, którzy się ukrywali w mieście. Sprowadza się ich do obozu. W obozie przeprowadza się śledztwo przy strasznych torturach, jak np. wsadzanie noża w piersi, czy w plecy, bicie do nieprzytomności. Gdy ofiara pada na ziemię prawie już nieżywa, ratuje się ją, a gdy wraca do przytomności bije się ją dalej. W tym czasie jeden SS-owiec, wysoki szczupły bez jednej ręki, nazwiskiem Heine, w randze Scharführera przyprowadził mężczyznę, tęgiego, wysokiego, elegancko ubranego. Jest on tak zbity, że twarzy nie można wogóle rozpoznać. SS-owiec Heine znany jest każdemu, jako najgorszy sadysta. Największą jego przyjemnością jest ciąć człowieka żywcem. Zajmuje on w obozie stanowisko sędziego śledczego.

Szupowiec wraca, za nim idą kobiety z wiadrami napełnionymi wodą. Są to ordnerki [22]) kobiecych baraków. Przystają na chwilę, patrzą na nas, jak na nowe ofiary. Odchodzą i wracają niebawem z miednicami w rękach. Stawiają miednice. Chcą jeszcze raz stanąć i popatrzeć na nas, ale szupowiec je odpędza. Teraz będziemy się myli. Siedząc, każdy rozbiera się do połowy i potem piątkami, w porządku idziemy się myć. Dopóki pierwsza piątka nie wraca i nie siada na miejscu, drugiej piątce nie wolno się podnieść. Podchodzę do miednicy ze strachem, gdyż bicie nie należy tu do rzadkości, bądź to za nieprawidłowe mycie się, bądź za nieprawidłowe stanie przy miednicy.

Wszyscy się już obmyli. Nadjeżdża na wozie kolacja i zostawiają ją po tamtej stronie drutów, bo furmani już wiedzą, że do nas zbliżać się nie wolno. Już im o tym powiedziano w dniach poprzednich przy poprzednich brygadach. Wóz odjeżdża. Czterech ludzi od nas wychodzi pod nadzorem, by przynieść kolację. Szupowiec odzywa się: „Der Brandmeister und der Zähler werden das Essen verteilen“ [44]). Myślę sobie, znam nazwiska wszystkich ludzi, ale tych dwóch nie znam. Nie wiedziałem jeszcze o nowym urzędzie ustanowionym na „piaskach“. Każdy dostaje dwa litry zupy, gęściejszej niż w obozie i po 15 dkg chleba oraz łyżkę marmolady. Podziękowałbym im za wszystko. Kończymy kolację i wchodzimy do trzeciej części więziennego baraku, która była pusta. Drzwi się zamykają.

Cela nasza ma około 5 m szerokości i 6 m długości. Trzy zakratowane okna. Ściana między celą naszą a sąsiednią nie sięga pod sam sufit, tak że można się przedostać z jednej celi do drugiej. Naokoło wszystkich czterech ścian poukładane są na ziemi sienniki. Tuż przy drzwiach stoją dwa kubły. Każdy dopada do tych kubłów, bo od południa nikt na stronę nie wyszedł. Bał się zgłosić, że potrzebuje. Za chwilę kubły są przepełnione i przelewają się tak, że cela zamienia się w bajoro. Słyszymy głos szupowca, który stoi przy oknie: „Was ist hier? Sofort Ruhe“ [45]). Padają dwa strzały, które trafiają w sufit naszej celi. „Sofort liegt alles“ [46]). W celi zalega grobowa cisza. Po dwóch kładziemy się bez szelestu na siennikach. Każdy siennik wielkości 1,60 m na 80 cm. Leżymy w milczeniu. Za ścianą słychać płacz dzieci. Czy to z pragnienia, czy z głodu? Siedzą tu bowiem już od trzech dni. Czekają, aż się zbierze odpowiednia ilość ludzi. Wtedy ich odprowadzą na „piaski“. Słychać jęk kobiet i mężczyzn, którzy nie mogą ani siedzieć, ani leżeć, ani stać, bo tak są pobici.

Po kilku chwilach rozpoczynam rozmowę z moim sąsiadem, od którego okropnie cuchnie, gdyż pracował przy trupach. Nie czujemy nawet kubłów, gdyż woń trupów zagłusza smród kubła. Gdy weszliśmy do środka usłyszeliśmy z sąsiedniej celi wołanie: „Fe, cuchnie! Co tu tak czuć?“ — chociaż i tam załatwiano się w celi. Rozmowę zaczynam od pytania, jak się ratować? Pomału przechodzimy na temat, jak pracowało się przez te dwie godziny w wąwozie?

Opowiadanie swoje zaczyna mój sąsiad od słów: „Istne piekło“. Gdy tylko zeszli na dół do wąwozu, zaraz zawołano dwóch ludzi. Poszli do góry. Tam koło wąwozu stało auto, a na aucie leżał trup. Cała czaszka rozstrzaskana. Był to Gross, były nasz brygadier. Złapali go, jeden za jedną nogę, drugi za drugą i tak ściągnęli go na dół i tu wrzucili do ognia. W tym samym czasie otruł się przez zażycie cjankali lekarz, który z nami przyszedł. Umarł na miejscu. W ten sposób z 44 ludzi zostało 42. Jedna brygada pracowała przy łopacie t.zn. usuwała ziemię, którą trupy były przykryte. Druga brygada pracowała przy trupach. Była to straszna robota. Trupy wyciągało się rękoma. Łapało się je za ręce lub nogi i tak się je wyciągało. Nim wyciągnięto trupa, często się po kilka razy z rąk wyślizgnął, albo też ciągnącemu skóra w ręce pozostała. A tu przez cały czas słychać było z góry: „los, warum so langsam!“ [47]) I po chwili „Du, komm schnell her“[48]). Zawołany biegnie prędko ze strachem na górę. Wie co go czeka—25 nahajek. Nie jego to wina, że trup mu się z rąk wyślizgnął. Ale tu usprawiedliwienia nie ma. Tak nosili trupy we dwóch, jeden trzymając je za ręce, drugi za nogi. Każdy trup ważył po 70—80 kilogramów. Były to trupy stosunkowo świeże, z przed 2 tygodni, t.zn. z okresu likwidacji ghetta. Kto wie czy i moich dwóch braci dziś nie spalono?

Trupy zanosili do ognia. Tu z jednej strony stał Brandmeister [43]). Jego praca polegała na tym, że miał uważać, aby przy wrzucaniu trupów ognia nie przydusić. Podkładał drzewo, zgarniając popiół na bok. Z drugiej strony stał Zähler [44]), trzymając w ręku ołówek i papier. Zadanie jego polega na tym, że notuje on ilość trupów, które się wrzuca na ogień. Nawet szupowcom nie wolno mu mówić, ile trupów spalono w ciągu dnia. Wieczorem zdaje Untersturmführerowi dokładny raport o ilości spalonych trupów. Jemu samemu nie wolno pamiętać, ile trupów spalono poprzedniego dnia. Gdy Untersturmführer pyta się na drugi dzień, ile trupów spalono wczoraj, to musi powiedzieć, że zapomniał. Trupy nazywa się „figurami“. Wrzucając trupy, wchodzi się aż pod sam ogień. Każdy z pracujących przy tej robocie ma ręce, twarz i włosy

osmalone. Włożywszy jednego trupa w ogień, biegnie się szybko po drugiego, gdyż chodzić, nawet prędkim krokiem, jest niebezpiecznie. Każdy boi się, by nie usłyszeć dobrze znanego „Prędzej! dlaczego tak pomału idzie robota?".

— „Jeszcze jeden dzień takiej pracy, a napewno nikt z nas nie wytrzyma, choćby go nawet nie zastrzelili" — zakończył mój sąsiad ze wspólnego siennika.

Umilkliśmy. Patrzymy jeden na drugiego. Nikt z nas nie ośmiela się przerwać ciszy lub wypowiedzieć myśli drugiego. Może przypomina sobie rodziców, czy rodzeństwo. Są to ostatnie marzenia skazańca. Gdyby się któregokolwiek z nas zapytać „czego sobie życzysz?" odpowiedziałby: „ujrzeć jeszcze przed śmiercią matkę, ojca, braci, siostry". Matkę... matkę, która wyrwała sobie złote zęby, by za nie przysyłać synowi do obozu paczki, by nie głodował.

Do uszu dochodzą dźwięki muzyki, która gra przy powrocie ludzi do obozu. Pomału ten i ów podnosi się z legowiska i cicho, ostrożnie zaczyna spacerować po celi. Wielu z nas nie może leżeć, gdyż teraz dopiero odczuwa ból w pobitych nahajką przy pracy członkach. Powoli posuwamy się do okna. Z daleka widać baraki. Za barakami pełno ludzi tak, że przejść nie można. Teraz wszystko tam dostaniesz, jeśli tylko masz pieniądze. Wszyscy tam handlują. Bądź to wodą lub kawą, bądź też złotem i brylantami. Teraz już nikt nas nie odpędza od okna, nie ma bowiem naczelnika szupowców. Szupowcy sami podchodza do okna. Ogladaja sie, czy nikt z SS-owców nie patrzy, podają nam pąpierosy, pocieszaja nas. Mówią żebyśmy się nie bali, że nie zostaniemy zastrzeleni.

Czy nie dlatego tak mówią, bo chcą odciągnąć nas od myśli o ucieczce?

A naprzeciwko widać baraki kobiece. Z okien wyglądają kobiety. Chcą coś dla nas podać, ale boja się szupowców. Szupowcy zauważyli to. Podeszli do kobiet, pytajac, czy chcą nam coś przesłać, a i oni sami ogladają się, czy nikt z przełożonych nie nadchodzi, gdyż nie wolno im z Żydami rozmawiać. Chcą nam podać chleb, ale dajemy im znaki z daleka, że prosimy o papierosy. Wiele osób wykrzykuje nazwiska, chcąc by je podać znajomym lub krewnym.

Zapada noc. Każdy kładzie się na swoje miejsce. Pada deszcz. Dwóch szupowców kręci się koło naszej celi. Może wywalić drzwi? Zacznie się strzelanina. Jest ich dwóch, najwyżej więc padnie część naszych. reszta się uratuje. Ale cóż? Wydostaniesz się już z baraku, ale masz przed sobą

druty. Płot o wysokości 3 m, przepleciony gęsto drutami kolczastymi, a o 50 cm. dalej taki sam płot. O przeskoczeniu więc nie ma mowy. Pomijając to, że co drugi metr masz słup, na którym jest umieszczony reflektor. Za drutami zaś znajduje się jeszcze plac warsztatów obozowych[49]). Plac ten jest również oświetlony, tak że dostrzegalne jest każde poruszenie na nim. W każdym rogu płotu ustawione są wieże wartownicze, na których stoją wartownicy z karabinami.

Ale musimy coś zrobić! Narazie stoją, może później odejdą. Tymczasem zasypiam. We śnie widzę ojca i matkę. Płaczą, że ostatni syn ich też ma paść od kuli tych samych bandytów, co i reszta ich dzieci. Nagle sen się przerywa. Budzę się. Mam się przecież ratować. Podchodzę do okna. Słyszę rozmowę szupowców. Próbuję obudzić kolegów. Wszyscy śpią ze zmęczenia, jak zabici. Kładę się z powrotem z myślą, że nic nie można zrobić. Po upływie pewnego czasu zasypiam. Śni mi się znów matka, gdy została zabrana na śmierć. Mówi komuś o tym, jak ona sobie myślała wówczas, że zostawia na świecie siedmioro osieroconych dzieci, a teraz po 11 miesiącach ja, ostatni z rzędu, bliski jestem tego samego losu, który spotkał resztę braci i sióstr. Rozczulam się nad sobą, płaczę. Widzę, jak ciągną jej martwe ciało i spalają. Matka, najdroższy skarb na świecie. Widzę ojca, siostry i braci...



Rozdział III.

PRACA „NA PIASKACH". ULUBIENIEC UNTERSTURMFÜHRERA. KIEDY BELKA Z RĄK SIĘ WYŚLIZGNIE... OBIAD WŚRÓD TRUPÓW. PEWIEN OJCIEC MIAŁ DWIE CÓRKI. SEN.

Budzę się. Już świta. Przeszła noc, podczas której miałem się uratować, która była ostatnią mą nadzieją. Teraz już napewno jestem stracony. Pomału zaczyna się budzić cała cela. Słychać jęki. Znowu ten przeklęty dzień. Ach Boże, czemżem ja tyle zawinił? Czy nie mogę ukarany zostać zwykłą śmiercią, która byłaby dla mnie wyzwoleniem? Czy nie mogła nas tej nocy bomba zabić, byśmy mieli już wszystko za sobą.

Dzień nowych tortur i zapewne dzień naszej śmierci.

Podchodzę do okna. Przez kraty widać kuchnię w obozie. Obozowy ranek. Tu już nie potrzebuję się pchać do klozetu. Nagle ludzie znikają, by pójść na apel. Już się doczekałem tego dnia, że do apelu stawać nie muszę. Nie boję się już „bramy śmierci", na którą zawsze tak narzekałem, myśląc o tym, jak jabym Bogu dziękował, gdybym się już pozbył przechodzenia przez nią. Dziś już się tego pozbyłem, ale kto wie, czy nie wraz z życiem. Słychać dźwięki muzyki. Tej muzyki, która zapomniała nam wczoraj odegrać „tango śmierci"[7]), jakby wiadomo było, że nas jeszcze tym razem nie zastrzelą.

Jest godzina 7-ma. Drzwi się otwierają. Słychać głos naczelnika szupowców w randzie Zugsführera[50]): „heraus"[51]). Wszyscy wychodzimy. Siadamy piątkami na ziemi, tak jak wczorajszego wieczora. Zugsführer oblicza nas. Liczba się zgadza. Przed nami stoi bańka z kawą i chleb. Wydają nam podwójną porcję chleba, dwa razy więcej niż w obozie i 1 litr słodkiej kawy. Jak powiada żydowskie przysłowie — „przed śmiercią robi się lżej". Śniadanie rozdają nam w ten sam sposób, jak wczoraj kolację. Kończymy śniadanie. Wstajemy. Bierzemy się pod ramiona i maszerujemy. Szupowcy przypo-

minają nam regulamin, obowiązujący przy wychodzeniu. Jest nas 42, a szupowców, którzy nas pilnują jest 40. Każdy trzyma w rękach M.P.[9]), z palcem przy cynglu, gotów do strzału. Wychodzimy poza furtkę, którą wczoraj weszliśmy. Tu stajemy. Czekamy. Z obozu nadchodzi trzech Scharführerów[25]), między innymi też Heine, który jest obecny przy każdej egzekucji. Za nimi wysypuje się, jak z worka pełno askarów[14]). Dołączają nas do tych ludzi, których wczoraj widzieliśmy w celi 1 i 2. Mężczyźni stoją osobno piątkami, osobno stoją też kobiety z dziećmi — również piątkami. Wacha[52]) powiększa się do liczby około 100, jakgdyby 45 było za mało. Teraz wiemy już napewno, że idziemy na śmierć, bo kobiety i dzieci z pewnością do pracy nie pójdą. Niektórzy zrzucają z siebie kurtki wraz z marynarkami, żeby rozbieranie się na miejscu stracenia nie trwało długo i nie naraziło ich jeszcze przed śmiercią na nahaje. A może zrobiło im się ciasno w ubraniu ze strachu i chcą sobie ulżyć w ten sposób? Idziemy tą samą drogą, którą wczoraj przyszliśmy. O jakieś 50 m. przed wąwozem, w którym wczoraj pracowaliśmy, kobiety i dzieci wraz z askarami pozostają. Mężczyźni, których jest 43, idą dalej z nami. Zostawiają dzieci i żony, braci, siostry i matki, z którymi razem udało im się ukrywać przez pewien czas. Są to przeważnie ludzie z firmy „Feder-Daunen“[53]) przy ulicy Źródlanej. Tam dyrektor niby to ich chował przez kilka dni, zabrał im wszystko co posiadali, a wreszcie sam ich wydał w ręce katów. Schodzimy do wąwozu, w którym wczoraj pracowaliśmy. Szupowcy zostali na górze i okrążyli wawóz. W wąwozie siadamy na trupach piątkami, jak na ławkach. Siedzimy tak, że mokre, przegniłe trupy przemaczają nam spodnie. Pozostajemy w tej pozycji przez pewien czas. Nagle nadjeżdża samochód. Wychodzą z niego dwaj Scharführerzy, jeden Sturmmann, dwaj Hauptscharführerzy, jeden Sturmscharführer i nasz szef Untersturmführer“[54]).

Wstajemy, obliczają nas. Jest nas 85. Scharführer, który prowadził wczoraj z nami budowę, wywołuje nas i powiększa naszą brygadę do 20-tu ludzi. Dziś jest między nami dobry stolarz. Wychodzimy piątkami na górę, i udajemy się na wczorajsze miejsce pracy. Tu nowy stolarz tłumaczy Scharführerowi, że wczorajsza nasza praca była do niczego i zapada decyzja, żeby rozpoczętą budowlę z powrotem rozebrać. Pod jego kierownictwem rozbieramy wszystko i zaczynamy robotę na nowo.

Dziś przyszedł do nas młody, 19-to letni chłopak, wysoki blondyn w butach. Do tego czasu przebywał w „aryjskiej“ dzielnicy. Na imię ma Marek, nazwiska nie pamiętam. Ze

względu na jego miłą powierzchowność, Untersturmführer kazał mu dać lekką pracę i nie bić go. Pracował jako pomocnik maszynisty. Scharführer dawał mu papierosy, chleb z masłem i szynką. Chłopak uchodził za szczęśliwca. Wszyscy go lubili. Gdy Scharführer go pytał, czy umiałby wydać schowanych Żydów, odpowiadał pytaniem na pytanie: „czy gdyby Scharführer był na jego miejscu i, wiedział, że tak czy owak czeka go śmierć, wydałby swoich braci?"

Po takiej rozmowie Marek podchodził zwykle do nas i mówił o tym, jak on się nie daje złapać na niemiecką przynętę, przecież i tak go w końcu zabiją. Nasz Scharführer był nieco wyższy niż średniego wzrostu, przystojny, szczupły, z zawodu budowniczy. Znał się także trochę na mechanice. Nie był on najgorszym sadystą i bił mniej niż inni. Nazywał się Jelitko, było to jednak jego nazwisko partyjne. Pochodził, jak większość przydzielonych do nas Niemców, z Berlina. Gdy ktoś z jego kolegów nadchodził, udawał, że krzyczy na nas i nagania nas do pracy. Najczęściej wpadał do nas pewien szupowiec nazwiskiem König, obsługujący maszyny i bił pałką każdego, kto mu się tylko pod rękę nawinął, bez względu na to, czy pracował czy nie. Wyglądał on na wieśniaka, ale pochodził z Berlina. Był donosicielem na szupowców do SD[55]), tak że nawet szupowcy obawiali się go i strzegli się przed nim.

Razu pewnego zdarzył się taki wypadek. Niosłem za wspomnianym szupowcem 6 metrową belkę na budowę. Przy budowie stali dwaj Scharführerzy, Hauptscharführer i Untersturmführer[54]). Przez nieuwagę wypuściłem z rąk belkę, która wpadła między stojących. Krzyknęli z wściekłości. Zaczynam się usprawiedliwiać, ale nic mi nie pomaga. Każdy z nich daje mi po 10 batów. Byłem pewny, że mnie zastrzelą. Ale — pomyślałem sobie — nic nie szkodzi, zaoszczędzą mi tylko dalszej męczarni. Jeszcze kilka minut i będzie po wszystkim. Jednakże do tego nie doszło. Zamiast wystrzału karabinowego usłyszałem słowo „hau ab"[56]). Powlokłem się ostatkiem sił na budowę. Tu wziałem deskę do rąk, udając, że podaje ją stolarzowi i tak jakoś wytrzymałem do obiadu. O godzinie 12-tej przerywamy na rozkaz naszego Scharführera robotę. Ustawiamy się piątkami. Obliczają nas — liczba się zgadza. Schodzimy do wąwozu gdzie od swędu każdy dostaje zawrotu głowy. Trudno sobie wyobrazić, jaki tam panował smród. Na smród ten skarżyli się mieszkańcy wszystkich okolicznych wsi, jakkolwiek dochodził on do nich dopiero z odległości kilku kilometrów.

Także w wąwozie ludzie przerywają robotę i szykują się do obiadu.

Pot leje się z nich strumieniami. Ich ręce tak są upaprane w trupiej cieczy, że same przypominają ręce trupów. Spod grubej, szarego koloru warstwy zaschłej ropy tylko tu i ówdzie prześwieca jeszcze płatek skóry żywego człowieka.

Ustawiamy się razem piątkami. Liczą nas. Zgadza się. Jest nas 82. Ale przecież się nie zgadza. Pamiętam, że rano było nas 85. Widocznie zapomnieli. Ale cóż to mnie obchodzi? Milczę. I tak rozmawiać nie wolno. Po obliczeniu każą nam usiąść. Siadamy tak, jak rano, na ciałach. Wołają dziesięciu ludzi na górę. Wstają pierwsze dwie piątki i idą na górę. Tu z auta wyładowują bańki z obiadem przywiezionym z obozu. Znoszą te bańki na dół. Stawiają je między trupami. Ci sami, co dzielili wczoraj kolację, na rozkaz Scharführera dzielą dzisiaj obiad. Wszyscy, tak jak siedzą, podchodzą pojedyńczo po obiad, wracając siadają z powrotem na swoje miejsce. Rąk do jedzenia nikt nie myje. Wody nam nie dają, a myliłby się też ten, ktoby myślał, że pora obiadowa była dla nas wytchnieniem od nahajek. Co chwila kogoś innego wołano na górę i okładano pejczami, choć ani my, ani oni sami już nie wiedzieli za co. Bito i już.

Pierwsza godzina — koniec obiadu. Ustawiamy się, obliczają nas jeszcze raz, zgadza się. Na rozkaz Untersturmführera wraca każda brygada do swojej przedpołudniowej roboty. Nasza brygada pod eskortą 8-miu uzbrojonych szupowców idzie znów na budowę.

O godzinie 5-tej na rozkaz Scharführera kończymy robotę. Ustawiamy się piątkami, obliczają nas i pod eskortą wprowadzają nas do wąwozu, gdzie już stoi uszykowana reszta robotników. Czy może dziś na śmierć? Obliczają nas. Jest nas siedemdziesięciu dziewięciu. Każą nam usiąść w porządku takim, jak przy obiedzie. Siedzimy i czekamy. Czy to na śmierć? Chyba tak. Bo na cóż więcej? Na trupach, jak na ławkach, w głębokim wąwozie, siedzimy w głuchym milczeniu. Nikt nie rusza się, jakby zamarł, bo za najmniejsze poruszenie grożą tortury. Każdy ma jeden i ten sam wyraz twarzy. Spuszczona głowa, oczy jakby patrzyły do własnego wnętrza. Nikt w tej chwili o niczym nie myśli. Siedzimy. Nagle słychać „Aufstehen“[57]). Wszyscy wstają jakby bez życia, głowy nikt nie podnosi. Dostajemy rozkaz wyjścia na górę, przy czym przypominają wczorajszy regulamin, obowiązujący przy chodzeniu.

Stoimy już na górze. Obliczają nas jeszcze raz i na rozkaz Untersturführera idziemy wolnym krokiem naprzód.

A zatem i dzisiaj jeszcze nie.

Idziemy tą samą drogą, którą przyszliśmy dziś rano. Przychodzimy do obozu na ten sam plac, na który przyprowa-

dzili nas wczoraj wieczorem. Kolacja, mycie się. Dziś w całym baraku więziennym nikogo nie ma. Ludzie, dzisiaj przyprowadzeni z miasta, t. zn. z „aryjskiej" strony, siedzą na placu, który znajduje się za drutami. Jest to plac, na którym zbiera się większa ilość ludzi przeznaczonych na śmierć. Więzienie jest za małe. Tak samo robili podczas likwidacji lwowskiego ghetta.

Wchodzimy do tego samego baraku co wczoraj, ale nie do jednej celi, tylko do dwóch. Wyznaczono do jednej celi czterdziestu, a do drugiej resztę. Cela jest sprzątnięta. Powtarza się scena z kubłami, ale nie zwracamy na to uwagi. Kładę się na sienniku. Obok mnie z jednej strony leży przystojny jegomość, którego dziś rano przyłączyli do naszej brygady. Ma lat 46, włosy przyprószone siwizną, niejaki Brill. Miał przed wojną jeden z największych magazynów mąki we Lwowie, a sam mieszkał w okolicy ulicy Łyczakowskiej. Z drugiej strony leży niejaki Roth, młody chłopak urodzony w r. 1925, wysoki, szczupły, pochodzący z Bielska. Ojciec jego, adwokat, był przedstawicielem amerykańskiej firmy „Oil Company" na Polskę. Leżymy w milczeniu, które przerywają tylko głębokie westchnienia, odzywające się z coraz to innego siennika.

Zwracam się twarzą do Brilla: „co dalej robimy?" Odpowiada mi — „chcę pozbyć się życia" i przechodzi do opowiadania przejść swoich z dzisiejszego dnia. Opowiada pomału, jakby wciąż kogoś widział przed sobą. Uświadamia sobie, czy to on — ten sam. Do każdego słowa dodaje długie, głębokie „oj". Często też urywa w pół słowa, połyka coś, a później zamiast kończyć to słowo dodaje jeszcze jedno „oj".

„Pracowałem we firmie „Feder-Daunen" przy ul. Źródlanej 5 wraz z moimi dwiema córkami. Jedna miała lat siedemnaście, druga piętnaście. Od likwidacji ghetta byliśmy w tej firmie ukryci. Po kilku dniach dyrektor od nas wszystko zabrał. Przyszło gestapo i oddali nas do obozu. Tu mnie i moje dzieci (długa przerwa) dano do więzienia śmierci. Było to onegdaj, a dziś prowadzili nas z wami „na piaski" i odłączyli mnie od córek". (Przerwa).

„Jak i wszyscy inni, zeszedłem na dół do wąwozu. Stąd po kilkunastu minutach wybrano kilkunastu ludzi, mnie między nimi i zaprowadzono nas na miejsce, gdzie zostawiliśmy rano resztę (przerwa). A tam — tam (jęk pełen strasznej boleści) wszyscy i moje dwie córki między nimi leżeli już zastrzeleni. Jakie dwie córki, śliczne blondynki, inteligentne — ile one mnie zdrowia kosztowały....

Kazali nam zrobić ogień i wrzuciliśmy wszystkie trupy do ognia. Między nimi i moje dwie córki..."

Jeszcze coś dalej mówił, jęczał, stękał, rzucał rękoma i nogami, jak obłąkany, ale już go nie słuchałem. W czemże mogłem mu dopomóc?

Zapanowała noc, deszcz lał jak z cebra. Ciemno. W baraku naszym cisza, wszyscy śpią. Słychać, jak we śnie ludzie stękają, słychać ciągłe „oj", „oj". Z daleka słychać przytłumiony płacz dzieci, które siedzą po tamtej stronie drutów i czekają na śmierć. Wstaję, podchodzę do okna. Promienie reflektorów, którymi oświetlony jest obóz, posiekane są kroplami deszczu. Koło baraków kręcą się szupowcy, którzy nas pilnują. Wracam na swoje miejsce i mówię do Brilla: „A możebyśmy zrobili wypad?" Odpowiada mi: „A, co tam wypad, chcę pozbyć się życia". Po pauzie zaczynam znowu: „A kiedy wypad, to można się pozbyć życia z honorem". (Pauza)

„A, co mi tam z honorem, czy bez honoru, wszystko mi teraz jedno — aby umrzeć".

Tak, tak — myślę sobie, wczoraj napewno ten człowiek inaczej rozumował, zastanawiał się, jakby to można zrobić wypad. Bał się ryzykować, bo któraś z córek może paść. Woleli zginąć wszyscy razem, zamiast żeby ktoś z nich miał się uratować sam. A teraz człowiek ten jest nieżywy, duszy nie ma.

I ja pomału zasypiam. Śni mi się sederowa kolacja. Wszyscy siedzimy przy stole. Matka podaje każdemu talerz pachnącego rosołu. Patrzy w twarz każdego dziecka z uśmiechem. Świece płoną dziwnie jasno. Ojciec coraz to inne dziecko o coś pyta. Ale ja nie odpowiadam. Uśmiecham się tylko. Ach, jakim ja szczęśliwy!... Budzę się. Deszcz uderza silnie w dach baraku, a po tamtej stronie baraku siedzą na deszczu ludzie z małymi dziećmi, których płacz dochodzi do nas i czekają na wyzwolenie, którym ma być śmierć. Zasypiam z powrotem — śni mi się plac, na którym siedzę z moimi dwoma braćmi i pocieszam najmłodszego brata, który płacze, że się boi. Tłumaczę mu, że śmierć trwa tylko minutę i że później będzie już wraz z matką, ojcem i innymi. A on odpowiada: „Ach, jakbym ja już tego chciał". Później widzę we śnie scenę podobną do tej, którą raz widziałem na jawie. Jedną matkę zastrzelono, a dziecko siedzi koło niej w kałuży krwi, trzymając głowę na jej piersiach i śpi. Później podchodzi SS-owiec i bije je nahajką, by poszło wraz z innymi dziećmi na „piaski", a ono krzyczy: „Mamo, boli!" Dziecko wstaje, zaczyna uciekać, a on idzie za nim. Dziecko krzyczy. Nareszcie morderca decyduje się zastrzelić dziecko na miejscu. Wyjmuje rewolwer — pada strzał i od strzału tego budzę się. Widocznie musiał faktycznie wystrzelić ktoś koło baraku, a płacz dzieci, i coś jakby stłumiony szloch dorosłych ludzi dochodzi z placu za drutami, gdzie tamci siedzą i czekają.

Rozdział IV.

JESZCZE NAS NIE ZABIJAJĄ. POWIĘKSZAJĄ BRYGADĘ. CHŁOPAK, KTÓREGO ZŁAPANO PO „ARYJSKIEJ STRONIE". WIDOKI UCIECZKI. JEDEN SIĘ POWIESIŁ, JEDEN UCIEKŁ. „QUATSCH NICHT SO VIEL — DREH DICH UM!"

Zaszarzał świt. Pomału wszyscy wstają. Każdy kręci się nerwowo po celi tam i z powrotem. Z daleka dochodzi ruch obozowego ranka. Pomału ruch ten ustaje, a zamiast niego dochodzą odgłosy muzyki: „tango śmierci". Chyba dziś już napewno i dla nas grają[77]). Dzisiaj będzie trzeci dzień, jak pracujemy, a wiemy, że poprzednie brygady, które przed nami pracowały przy tej samej robocie, po trzech dniach zostały rozstrzelane.

Drzwi celi otwierają się. Słychać „heraus"[51]). Wszyscy wychodzimy, siadamy tak samo, jak i wczorajszego ranka. Obliczyli nas — zgadza się. Teraz wypuszczają ludzi z drugiej celi. Tak, jak my i oni siadają za nami. Dostajemy śniadanie i po śniadaniu pod silną eskortą wychodzimy z placu, na którym znajduje się więzienie. Tu za drutem czeka na nas grupa ludzi, 48-miu, których do nas dołączają. Są to ludzie z firmy H.K.P.[78]). Zamiast jak codziennie wyjść do pracy główną bramą, dziś idą tędy „na piaski".

W ten sposób powiększa się nasza liczba do stu dwudziestu dziewięciu. Dzień przechodzi jak zwykle, wieczorem wracamy do „więzienia śmierci". Tej nocy jeden z nas powiesił się na drzwiach baraku na pasku od spodni. I tak nasza brygada liczy stu dwudziestu ośmiu. Rano, gdy wyszliśmy do pracy, czterej ludzie na rozkaz SS-manów wynieśli trupa i wyrzucili go za klozet, skąd w godzinę później wraz z innymi trupami wywieziono go do wąwozu na palenisko.

Czwartek i piątek mija przy ciężkiej pracy. Dziś otwierają jeszcze jeden grób, w którym znajduje się tysiąc czterysta pięćdziesiąt trupów. Wielu z nich, zamiast rozstrzaskanych czaszek, ma otwarte usta z wystawionymi językami, z czego wynika, że zostali zasypani żywcem.

TUTTLEMAN LIBRARY OF GRATZ COLLEGE
Melrose Park, PA

Wieczorem sąsiad mój Roth opowiada mi swoje przeżycia w ostatnich dniach. Rotha złapano po „aryjskiej" stronie. Żył on jako „aryjczyk" przez 10 miesięcy, aż pewnego razu spotkał go jego kolega szkolny, który tego samego dnia doniósł o nim do Gestapo. Aresztowano go. Wraz z nim została aresztowana jego młodsza siostrzyczka, którą sam tu przedwczoraj spalił.

Tak przechodzi noc. Trochę na opowiadaniu, trochę na spaniu. Nie omijamy też tematu, jak się ratować. Aby wyjaśnić naszą sytuację i widoki ucieczki, opiszę dokładnie położenie naszego miejsca pracy.

W zachodniej części m. Lwowa znajduje się ulica Janowska, a na rogatce janowskiej znajduje się piaskownia tejże nazwy. Piaskownia ta ma wysokie piaskowe góry i głębokie wąwozy i zajmuje obszar około 4 km². Na wszystkich krańcach tej piaskowni widnieją napisy w polskim, ukraińskim i niemieckim języku: „Wstęp na ten teren surowo wzbroniony. W razie zbliżenia się do tego terenu na odległość 100 m. od tablicy strzela się ostro". Podpisany SS und Polizeiführer. Co pewien odstęp stoi na straży szupowiec. Na najwyższym wzgórzu znajduje się t. zw. obserwacyjny punkt. Stoi tam namiot, w którym znajdują się szupowcy i amunicja, a także aparat telefoniczny, dający Niemcom łączność z miastem i z obozem. Znajdujące się w pobliżu domy mieszkalne, opróżnione z dawnych lokatorów, zajęte są przez szupo, które pełni tu dyżur. Szupowcy pełnią służbę przez 24 godziny, poczem mają 24 godziny wolne. Jest ich u nas powyżej stu. Ponadto pewna ilość SD-manów[55].

Po długich rozważaniach o ratowaniu się zasypiamy.

O godzinie 6-tej budzą nas. Zaczyna się dzień nowych tortur, a może i dzień naszej śmierci. Dzisiejszy dzień wydaje się nam znowu bardziej niebezpieczny od innych, bo dziś kończy się tydzień naszej pracy na „piaskach".

Dzień zaczyna się, jak zwykle. Każdy jest przy swojej pracy. Z naszej brygady biorą stolarza i jednego pomocnika do mieszkania szupowców, aby im tam coś zrobili. Godzina jest 12-ta. Obiad. Nasza brygada, jak zwykle schodzi na dół do wąwozu na obiad, ale zamiast 20-tu jest nas tylko 18-tu, bo dwóch przebywa w mieszkaniu szupowców. Stoimy gotowi do apelu, jak zwykle, ale apel się nie odbywa. Stoimy i czekamy. Na co? Przypuszczalnie na to, by nareszcie dokonał się nasz los. Przecież sami wiemy, że dzisiaj kończy się nasz tydzień. Patrzymy prosto w ogień — w naszą przyszłość.

Ach, żeby ta śmierć już wreszcie przyszła! Nic. Stoimy i czekamy. Czekamy jeszcze na tamtych dwóch. Gdybyśmy jednak mieli pracować po południu, toby nam tymczasem dali obiad, a oni by nadeszli później. Znaczy to więc, że do pracy już więcej nie pójdziemy, tylko na śmierć. Nagle widać, jak na górze, tuż obok tego miejsca, gdzie stawialiśmy nasz barak, idzie szupowiec i zamiast dwóch ludzi, stolarza i pomocnika, prowadzi tylko stolarza. Naprzeciw niego idą Untersturmführer, Scharführer, Oberscharführer i Sturmmann[54]). Stają wszyscy, a między nimi znajduje się stolarz. Untersturmführer zamienił kilka słów z szupowcem, a później ze stolarzem, poczem wyjął rewolwer i zastrzelił go. Wszyscy zrozumieliśmy, że pomocnik stolarza musiał uciec. Po chwili rozległa się komenda: „Zwei Mann herauf"[58]). Dwóch z nas pobiegło prędko na górę i znieśli trupa na dół do ognia. Teraz sam Untersturmführer zeszedł na dół. W milczeniu zaczyna wybierać 5 ludzi, przeważnie starszych, t. zn. 50-letnich, ustawiając ich w jednym szeregu. Później pyta: „Wer von euch schimpft?"[59]). Wstaje jeden człowiek lat 35. „Ich"[60]) powiada, dodając z cicha: „Może się nareszcie pozbędę tej męczarni".

Untersturmführer wywołuje jego też i stawia go w tym samym rzędzie, dodając jeszcze jednego. Teraz już stoi siódemka. Stoją zwróceni twarzami do ognia, jakby patrzyli w przyszłość. Do nas odwróceni są plecami.

Teraz Untersturmführer rozpoczyna przemówienie, skierowane do nas: „Jeden z was uciekł, za niego zostają teraz ci ludzie rozstrzelani. Od dziś, jeżeli ktoś jeszcze spróbuje uciec, to za niego zostanie rozstrzelanych 20 osób. Jeżeli się dowiem, że knujecie jakieś plany ucieczki, wówczas zostaną rozstrzelani wszyscy". Po tych słowach odwrócił się do stojących doń plecami siedmiu ludzi i kolejno strzelił do każdego, kierując wystrzał w tył czaszki i dodając kopnięcie nogą, żeby trup nie upadł w jego stronę. Gdy skończył, kazał wystąpić czterem ludziom, którzy wszystkich zanieśli na ogień, strzelający płomieniami, ledwo o parę kroków dalej.

W tym samym czasie Untersturmführer kręcił się naokoło nas, jakby jeszcze kogoś szukał. Nagle pokazał palcem na Marka i rzekł: „komm"[61]).

Marek wstaje — „ich"? [60])

— „Ja, du du"[62]) odpowiada mu Untersturmführer.

Łzy pokazały się w oczach chłopca. Idąc w stronę, gdzie przed chwilą stała tamta siódemka, pytał jeszcze płaczącym głosem: „Warum doch ich?"[63])

„Aber quatsch nicht so viel — dreh dich um“[64], odpowiedział Untersturmführer. Marek odwrócił się. Za chwilę leżał trup.

„Zwei Mann“! — dwóch ludzi od nas zaniosło go na ogień. Nim go wrzucili kazał mu jeszcze Untersturmführer buty ściągnąć. Szkoda pary butów.

Teraz wydają nam obiad. Po obiedzie, w brygadzie liczącej tylko 122 ludzi maszerujemy do więzienia. Dzisiaj po południu nie pracujemy.

Rozdział V.

NOWY TYDZIEŃ SIĘ ROZPOCZĄŁ. „BRYGADA POPIOŁOWA". NA WŁASNYM GOSPODARSTWIE — OBÓZ „NA PIASKACH". „ANSTÄNDIG UND SAUBER".

Tematem rozmów sobotniego popołudnia i wieczora była ucieczka naszego kolegi i śmierć Marka. Każdy życzy uciekinierowi szczęścia. Niech przynajmniej ktokolwiek z nas się uratuje i opowie światu, co się tu dzieje. I tak wcześniej czy później wszyscy pójdziemy na śmierć. Ustalamy, że kto będzie mógł uciec — niech ucieka. Niech się ratuje i nie zważa na to, że za niego zastrzelą 20 ludzi. Marek jest naszym symbolem. Niby to nas lubi Untersturmführer, niby to nam przyrzeka „długie życie", stara się dla nas o jedzenie, a koniec będzie ten sam — niespodziewana śmierć. Wtedy ten czy ów będzie mógł pytać: „Warum doch ich?" [63]) I sam sobie odpowie: „Bo jesteś Żydem".

Niektórzy przypominają sobie ubiegłą sobotę w obozie, która w porównaniu z dzisiejszą była dniem szczęśliwym. Ale tak już bywa, że człowiek czuje się nieszczęśliwy, a dopiero gdy przychodzi większe nieszczęście, wtedy widzi, że przed tym był szczęśliwszy.

Minął sobotni i niedzielny dzień i znów mamy przed sobą nowy tydzień pełen cierpień i ciężkiej roboty. Kto wie zresztą, czy to tydzień cały? Może tylko parę dni, a może tylko godzina? I cóż — znów dzień, znów noc... Bliżej wyzwolenia, a jeszcze bliżej śmierci.

Poniedziałek 21 czerwca. Dzień zaczyna się, jak zwykle śniadaniem, przemarszem do wąwozu, siedzeniem na trupach. Po apelu udajemy się do pracy. O godzinie 10-tej nadjeżdża auto. Wołają nas. Mamy coś wyładować. Na aucie leżą wielkie kamienie. Są to nagrobki, przywiezione z żydowskiego cmentarza. Każdy kamień waży 300 — 400 kg i te kamienie trzeba przetransportować na dół do wąwozu. Zaznaczyli, że kto upuści kamień, temu głowę rozwalą.

Szczęśliwie przetransportowaliśmy kamienie. Ułożyliśmy je w kwadrat, potem wszystkie szpary zalaliśmy cementem. O kilka kroków dalej wyplantowaliśmy niewielki plac. Plac ten służył do spalania kości, które się wynosiło z ognia. Po przeciwnej stronie wyplantowaliśmy miejsca na popiół, a z trzeciej strony na kości, które nie mogą przejść przez sito. Obok tego miejsca umieściliśmy ławki do siedzenia. Jest to nowa placówka pracy, na której pracują słabsi ludzie — „Brygada popiołowa" czyli „Aschkolonne". Brygada ta ma za zadanie tłuczenie kości na całkiem drobny miał, cienki jak luksusowa mąka. Przy tym trzeba wyjąć osobno wszelkie metale napotkane wśród kości. Rzeczy wartościowe, jak złoto i platynę kazano rzucać osobno do specjalnego sita, które znajdowało się koło ławek. Wieczorem brygadier brał to sito do góry, oddając je Untersturmführerowi, który przesypywał jego zawartość do lnianego woreczka, oddając sito z powrotem.

Robota „Aschkolonny" [73]) wygląda w następujący sposób: kilku ludzi przynosi koszem popiół na plac. Tu podchodzą inni, nabierają ten popiół do swoich sitek i idą z nim na miejsce przesiewania. Drobny popiół przechodzi, a kości i metale zostają w sitkach. (Są to sitka, przeznaczone w normalnym gospodarstwie do przesiewania mąki). Po pierwszym przesianiu popiołu ludzie siadają z sitkiem na ławce i szukają, czy wśród pozostałości nie ma metali. Następnie rzucają pozostałe kości na płaszczyznę, ułożoną z kamieni i tu tłukami z bukowego drzewa tłuką je tak długo, jak długo dają się rozbijać. Następnie oczyszczają płytę, wyrzucając niedotłuczone resztki miału kostnego na kupę, z której pierwszy raz nabrali popiół. Stąd miał znowu wraca do sitek, którymi się go przesitkowuje jeszcze raz. Kości, które i tym razem nie przeszły przez sito, wracają jeszcze raz do ognia.

Od pracy tej ludzie wracają wieczorem czarni, jak murzyni, bo przez cały dzień unosi się nad placem gdzie pracują okropny kurz, powstający z sitkowania.

Wtorek 22 czerwca. Więzień, który siedzi za kratami żałuje, że nie przebywa na swobodzie jak inni ludzie, ale zawsze jest mu lżej, niż gdy wywożą go na jakąś wyspę, całkowicie odciętą od reszty świata. Tutaj, gdzie my pracujemy, oprócz trupów, naszych morderców, ognia i gór, naokoło nie ma nikogo i niczego. Nie ma tu łączności z miastem, która w obozie jednak istniała. Mam to poczucie, że już nigdy nie zobaczę żywego człowieka, oprócz moich towarzyszy, teraz stających się jedną rodziną. 122 ludzi, dzielących wspólny los, wspólną pracę i wspólną myśl. Myślimy jak dożyć, by pomścić śmierć naszych rodzin.

Jak zwykle opuszczamy więzienie i udajemy się do pracy. Właściwie nikt z SD nam nie powiedział, że już więcej wieczorem nie wrócimy do obozu, ale dwóch szupowców zdradziło nam ten sekret. Nieliczni spośród nas w to wierzą, a reszta nie chce wierzyć. Jak zwykle nasza brygada z wąwozu udaje się na budowę. Dziś kończymy odrutowanie placu, na którym znajduje się świeżo przez nas wybudowany bunkier. Ze szczególnym napięciem oczekujemy godziny 4,30 t.j. końca roboty.

O godz. 4,30 koło naszej furtki, którą się wchodzi do bunkru, staje fura a na niej siedzi szupowiec, który zwykle nas pilnuje. Jest to dla nas kolacja. A więc tak — zostajemy tutaj!

Tu, w tym bunkrze będziemy mieszkać. Bunkier ma 10 m długości, 5½ m szerokości i tylko 1½ m wysokości, jakby naumyślnie, by człowiek nigdy nie mógł głowy podnieść. Do środka wchodzi się schodami w dół. Jedną ścianę — naturalną — stanowi ścięte stromo zbocze góry. Druga i trzecia ściana jest usypana i ubita, aż po sam dach z ziemi. Z drogi prowadzi 6 schodów na podwórze, ogrodzone drutem kolczastym.

Naprzeciwko furtki znajduje się wejście do bunkru. Odległość od wejścia do furtki wynosi około 2 m. Odległość od drutów wynosi około 4 m. W bunkrze na dachu są umieszczone 3 otwory, przez które dostaje się światło i powietrze. Wnętrze podzielone jest na dwie części. Część pierwsza jest dwa razy większa od drugiej. Obie części oddzielone są przejściem szerokości 20 cm. W tej szerszej części śpimy w dwóch rzędach, nogami stykając się ze sobą.

Więc dziś zostajemy tu. Ruch, gwar, każdy bije się o miejsce. Nareszcie układamy się jak śledzie. Wszyscy muszą leżeć na boku. Nogi skulone. Dzisiaj narazie żadnego innego otworu w budynku nie ma prócz wejścia, tak że z braku powietrza nieomal można się udusić. Z powodu strasznej ciasnoty kładą się niektórzy w przejściu i nawet w samym wejściu, tak, że gdy ktoś w nocy musi wyjść nie jest w stanie się przedostać. Tu już wychodzimy załatwiać się do klozetu, który znajduje się na placu. Gdy ktoś w nocy wychodzi, musi się przy wyjściu meldować wachmajstrowi, który stoi za drutem, naprzeciwko wejścia do bunkru. Wachmajster melduje drugiemu wachmajstrowi, który też stoi po tamtej stronie drutów, ale naprzeciwko dłuższej ściany bunkru. Ten odprowadza idącego do klozetu światłem reflektora na miejsce. Przy tym załatwiający się musi pamiętać o tym, by trzymać się blisko ściany bunkru. W odległości około 30 m od naszego baraku znajduje się namiot szupowców, którzy będą przy nas pełnili stały dyżur. W namiocie ich nagromadzono zapas amunicji.

Środa 23 czerwca. Dzisiaj rano o godz. 7-mej odbywa się już apel, jak w obozie. Ustawiamy się piątkami. Odliczamy. 24 piątek i jeden człowiek luzem, prócz Herchesa. Herches melduje szupowcowi stan ludzi i po apelu rozchodzimy się po naszym podwórzu. Nadjeżdża śniadanie z obozu autem, prowadzonym przez SS-owca. Wychodzi 10-ciu ludzi do wyładowania baniek, ale w aucie oprócz śniadania leżą zabici poprzedniego dnia w obozie. Tak codziennie wraz z śniadaniem przywożą nam zabitych. Odnosimy ich do ognia i wrzucamy ich tam, nie czekając na rozkaz, bo już sami wiemy, co należy z nimi zrobić. Inni wnoszą tymczasem śniadanie do środka. Wydzielają śniadanie, każdy zjada swoją porcję i zbieramy się powtórnie na apel. Godzina 8-ma. Nadchodzą Scharführerzy i Untersturmführer. Herches melduje stan ludzi i brygadami wychodzimy do pracy. Nasza brygada, zatrudniona dotychczas przy budowie, została rozdzielona między inne brygady za wyjątkiem jednego człowieka, który miał zrobić otwór w dachu bunkra. Ja, bojąc się strasznie robót przy trupach, nie wychodzę, tylko zostaję w bunkrze bez niczyjej wiedzy, niby to dla zaprowadzenia porządku. Co mi mogą zrobić? Najwyżej zastrzelić! Ale ja się tego nie boję.

Nadchodzi godzina 12-ta. Dziś już nie jemy obiadu w wąwozie, tylko brygady schodzą się na górę do naszego obozu. Tu odbywa się jeszcze raz apel, który odbiera Hauptscharführer, zastępca Untersturmführera. Nazywa się Rauch. Szczupły, średniego wzrostu berlińczyk, który liczy lat 21 i jest bardzo dziecinny.

Zjadamy obiad. O godz. 1,30 znowu apel. Każda brygada udaje się na swoją przedpołudniową placówkę pracy. Nadjeżdża słoma. Pełne auto słomy. Słomą tą nakryte były kartofle w obozie i czuć ją mocno stęchlizną. Zawołano kilku ludzi z wąwozu, wyładowaliśmy słomę i zanieśliśmy ją do bunkra, gdzie rozesłaliśmy ją równo po całym klepisku. Woń stęchlizny można było wytrzymać. Gorsze było to, że wracając od pracy przy zwłokach przechodził każdy upapranymi w trupiej cieczy butami do swego posłania, wskutek czego słoma przesiąkła odrazu nieznośnym fetorem. Wdychać musieliśmy go we śnie wraz z duszącym odorem żywych ciał, stłoczonych w strasznej ciasnocie.

O godz. 5-tej kończymy robotę. Znów apel. Następnie trzeba się obmyć. Dziś dostaliśmy wiadra i miednice. Trzeba pójść po wodę. Każdy się chce myć, ale nikt nie ma chęci do dźwigania wody, bo droga do studni jest bardzo ciężka. Wciąż trzeba iść w dół i do góry. Wobec tego łapie się 10-ciu młodych

chłopców, którzy pod eskortą udają się po wodę i po upływie godziny przynoszą dwadzieścia wiader wody, z których jednak każdy po drodze trochę wody wylał. Każdy dostaje do obmycia się 1 litr wody. Jeszcze z tego połowę wypijamy, bo każdy jest bardzo spragniony. Nadjeżdża kolacja. 180 l kawy, 180 l zupy i 30 kg chleba. Każdy dostaje kolację i zasiada do niej w kucki na placu obozowym.

Tak siedzimy do godz. 8-mej. O 8-mej znowu apel. Później każdy wchodzi do bunkru. Mamy się położyć spać. Po 8-mej nie wolno nikomu znajdować się na placu obozowym. Tymczasem zaczyna padać deszcz. Na dworze pada, a w baraku leje, jak z cebra, bo w dachu wycięto dla wentylacji dziury. Siedzimy skuleni jeden koło drugiego, bo leżeć w takim deszczu niepodobna. Jest to dla nas klęska. Człowiek całkiem przemoknięty, niewyspany i zmęczony po całym dniu pracy, a jeżeli w nocy nie wypocznie i nie będzie miał sił pracować, to następnego dnia grozi mu niechybne bicie albo kula. Tak mija noc. Gdy ustał deszcz, trochę zdrzemnęliśmy się.

Czwartek, 24 czerwca. Ranek mija jak wczoraj, Untersturmführer zadowolony z wczorajszej roboty, gdyż spalono ponad 2.000 trupów, wygłasza do nas przemówienie.

Jest to mężczyzna lat czterdziestu, tęgi, wzrostu nieco więcej niż średniego, o świecących nieprzyjemnie oczach. Prawie zawsze jest pijany, ale mimo to nigdy nie wyrwie się z niepotrzebnym słowem. Nazywa się Scherlack. Pochodzi z Berlina, ale rodzinę t.j. żonę i 7-letniego syna ma tu, we Lwowie. Jest on wyśmienitym komediantem a przy tym — dobrym gospodarzem.

Przemówienie zaczyna od słów, które się stają później jego ulubionym hasłem — „Nur anständig und sauber!“ [66]) Mówiąc „sauber“ ma przy tym na myśli czyste sumienie, bo jeżeli ktoś ucieknie, to zastrzelą za to 20 ludzi innych, więc ten, za którego przyczyną to nastąpi, nie będzie miał czystego sumienia. „Jeżeli się będziecie tych dwóch rzeczy trzymali, to będziecie u nas żyli do 100 lat“. „Aber“ [67]) — tu podniósł rękę ze wskazującym palcem i nawpół zamknął swe błyszczące oczy z uśmiechniętą miną — „ich werde für euch sorgen, wie ein Vater für seine Kinder“ [68]). Zaczyna wypytywać, jak nam smakowało dzisiejsze śniadanie, wczorajsza kolacja i zapewnia nas, że to jeszcze nic w porównaniu z tym, co w najbliższym czasie dostaniemy. Każdy z nas otrzyma jeszcze jedno ubranie i parę butów do przebrania się po robocie. Obiecuje, że się postara o wodę do mycia rąk, byśmy nie musieli nosić jej z daleka, a co się tyczy dziurawego dachu — trudno, z tą niewygodą musimy się pogodzić, na to „niestety“ nie ma rady!

Przy furtce, prowadzącej do naszego obozu, ustawiają wannę z wodą, w której jest rozpuszczony lizol. Służy ona do mycia rąk. Po drugiej stronie znajduje się sikawka, napełniona roztworem lizolu, silniejszym niż w wannie. Służyć ma do opryskiwania butów w tym celu, żeby nikt nie wchodził skażonymi butami do bunkru. Ta sama sikawka służyć będzie także do dezynfekowania baraku, gdyż od dziś codziennie będziemy dezynfekowali barak.

Bańki po kawie zabiera ze sobą szofer do auta. Należy on do SD i ma rangę Hauptscharführera. Został on wraz z autem przydzielony do komendy naszej jako szofer. Nazywa się Ulmer. Średniego wzrostu, w okularach, nieszczupły, dobry, zawodowy szofer — należy już Ulmer, jak słyszałem z jego własnych ust do partii od 12 lat t.zn. od okresu przed powstaniem obecnego rządu. Jeżeli on dopada do kogoś, by go bić, to bije do nieprzytomności. Gdy widzi krew ludzką, dziczeją mu oczy. Należy do ludzi żądnych ludzkiej krwi. Za jakąś godzinę przywozi dla nas wodę i każe ją rozdać do mycia przed obiadem, a trochę wody chowa do obmycia naczyń. Jednym słowem w obozie naszym zaczyna się planowa gospodarka.

Godzina 12-ta. Wszystkie brygady schodzą się na obiad. Na polecenie Untersturmführera staję u wejścia wraz z jeszcze jednym chłopakiem. Zatrzymujemy wszystkich. Każdy myje wpierw ręce w wannie z rozpuszczonym lizolem, później podchodzi do sikawki i opryskuje sobie buty. Przy furtce znajduje się już też skrobaczka, przy pomocy której każdy oskrobuje sobie spód butów. Po chwili wszyscy już stoją na obozowym placu do przedobiedniego apelu. Po apelu wszyscy myją ręce i twarz. Każdy szoruje ręce piaskiem. Skóra rąk staje się czerwona. Ale trupiego zapachu tak łatwo usunąć nie można. Chociażbyśmy myli ręce lizolem i chlorkalkiem benzyny, to jeszcze na drugi dzień będą śmierdzieć trupem.

Apel odbiera dzisiaj Sturmmann. Najmłodszy rangą, więc jak zwykle tacy, lubi pokazać, co umie. Najgorszy ze wszystkich. Liczy około lat 30-tu. Pochodzi z Bolechowa (Galicja). Mówi dobrze po polsku i po ukraińsku. Nazywa się Reiss.

Po południu auto przywozi 12 baniek wody, czyli około 360 litrów. Każdy dziś wieczorem dostał dostateczną ilość wody, każdy się porządnie umył.

Tak mija dzień czwartkowy.

Rozdział VI.

NOWE GROBY. SPOSÓB WYCIĄGANIA I PALENIA TRUPÓW. DÓŁ ZASYPANY, ZIEMIA WYRÓWNANA, ZASIANA TRAWA.

Piątek, 25 czerwca. Ranek przechodzi, jak zwykle. Dzisiaj jedna brygada zabiera się do odkopywania nowych grobów. Groby te znajdują się naprzeciwko dłuższej ściany naszego bunkru w odległości jakichś 20 m. Są tutaj trzy groby zawartości powyżej 700 trupów. Dziś przy wyjściu do pracy szef nasz wspomniał, że od poniedziałku chce słyszeć śpiew, gdy będziemy wychodzili do pracy.

Groby są zarośnięte, tak jak cały teren. Ale kierownictwo ma plan grobów. Oprócz tego są wśród naszych SD-manów tacy, którzy obecni byli przy egzekucjach. Gdy tylko człowiek się zorientuje, gdzie się grób znajduje, to zauważy, że ziemia która przykrywa trupy jest popękana i sypka. Murawa na niej nie tak gęsta i zwarta, jak opodal. Trupy leżą w ubraniach. Wrzucone bezładnie, przykryte warstwą ziemi około 1 m grubości. Na głębokości jakich 20 cm od powierzchni nad tą dolną warstwą leży kilka trupów, jakby pogrzebanych dodatkowo. Sami mężczyźni. Są to najprawdopodobniej ci, którzy pracowali przy zagrzebywaniu tamtych. Żeby zaś nie było świadków, także ich na końcu zastrzelono i ich już Niemcy sami nakryli.

Zakładamy palenisko dla palenia trupów. Wyplantowujemy kawał terenu w formie kwadratu o boku 7 m. Z dwóch stron robi się podwyższenie około 1 m wysokości. Na tym wyplantowanym placu kładzie się t.zw. fundament t.zn. układa się na ziemi w odstępach grube polana, które tworzą rusztowanie pod trupy. Chodzi o to, aby trupy nie leżały na samej ziemi, aby miały z dołu powietrze i dobrze się paliły. Przez dzisiejszy dzień wszystkie trzy groby zostały odkryte i wszystko przygotowane do wyciągnięcia trupów i przenoszenia ich do paleniska do t.zw. „Brandstelle". Przywieziono haki, takie,

jakich się używa do wyciągania lodu. Będą one służyć do wyciągania trupów. Koło przygotowań tych pracuje brygada złożona z 20 osób.

Tak mija dzień piątkowy.

Sobota, 26 czerwca.

Dziś na apelu, który się odbywa o godzinie 7-mej, Herches na rozkaz Untersturmführera wydziela specjalną brygadę, która się udaje wraz z wczorajszą brygadą do pracy przy nowych trzech grobach. Reszta ludzi schodzi do wąwozu.

W wąwozie, w którym trupy już zostały spalone, przerzuca się całą ziemię dla zbadania czy nic nie zostało. Po przerzuceniu tej ziemi trzeba o tym zameldować Untersturmführerowi, który dosyć dokładnie kontroluje wykonaną robotę. W razie znalezienia w ziemi bodaj jednego włosa cała brygada dostaje po 25 bykowców, a 25 bykowców znaczy więcej, niż 100 nahajów.

Robota przy trzech grobach wygląda w sposób następujący: 3 ludzi z jednym hakiem schodzi do grobu, a dwóch stoi z drugim hakiem na górze. Trójka, która stoi w dole wbija hak w trupa i wyciąga go z tego miejsca, w którym znajdował się poprzednio. Dwójka z góry wbija hak w odpowiednie miejsce tak, żeby trup się nie przerwał na dwie części i wyciąga go w górę. Tu tragarze kładą 2 do 4 trupów na przywiezione wczoraj nosze (w rodzaju szpitalnych). Przy każdych noszach pracuje 2 ludzi obsługi, którzy noszą trupy do „Brandstelle“[69]), znajdującej się tuż przy grobach. Brandmeister[44]) nalewa benzynę i oliwę na fundament wczoraj ułożony i podpala go. Tragarze z noszami wchodzą na przygotowane podwyższenia i wrzucają trupy do ognia. Po jednej stronie para tragarzy wchodzi, a po drugiej schodzi, aby nie przeszkadzać następnym parom, które idą z trupami za nimi. Tragarz musi ciągle nacierać ręce piaskiem, gdyż od trupów ręce i rączki noszy stają się śliskie. Brandmeister czarny, osmolony od ognia, z żelaznym hakiem w lewej ręce, którym ciągle miesza ogień, kieruje ruchem. Wskazuje on, gdzie rzucić trupy, na które wejść podwyższenie, jak rzucić by nie zadusić ognia. Nie daj Boże, gdy się źle rzuci! Trzeba wtedy zejść do ognia, wyciągnąć trupa i jeszcze raz rzucić. Ogień jest wielki, tak że piecze już z odległości kilkunastu metrów. Tuż obok „Brandmeistra“ stoi jego pomocnik i Zähler“[44]). Pomocnik „Brandmeistra“ odgarnia spalone kości i ciągle podrzuca drzewo.



Gdy już wszystkie trupy z grobu są wyciągnięte, kilku ludzi (później specjalna brygada) przeszukuje grób. Rękoma wybierają każdą kość i włos, które wkładają do wiadra i wrzucają następnie do ognia. Po przeszukaniu grobu meldują o tym Untersturmführerowi. Untersturmführer przeprowadza kontrolę. Stojący w dole oskrobują zielone od trupów ściany i posypują opróżniony dół chlorkiem aby zagłuszyć smród.

Teraz dół zostaje zasypany i ziemia zaplantowana. Później przejeżdża się jeszcze po byłej mogile broną, ciągnioną przez nas zamiast konia, nakoniec zasiewa się na tym miejscu mieszankę nasion różnych traw, jakie tu rosną naokoło. Po kilku tygodniach zarasta to miejsce tak, że nie można poznać, że coś było ruszane.

Dziś pracujemy, jak ubiegłej soboty, tylko do godziny 12-tej. Po południu idzie kilka razy — coraz inna dziesiątka — po wodę.

Myję się, piorę bieliznę.

Rozdział VII.

NAWIĄZUJEMY KONTAKT Z SZUPO. KOMENDANT PRAGNIE WIDZIEĆ WESOŁE TWARZE I SŁYSZEĆ ŚPIEW. DBAŁOŚĆ O OPIEKĘ SANITARNĄ. ALARM LOTNICZY I CO POD TYM NALEŻY ROZUMIEĆ. JAK ZAOPATRUJĄ NAS W NOWE UBRANIA. JESZCZE JEDNO PRZEMÓWIENIE.

Niedziela, 27. czerwca.

Dziś dzień wolny od pracy. Powoli podchodzimy do drutów i zaczynamy rozmawiać z szupowcami, którzy nas pilnują. Ciągle się oglądają czy ktoś nie nadchodzi, gdyż z Żydami im rozmawiać nie wolno. Pomału umawiamy się z nimi, że nam wszystkiego będą dostarczali. Masło, kiełbasę, jajka, wódkę, papierosy i co tylko zechcemy. Jedyny warunek to ten, żebyśmy im dali złoto. I tak będziemy z nimi handlowali. Interesy załatwiać będzie z szupowcami wyłącznie t. zw. świta, t. j. brygadierzy lub inni ustosunkowani i lepiej każdorazowo zorientowani w sytuacji koledzy.

Za złapanie kogoś, mającego przy sobie kawał złota grozi kula z miejsca, a wykrycie przez SD, że prowadzimy z szupo handel, możemy wszyscy przypłacić rozstrzelaniem. Trzeba też wiedzieć, z którym szupowcem można się wdać w konszachty, aby nie doniósł o tym do SD. Najważniejszym problemem są dla nas chwilowo papierosy, gdyż jedzenia mamy teraz dość, papierosów zaś wogóle nie mamy. Dla niektórych papieros jest ważniejszą rzeczą od jedzenia.

Szupowcy nasi nie są zawodowymi policjantami, tylko przydzieloną do policyjnej służby rezerwą. Pochodzą oni przeważnie z Berlina. Większość stanowią wśród nich rzemieślnicy. Nie przyszli tu z własnej woli. Byli przydzieleni do Tarnopola, do pułku Nr 23. Jest to pułk, który ma na celu walkę z partyzantami. Stamtąd niektórzy zostali przydzieleni do nas. Przy egzekucjach nie biorą oni w rozstrzeliwaniu udziału. Są między nimi socjaliści. Powiadają, że i dla nich służba obec-

na nie jest przyjemnością, ale cóż mogą zrobić? Czegoż człowiek dla życia nie zrobi? Na front nie mają ochoty iść, bo to pewna śmierć. Niektórzy z nich nawet nas pocieszają i obiecują, że gdyby przyszła jakaś zmiana w polityce, to nam dadzą znać. Gdy mordercy z SD odchodzą i nie stoją nad nami, wówczas szupowcy niewiele dbają o to, czy robimy co, czy nie. Nieraz zdarza się, że nas ostrzegają, gdy nadchodzi ktoś z SD. Ale nie wszyscy. Niektórzy z nich zaś robią to przede wszystkim dla interesu. Dostają oni po 3,60 marek dziennie. Natomiast, gdy dostaną od nas kawałek złota — wart jest kilka tysięcy. Szupowcy doradzają nam, byśmy byli na pozór zawsze weseli, byśmy udawali, że jesteśmy zadowoleni z naszej roboty, bo złą minę przypłacić możemy życiem.

Mija przedpołudnie. Niektórzy piorą, jeśli mają wodę, niektórzy czyszczą swe ubrania. Po południu odbywa się rewizja przeprowadzona przez Oberleutenanta[70]) szupo. Chodzi o to, czy nikt z nas nie ma przy sobie broni, scyzoryków, noży i t. p. Po kolacji przygotowujemy piosenkę do marszu. Musimy przecież wypełnić rozkaz Untersturmführera. Tak mija dzień wypoczynkowy. Nadchodzi znowu ciężki tydzień pracy.

Poniedziałek, 28. czerwca.

Ranek mija jak zwykle. O godz. 8-mej wychodzimy do pracy na te same placówki, co w sobotę. Śpiewamy przy marszu:

„Hej, j... twoju mat
Czomuś me rodyła?
Taki żywot, taki żywot
Ne powerenyła?“[71])

Piosenkę tę nazywają Niemcy „Russische Karawane[72])“.

Serce płacze, a usta śpiewają.

Lekarza nie ma w całej brygadzie, ale za to jest aptekarz, więc aptekarz zostaje przydzielony do służby w baraku i jest jak Untersturmführer zaznaczył, odpowiedzialny za stan zdrowia brygady. Untersturmfürer nie chce mieć chorych. Przywieziono nam dzisiaj apteczkę. Dziś wieczór robi się opatrunek każdemu, kto ma jakąkolwiek ranę. Zostaje też przydzielony do nas sanitariusz w randze Zugsführera[50]). Zawód swój zna on doskonale i przy tym ma lekką rękę przy operacjach. Ale jest wielkim sadystą tak, że się go wszyscy boją i wolą z nim nie mieć do czynienia.

Dzień jest gorący. Jest to dodatkową udręka przy ciężkiej pracy. Każdy zrzuca koszulę i prawie wszyscy dostajemy porażenia słonecznego i to w silnym stopniu. Wracamy do domu, jak nieżywi i nie możemy się ruszyć. Aptekarz robi za-

biegi, ale cóż — piecze. Tak mija dzień poniedziałkowy. Wieczorem wielu nie bierze kolacji — mają gorączkę. Noc jest parna. Ludzie wiją się w cierpieniach. Ale z wielkiego zmęczenia każdy pomału zasypia. Nad ranem gdy tylko zaczyna szarzeć, niektórzy pomału wysuwają się z baraku i kładą się spać na dworze. Tak mija noc.

Wtorek, 29. czerwca.

Jak zwykle wychodzimy na robotę. Niektórzy już nie mogą się na nogach utrzymać. Jest ich narazie niewielu — trzech. Zostają tu w baraku wraz ze mną. Ja stale zostaję w baraku do sprzątania. Oni rzekomo też. Ale cóż — gdyby było ich tylko trzech! Bieda w tym, że choroba zaczyna się rozszerzać, a zostawiać więcej ludzi w baraku nie wolno, bo wpadną i ci trzej i ja.

Dziś kończy się plantowanie trzech grobów, które w piątek odkopano. Ogień jest na ugaszeniu. Widać, jak skrzyniami ludzie noszą popiół do Aschkolonny[73]).

Untersturmführer ciągle przychodzi i pyta, czy jesteśmy zadowoleni. Każdy z nas rozumie, że nie wolno powiedzieć „nie". Przy tym pyta on tego i tamtego, dlaczego ma tak smutną minę, czy mu się może coś nie podoba, bo w tym wypadku może odesłać go z powrotem do lagru. Wszyscy wiemy, że u niego „lager" znaczy ogień. Przypomnieliśmy sobie słowa szupowca, to też od dzisiaj staramy się być „wesołego usposobienia". Stajemy się komediantami. Serca płaczą, a twarz wesoła.

Dzisiaj kończymy wcześniej, już o godz. 4-tej. Jak zwykle po pracy odbywa się apel. Po apelu myjemy się. Nagle przerywają nam mycie. Każą nam wszystkim wejść do baraku i zasłonić wejście jakimś płaszczem. Jest alarm lotniczy. Przy tym szupowcy ostrzegają nas, że o ile zauważą, iż ktoś z nas wygląda z baraku to będą strzelali do środka. Każdy z nas ma tę samą myśl — niech spadnie tu bomba i zabije nas wraz z Niemcami.

Nagle słychać szczekanie psa. Słyszymy stąpanie większej ilości nóg, uderzenia nahajek. Nadsłuchujemy. „Ausziehen"[15]). Niektórzy z nas wyglądają przez szpary w dachu. Raportują co widzą. Widać gromadę ludzi. Rozbierają się. Naokoło stoją szupowcy z nahajkami i biją. Słychać krzyki — „Los! Los!"[74]) Nagle słychać głośne „Ojej!" To jeden z Żydów odwrócił się i pies go złapał za nogę. Później słychać — „Zu fünf antreten!"[75]) Ludzie — nadzy już — stają piątkami. Każdy zakłada ręce na kark. Wszystko to dzieje się za drutami naszego obozu, naprzeciwko dłuższej ściany baraku.

Piątkami podchodzą ludzie do ognia, który pali się w odległości kilkunastu metrów. Tuż przy ogniu stoi Scharführer z obozu — nazwiskiem Siller. W ustach trzyma chusteczkę nasyconą dwutlenkiem węgla, aby mógł złapać oddech, bo tu strasznie śmierdzi. W prawej ręce trzyma rewolwer. Podchodzi piątka — on staje z tyłu i każdemu kolejno pakuje kulę w tył czaszki i dodaje kopnięcie nogą, żeby padł w przeciwnym od niego kierunku. Kończy jedną piątkę — już podprowadzają drugą. Reszta stoi naprzeciwko i patrzy co się z tamtymi dzieje. Stoją jak baranki, nikt nawet nie próbuje stawiać oporu. Stoją obojętni — cóż im pomoże opór? Mogą tylko ściągnąć na siebie bicie, przedłużenie męczarni przedśmiertnej i nic więcej.

Tak po pół godzinie wszystko było gotowe. Słyszymy teraz głos szupowca który stoi na warcie koło drutów: „Herschel schnell!“[76]). Herches wychodzi. „Alles heraus!“[77]). Wszyscy wychodzą, Herches dostaje rozkaz sformowania brygady z 20 najlepszych robotników wraz z obydwoma Brandmeistrami. Mają oni jeszcze dziś wrzucić wszystkich do ognia. Czterech ludzi wychodzi do sortowania rzeczy. Szupowcy kręcą się jak na jakimś weselu. Szukają po kieszeniach. Ten sobie odkłada parę butów, inny ubranie. Nabrano cztery wiadra i jedną wielką balię pieniędzy, złota, brylantów.

Po godzinie wszystkie trupy się paliły.

Było ich 275. Ci, którzy ich uprzątali opowiadają, że przeżyli straszny moment — kiedy wrzucali jednego trupa do ognia, ten krzyknął — „oj“!, bo był jeszcze żywy. Tymczasem przy takiej robocie nie można się oglądać, czy żywy czy nie. Niemcy poganiają w straszny sposób, bo wiedzą, że jesteśmy przy tej pracy bardzo zdenerwowani. Byli to ludzie z firmy „Zela 19“[78]). Przyszli oni do obozu z pracy, jak codziennie. Napewno nie wiedzieli, co ich czeka. Weszli przez główną bramę do środka obozu, a potem kazano im wyjść przez tę samą furtkę, którą myśmy wychodzili dawniej i popędzono ich tą samą drogą, którą szliśmy codziennie do pracy, zanim tu osiedliśmy na stałe. Także oni przyszli tu na piechotę. Byli między nimi dwaj, którzy się uratowali z więzienia śmierci, dzięki brygadierowi z firmy Zela 19, który był ich szwagrem. Kosztowało to wiele trudu i pieniędzy. Wszyscy im zazdrościli, że się uratowali, a oto taki był ich koniec.

Środa, 30 czerwca.

O godz. 8-mej wychodzimy jak zwykle do roboty. Powiększona brygada udaje się na nowe miejsce pracy. Znajduje się ono o 10 m przed wąwozem po przeciwnej stronie

drogi, która prowadzi na ul. Pilichowską. Są tu groby z ostatnich dwóch miesięcy. Ziemia tu jest wilgotna, tak że trupy są zgniłe. Robota trwa dlatego o wiele dłużej, bo zamiast całego trupa wyciąga się często tylko oddzielne części zwłok. Czaszki leżą przeważnie osobno. Tu liczą więc tylko ilość czaszek, zaś trupów bez czaszek nie liczą. Jeden grób jest tak przegniły, że kości się zupełnie rozsypały. Praca tu jest paskudna. Ludzie przez cały dzień stoją po kolana w mokrych kościach, w okropnym smrodzie i rękoma zbierają kości do wiader, a potym każde wiadro z osobna noszą na palenisko i wrzucają zawartość do ognia.

Na placu tymczasem czterech ludzi sortuje ubrania, buty i przy tym przeprowadza jeszcze raz rewizję.

Przy apelu wieczornym na którym jest obecny Untersturmführer, wygłasza on do nas przemówienie. „Te wszystkie rzeczy, które macie przed sobą — powiada — są przeznaczone dla was. Jutro rano chcę widzieć każdego z was porządnie ubranego. Każdy ma mieć inne ubranie do roboty, a inne po pracy, tak żeby nie potrzebował wchodzić do bunkra w tym samym ubraniu i butach, w których pracuje". Przy tym zaznacza — „Alles werde ich für euch besorgen, aber anständig und sauber — müsst ihr sein! Nur diese zwei Sachen verlange ich von euch, dann werde ich für euch sorgen, wie ein Vater für seine Kinder. Werdet ihr mich aber enttäuschen, dann bin ich für euch un-barm-herzig!"[79]).

Jak zwykle macha ręką, przymykając swoje świecące oczy i uśmiecha się: „Passt auf, dann werdet ihr 20 Jahre, aber was 20? — 100 Jahre werdet ihr leben. Arbeit haben wir noch viel. Wir werden noch nach Mexiko fahren. Nur aufpassen, nur sauber und anständig. Herschel, pass auf, du sollst die Sachen gut verteilen"[80]). Nakoniec pyta: „Habt ihr verstanden, was ich zu euch gesprochen habe? Also gut"[81]). Podnosi lewą rękę niby to na pożegnanie i odchodzi. Prawdziwy ojciec. Aktor, jakiego świat nie widział. Przyrzekł nam przed kilku dniami, że każdy dostanie jeszcze jedno ubranie i buty i już dotrzymał słowa.

Każdy dostaje bieliznę, ubranie i parę butów. Co było najlepszego, zabrali szupowcy wczoraj. Ale nam tego nie potrzeba. My wolelibyśmy spać w tych samych łachmanach, w których przy trupach robimy i podziękowalibyśmy za te ubrania, gdyby nie rozkaz. Gdybyśmy jednak ubrań po zabitych nie włożyli, wtedy oni gotowiby nas zastrzelić, bo by powiedzieli, że my protestujemy.

Rozdział VIII.

UDAR SŁONECZNY, CZY TYFUS? „KRANKENHAUS", „APEL JĘZYKOWY". BRYGADA SIĘ KURCZY.

Czwartek, 1. lipca.

Nie będę się zatrzymywał przy opisach codziennych wydarzeń, gdyż zbytnio się powtarzają. Odtąd będę notował tylko ważniejsze zdarzenia z życia naszej brygady, będę podawał kolejne miejsca pracy i główne wypadki.

Zaczynam od dzisiejszego dnia. Dziś do apelu Untersturmführer przyszedł uśmiechnięty. Każdy z nas miał na sobie nowe ubranie. „Na, ich werde noch mehr für euch sorgen. Nur anständig und sauber. Ja, lasst zur Arbeit antreten, zur Arbeit, Kinder, zur Arbeit"[82]).

Wszyscy wychodzą do roboty. Niektórzy ledwo nogami powłóczą. Nie mogą już chodzić, bo są w szóstym lub siódmym dniu tyfusu. Trzeba uważać, by Niemcy tego nie spostrzegli. Aby tylko przeszli przez drogę, to już przy pracy jakoś dadzą sobie radę. Dostaną lżejszą robotę, a inni będą ich kryli. Zresztą wszystkich chorych daje się do „Aschkolonne"[73]). Tam niby to siedzą i szukają złota, a zdrowi cały dzień drobią kości. Szupowcy wprawdzie widzą, że przy pracy siedzą chorzy, ale z nimi dajemy sobie radę. Brygadier wtyka im kawałek złota i milczą. I w baraku samym zorganizowaliśmy pomoc dla chorych. Dostali osobne, wygodniejsze miejsce. Ja też schodzę kilka razy w nocy z legowiska i robię im zimne okłady. Każdym chorym zajmuje się jeden zdrowy, myje go i wynosi z pod niego. Wszyscy pomagają im, jak tylko mogą. Ale cóż — nadchodzą dnie kryzysu, kiedy wychodząc do pracy chory zatacza się i pada. Wtedy Untersturmführer pyta się, co z nim jest? Tłumaczą mu, że wczoraj był gorący dzień, więc człowiek dostał udaru słonecznego. Untersturmführer każe go zaprowadzić do bunkru, aby przeleżał dzień.

Untersturmführer zaczyna obserwować wszystkich. Dostrzega, że ten źle wygląda, że ów ledwo trzyma się na nogach. Wieczorem przy apelu pyta, co porabia chory. Herches mówi, że mu lepiej, ale gdy Untersturmführer wchodzi do bunkru — zastaje go nieprzytomnego. Chory majaczy, pali się z gorąca. Milcząc, Untersturmführer wychodzi. Wciąż zapewniają go, że to taki silny udar. Każe go zostawić do następnego dnia. Gdy na drugi dzień taki sam wypadek zdarza się z jeszcze jednym robotnikiem, Untersturmführer odsyła wszystkich z powrotem do bunkru.

Wieczorem zajeżdża auto. Untersturmführer każe wszystkich chorych wyprowadzić, dobrze ich ubrać, gdyż jadą do „Krankenhausu[83]). Ogarnia nas wielki żal. Ludzie, którzy się tyle przemęczyli, jeszcze tylko dwa kryzysowe dni mieli do przetrwania, a teraz jadą do „Krankenhausu".

Zajeżdżają pod sam ogień, otwiera się tylna klapa. Chory staje tuż przy otworzonej klapie twarzą do ognia. Scharführer oddaje wystrzał w tył czaszki. Kopnięcie nogą i zastrzelony wpada prosto do „Krankenhausu". Do rana nie ma już po nim śladu.

Na drugi dzień przy apelu Scharführerzy pytają, kto jest chory. Mówią, że mu dadzą leki, radzą nie czekać, aż z nóg będzie padał, bo wtedy już będzie za późno. Herchesowi zaś przypominają, że on jest odpowiedzialny za chorych, gdyż powinien zgłosić codziennie stan chorych.

Na drugi dzień przy apelu, w obecności szupowców Herches pyta, kto jest chory, a gdy ktoś się chce zgłosić, odradzają mu, bo na śmierć nigdy się nie spóźni. Gdy Untersturmführer pyta Herchesa: „Ist jemand krank?"[84]) wtedy odpowiada mu: „Keiner. Ich habe gefragt und keiner hat sich gemeldet"[85]). Gdy przy pracy jednak powtarzają się wypadki, że ktoś pada z wycieńczenia i Untersturmführer wytyka Herchesowi, dlaczego on go nie zgłosił, Herches powołuje się wtedy na szupowców, jako świadków, że się pytał, czy ktoś jest chory, ale nikt się nie zgłosił.

Untersturmführer przysyła sanitariusza szupowca i ten codziennie przy apelu ogląda każdemu język. Kto ma biały język, jedzie do „Krankenhausu". Tak ginie kilkunastu ludzi, bez względu na to, czy rzeczywiście byli chorzy, czy też mieli biały język bez poważniejszej przyczyny. I na to jednak była rada. Wszyscy chorzy jedli przed apelem twardą skórkę od chleba i tak sobie pocierali język, że stawał się czerwony. Gdy jednak po t. zw. apelu „językowym", który wykazał, że wszy-

scy są zdrowi, przy pracy powtórzyły się znowu przedwczorajsze wypadki, wtedy Untersturmführer zapowiedział, że jeżeli chorzy sami się nie zgłoszą, a on ich wykryje, to im nawet do Krankenhaus'u pojechać nie da. I tak w sobotę przed apelem obiadowym każe się niejakiemu Jaffe rozebrać i w naszych oczach kładzie go trupem. Dwaj tragarze zanoszą go na ogień.

W ten sposób ze 122 osób zostało nas 94. Nie ma nawet komu robić. Więc pewnego czwartku i ja poszedłem do pracy.

Rozdział IX.

STOSY. STOSY.

Nowe miejsce pracy — czwarte z rzędu — znajduje się przy samej drodze, łączącej obóz z wąwozem. Odległość od wąwozu wynosi około 30 m. Robota jest bardzo ciężka, bo trzeba wyrzucić wagon ziemi, zanim się znajdzie kilka trupów. Trupy leżą w ubraniach. Są to obozowcy z przed 6 — 8 miesięcy. Leżą warstwami. Co jakiś odstęp znajdujemy warstwę 30 do 50 trupów. Głębokość niższych warstw dochodzi do 8 metrów. Grób ten ma jakieś 25 m. długości. Przy końcu grobu postawiono z obydwóch stron słupy, które połączono siatką drucianą. Do tej siatki natkano pełno zielonych gałęzi. Siatka wznosi się na blisko 4 m. wysokości. Jest to t. zw. blenda, zrobiona w tym celu, by w obozie nie widziano, co się tu robi.

Czy nie widać w obozie, co się tu robi? Przecież widać dym, przecież czuć straszny fetor. Przecież my sami wychodzimy poza blendę, tak że i nas widać, gdy idziemy do pracy. Przecież tak głośno śpiewamy, że i tam słychać.

Robota tu idzie, jak w amerykańskiej fabryce. Każdy ma swoje wyznaczone miejsce. Każda łopata ziemi przechodzi przez szereg rąk, aż dostaje się na takie miejsce, gdzie może leżeć do skończenia roboty. Miejsce to wygląda, jak mały wąwóz, gdyż z obydwu stron znajduje się wzniesienie, sięgające 2 m. wysokości. „Brandstelle“[69]) została założona w pobliżu wielkiego wąwozu. Z powodu tego, że z obydwu stron są wzniesienia, cały dym idzie środkiem, gdzie stoją robotnicy. Trzeba coś wymyślić, aby dym skierować w inną stronę, ale na razie nie ma na to rady.

Przy tej „Brandstelle“ robota wygląda inaczej niż poprzednio. Fundament zakłada się tu w ten sposób, że co metr kładzie się pod sznur bardzo grube polano, tak że ilość polan określa równocześnie wielkość paleniska. Ile polan ma „Brandstelle“, tyleż m^2 mniej jeden liczy jej podstawa. Grube polana rozłupuje się na bardzo cienkie i te połupane układa się na

grubych w poprzek dosyć gęsto tak, aby trupy nie spadały. Teraz kładzie się jedną warstwę trupów ułożonych w szeregi nogami do siebie, tak że po dwóch równoległych bokach leżą tylko głowy, podczas gdy dwa inne boki, przyległe do tamtych, głów nie zawierają. Aby trupy się nie zsuwały, kładzie się grubsze trupy na krańcach. Gdy już gotowa jest jedna warstwa, o równej powierzchni, wówczas kładzie się znowu pod sznur szpaltowane drzewo w odstępach pół metrowych i w tym samym kierunku, w którym kładziono trupy. Teraz następuje druga warstwa trupów, ale już ułożonych w kierunku poprzecznym w stosunku do poprzedniej warstwy.

I tak coraz wyżej i wyżej wciągamy warstwę za warstwą równomiernie, tak że stos z boku widziany wygląda jak trapez wyrysowany linijką na papierze. Z początku układamy stosy liczące po 500, a później po 750 trupów. Gdy wprawiliśmy się, liczba trupów na stosie doszła do 2000 i więcej. Na stos wchodzą tragarze po dylach z nabitymi listewkami, jak na budowie. Tragarze, będąc na stosie, zrzucają z noszy trupy i wracają po dalsze. Na górze znajdują się dwaj t. zw. układacze i oni każdego trupa kładą na odpowiednie miejsce, wedle jego wagi i wielkości.

Trupów wyciąga się tu mało, bo trzeba nieraz kopać przez cały dzień, aż się natrafi na 30 — 40 trupów. W ten sposób w ciągu całego tygodnia układa się stos, zaś w sobotę się go podpala.

Podpalanie stosu wygląda następująco: całą płaszczyznę stosu i boki oblewa się kilku wiadrami benzyny. Następnie obwija się szmatą pal półmetrowej długości, podpala się szmatę i wrzuca się ją na stos. Powstaje taki wybuch, że aż niebo robi się czarne od dymu.

Za pierwszym razem ten nowy wynalazek nie miał powodzenia. Cały stos się rozpadł i ogień zgasł. Zaczęto pompą pryskać oliwę, nakładać drzewa, wyciągać wszystkie trupy żelaznymi hakami i później z powrotem je wrzucać do ognia.

Jak wysoki jest taki stos? Zależy to od tego, czy trupy są świeże czy całkiem zgniłe, czy są to sami mężczyźni, czy też są prócz nich kobiety i dzieci.

A jak długo taki stos się pali? To zależy od tego, czy trupy są w ubraniach czy nie. W ubraniach palą się gorzej. Zależy to też od tego, czy trupy są zgniłe. O ile są zgniłe, palą się gorzej. W każdym razie różnica czasu spalenia między stosem trupów zgniłych a świeżych wynosi jeden dzień. Najbardziej jednak zależy czas spalenia od naszej praktyki, od wprawy w robocie. I tak n.p. taki sam stos, którego spalenie

trwało początkowo cały tydzień, przy czym zużyto mnóstwo oliwy, ostatnio pali się nie więcej, niż dwa dni i to wogóle bez oliwy, przy zużyciu 1/4 części poprzedniej ilości benzyny i połowy mniej drzewa.

Robotę w tym wąwozie prowadzi Scharführer. Jest on średniego wzrostu, ma czerwony nos i nazywa się Mozaiko. Jest to jego nazwisko partyjne; jak wszyscy oni, tak i on przeszedł przez t. zw. pracę fizyczną. Bije on najwięcej ze wszystkich.

Untersturmführer ciągle do nas przychodzi i pyta, czy może chcemy pójść z powrotem do lagru, o ile chcemy, to możemy wrócić. A może kto nie jest zadowolony? Ale wszyscy jesteśmy „zadowoleni". Opowiada nam, że się wystara abyśmy mieli się w co ubrać, bo te ubrania, które nosimy, są już stare i podarte. Wiemy już, co to oznacza.

Rozdział X.

TRUPIE DOWCIPY. HILDA. NOWE OFIARY. NASZ „DOBROCZYŃCA" i „WYCHOWAWCA". BECZKA PIWA. „WESOŁA" STYPA.

Wąwóz wielki jest już wyplantowany i zasiany trawą. Już nie można poznać, czy tam wogóle coś było. Tylko ziemia jest popękana. 10 ludzi pracuje tuż przy źródle. Ziemia była tam przesiąknięta krwią. Plantują to miejsce, przesadzają krzaki. Przy wielkim wąwozie został jeszcze tylko kawał ziemi niewyplantowany. Pracuje tam „Aschkolonne", albo jak ją nazywa Untersturmführer „die Goldsucher von Alaska"[86]).

Trupów z obozu teraz więcej już nie przywożą, tylko codzień przywożą do ognia żywych. Tu im się każą rozbierać i do nich strzelają. Tak codziennie. Kiedy przychodzimy do pracy, zastajemy już zawsze po kilkanaście trupów. Tematem codziennych rozmów jest, ile było rano trupów. Czy z „aryjskiej" strony, czy z obozu? Czy był wśród nich jakiś znajomy. Każdy tak się przyzwyczaił do roboty, że nawet w niedzielę, kiedy się nie pracuje, każdy wyszukuje sobie jakieś zajęcie. Wieczorem śpiewamy w bunkrze do godziny 10-tej. Przy robocie chłopcy robią sobie hece, pokazując trupa, mówią jeden do drugiego: „Widzisz, ty już tak wyglądać nie będziesz. Ciebie na stosie położy się z boku". Cóż — będziemy płakali? Kiedy tamtych uważamy za szczęśliwych, że już mają wszystko za sobą. I nasz koniec nie będzie lepszy!

Pewnego ranka zobaczyliśmy, jak dwaj SS-owcy prowadzą do małego wąwozu, jakby na spacer, jedną z najładniejszych kobiet obozu — niejaką Hildę. Przeprowadzili ją przez ul. Pilichowską, tak że my wszyscy widzieliśmy, jak z nią szli. Hilda miała lat dwadzieścia kilka. Wysoka, tęga blondynka. Pochodziła z Wiednia. Pracowała w biurze. Żyła z SS-owcami. A taki jest ich zwyczaj, że im więcej się z nimi ma do czynienia, tym pewniejsza śmierć. Jest im przecież surowo wzbronione mieć stosunek z Żydówką, ma ona ich w ręku, więc tym prędzej staraja się ją sprzątnąć ze świata. I tak dzisiaj rano, gdy przystąpiliśmy do pracy, zastaliśmy koło Brandstelle leżą-

cą nago Hildę. Koło niej leżało jej ubranie. Wiemy też, że w tych dniach będzie nowy transport ludzi. Przecież Untersturmführer zapowiedział nam, że w tych dniach dostaniemy nowe ubranie i buty do przebrania się.

Pewnego razu, gdzieś koło 15-go lipca, w czwartek wieczorem widzimy, że SD-mani siedzą koło Zeltu[87]) szupowców na ławce przy stole o kilkadziesiąt kroków od nas. Wszyscy piją. Była to godz. 8-ma wieczorem. Wtedy zrozumieliśmy, że jest napewno po jakimś „weselu". Strzałów choćby na odległość stu metrów nie słychać, bo egzekucje przeprowadza się zazwyczaj w kotlinach. Cały tutejszy teren pełny jest kotlin i pagórków.

Następnego dnia w piątek nad ranem śpimy jeszcze wszyscy. Jest godz. 4-ta. Nagle słyszymy z za drutów naszego ogrodzenia ryki szupowców — bo do środka nie wchodzą: „Was ist? Ihr schläft noch?"[88]). Zrywamy się — wybiegamy — może wybiła nasza godzina? Każą nam się ustawić do apelu. Obliczają nas. Każą nam potem wyjść przed furtkę na tamtą stronę drutów. Tu ustawiamy się, jak zwykle trójkami. Oddzielamy Aschkolonnę od nas i wszyscy ruszamy. Idziemy drogą prowadzącą do obozu. W odległości jakichś 150 m od wąwozu leżą nagie trupy, kupą jeden na drugim. Nasza brygada na rozkaz staje, zaś Aschkolonne maszeruje dalej. Zaczyna się rewizja i sortowanie ubrań. O kilka metrów dalej zakładamy Brandstelle. Drzewo tu leży, jest go dość. Nawieziono go na autach jeszcze przed kilkoma dniami. Trupy są strasznie ciężkie, bo są to przeważnie mężczyźni. Każdy trup jest dwa razy grubszy niż za życia, gdyż jest spuchnięty. Trupy, leżące na wierzchu jeszcze wyglądają jako tako, ale te, które leżały pod spodem, przywalone ciężarem innych trupów, są w straszny sposób nabrzmiałe. O godz. 9-tej stos był już gotowy. Na stosie tym znajdowało się 425 ludzi. Zajmowali oni tyle miejsca, co 800 trupów, jeśli się je wyciąga z grobów. Żeby stos się nie rozpadł, wiążemy teraz trupy w ten sposób, że rękę jednego trupa podkładamy pod ciało drugiego, tak, że jeden trup drugiego podtrzymuje. Po ukończeniu tego stosu zaraz go podpalamy. System podpalania ten sam, jak poprzednio. Przy stosie pozostaje jeden Brandmeister i jego pomocnik, zaś reszta odchodzi do wczorajszego miejsca pracy w małym wąwozie.

Gdy wróciliśmy po pracy do naszego obozu, zastaliśmy pełne podwórze ubrań i butów, zaś w bunkrze — pełny kąt chlebów, masła, kiełbasy, sardynek, czekolady. Jednym słowem było tam wszystko „czego dusza zapragnie", nawet pieczona kura. Od brygady, która pracowała przy ubraniach, dowiadujemy się, że byli to ludzie z Beutepark[89]) i inni, którzy

byli skoszarowani w mieście. Z ich pakunków można było wnioskować, że ich zabrano pod pretekstem wyjazdu na jakąś nową placówkę pracy. Mieli ze sobą różne prowianty surowe, jak fasola, mąka i t. p. Byli to bogacze, bo na taką placówkę pracy biedny nie mógł się dostać. Nie byli pod karabinem, mieszkali w mieszkaniach. Nie bali się codziennie akcji, nie mieli do czynienia z apelami.

Tak samo, jak po tamtej egzekucji i dziś przyszedł Untersturmführer zobaczyć, jakie mamy miny. Może nie jesteśmy zadowoleni, to będzie trzeba przeprowadzić dziś jeszcze jedną egzekucję. Wszedł do środka, gdyż tylko członek SD miał prawo do nas wchodzić. Popatrzał w jedną i drugą stronę. Po jednej stronie składano ubrania i buty, a naprzeciwko stali ludzie i myli się. Zabrzmiało: „Achtung! Mützen ab!" On dalej szedł powolnym krokiem, patrząc każdemu w oczy, jakby chciał wyczytać, co się u każdego w sercu dzieje. Każdy ma w tej chwili uśmiechniętą twarz. Za nim, jak zwykle, idzie Herches. Gdy doszedł do końca, do drutów, obrócił się, stanął i zapytał pierwszego z rzędu — „Bist du zufrieden oder vielleicht willst du zurück ins Lager?"[90]) Każdy już znał na pamięć tę piosenkę.

„Aber Herr Untersturmführer, ich habe doch hier zu essen und trinken!"[91])

— „Aber ich weiss doch, dass du zurück ins Lager willst. Jemand von euch hat mir gesagt, dass du zurück willst"![92]) Przy tym zamyka na wpół swoje błyszczące oczy, uśmiechając się pod nosem i kiwając palcem wskazującym lewej ręki i patrzy uważnie, jakie wrażenie robią na człowieku jego słowa. Ale my przecież znamy już to wszystko na pamięć. Teraz Untersturmführer posuwa się pomału kilka kroków dalej i zatrzymuje się przy stojącym obok mnie robotniku, który nie ma — jak mu się zdaje — dosyć uśmiechniętej twarzy. Mówi, że poznaje po jego minie, że tamten jest niezadowolony. Chce koniecznie od niego słyszeć prawdę. Mój sąsiad się usprawiedliwia, tłumaczy, że patrząc komuś w oczy musi mieć poważną minę — ale Untersturmführer żali się kiwając głową, że wszyscy go okłamujemy. Pierwsze słowa jak zwykle „Anständig und sauber"[93]). Mówi, że jest dla nas jak rodzony ojciec, że będzie się dla nas o wszystko starał, tylko chce widzieć z naszej strony należytą gorliwość. Wie, że na nas takie widoki, jak dzisiejszy, robią złe wrażenie lecz z nami to nie ma nic wspólnego. Jest to rozkaz, który oni, jak i my musimy wykonać.

Kroczy naprzód powoli, przystaje i każdemu patrzy w oczy. My zaś stoimy na baczność, czapki w rękach, po prawej i lewej jego stronie. Dochodzi do miejsca, gdzie leżą ubra-

nia. Nawiązuje do tematu tyczącego ubrań, przypomina, że nam przyrzekł dać ubrania, więc nam je daje, choć miały odejść do magazynu obozowego. Zapowiada Herchesowi, że chce widzieć dzisiaj wszystkich przebranych w świeże ubrania. Potem przypomniał sobie o jedzeniu, któreśmy dziś dostali, podchodzi więc, by je obejrzeć. Oglądając stos wybornej żywności, kiwa głową i uśmiecha się — „Wam jest lepiej niż nam, my tego nie mamy, co wy! „Wy teraz będziecie jedli, ale musicie sprawiedliwie wszystko podzielić." Rzucił jeszcze kilka budujących słów, między innymi swoje „Anständig und sauber[66])", i życząc nam dobrej nocy, odszedł. Będąc już przy furtce, zawołał ze sobą pierwszego ze stojących i kazał mu wziąć dwa wiadra. Jak zwykle po takim przemówieniu, przeznaczone one były na piwo, które nam za chwilę przyniesiono.

Po odejściu Untersturmführera zaczęto rozdawać ubrania i buty, bo trzeba się przecież na jutro przebrać. Nim nastał wieczór, na miejscu nowych ubrań i butów leżały stare. Zostały one przez nas wyrzucone, gdyż za dużo łachów nie chcemy trzymać.

Jedzenia narazie nie rozdano, ponieważ chleba i tak mamy za dużo. Mamy teraz podwójną porcję, bo dostajemy przydział na 150 osób wraz z dodatkami, a jest nas tylko 94, w tym zaś 20 chorych. Chorym dajemy, co tylko jest w naszej mocy. Dzisiaj każdy, kto był przy rewizji, znalazłszy coś co się nadawało dla chorego, chował to do kieszeni, nie bacząc na to, że może się narazić na nahajki, bo chowanie czegokolwiek do kieszeni było surowo zabronione. Ludzie nie zważali jednak na nahajki, wszystko warto było znieść, aby tylko przyczynić się czymś do ratowania drugiego.

Sobotnie przedpołudnie przeszło jak zwykle. Przy pracy Untersturmführer powiadomił nas, że wkrótce dostaniemy nowych przyjaciół. Nasza brygada ma się znowu powiększyć do liczby 125 ludzi. Chce to już zrobić od kilkunastu dni, tylko na początku zastanawiał się, czy ma wogóle do nas przyprowadzić nowych. Chce się trzymać tylko nas. Przedwczoraj już się zdecydował wziąć do nas nowych ludzi, ale gdy był w obozie na apelu i pytał się, kto chce pójść do nas, to wszyscy chcieli iść, więc nie wiedząc kogo wziąć, nie wziął nikogo.

Dnia tego po obiedzie dostaliśmy znowu beczkę piwa. W niedzielę zrobiliśmy na podwórzu stół, na stole ułożyliśmy kanapki, różne keksy i otworzyliśmy beczkę piwa. Była to istna stypa ze smakołyków po straconych. Każdy podchodził, jadł i pił ile chciał, przy tym też śpiewano. Było to zrobione na podwórzu, żeby szupowcy widzieli i opowiedzieli Untersturmführerowi.

Rozdział XI.

BRYGADA „SIEWNA". „CZARNE KRUKI". UZUPEŁNIAJĄ SKŁAD BRYGADY. ROWY NA KREW. NOWYCH 9000 TRUPÓW. LOSY NASZEGO ZBIEGA. UNTERSTURMFUHRER WYJEŻDŻA NA URLOP. LUFKO.

Było to we wtorek po południu. Pracowaliśmy w małym wąwozie, gdy do naszego obozu przywieziono 13 ludzi z lagru na Janowskiej, którzy mieli pójść na śmierć. Dziś rano była w obozie rewizja. U kilku osób spośród przywiezionych znaleziono broń. Reszta to byli ich koledzy. Po strasznym biciu odesłano ich „na piaski". Byliśmy akurat wtedy przy Brandstelle,[69]) gdzie przywiezionych ludzi zazwyczaj na miejscu zabijano ,ale nigdy w naszej obecności. Wobec tego zostawili ich tymczasem w naszym obozie, a ponieważ u nas byli potrzebni ludzie, więc ich już pozostawiono. Bo i cóż za różnica? Teraz czy później — jedno tylko ich czeka — śmierć. Stąd i tak się żywcem nikt nie wydostanie. Dzisiejszego wieczora pojechało znowu od nas do „Krankenhausu"[68]) — dwóch ludzi.

Ja i jeszcze trzej koledzy zajęci wraz ze mną przy spalaniu krwi pracowaliśmy o godzinę dłużej, więc widzieliśmy już ich koło ognia.

Krew, która spływa przy egzekucjach, wpływa do specjalnie zrobionych rowów. Tam polewa się ją benzyną i podpala. Krew się spala, a różne zanieczyszczenia, które się nie palą, miesza się z ziemią i wyrównuje się nią wykopane poprzednio rowki.

Około 18 sierpnia skończono robotę w wąwozie i miejsce pracy przeniesione zostało tam, gdzie odbyła się ostatnia egzekucja. Tam robota trwała około półtora tygodnia. Było tam 1500 trupów. W ciągu trzech dni złożono stos z 750 trupów, który został spalony. Aschkolonna[73]) przeniosła się z wielkiego wąwozu też tu niedaleko. Utworzono specjalną brygadę „siewną".

Brygada ta sieje bardzo drobny popiół, tak jak się sieje w polu zboże. Musi on być tak posiany, by był niewidoczny dla oka. Nie daj Boże, żeby ktoś z SD zobaczył choćby małą kupkę popiołu. Kamienie, na których tłuczono kości, wciągnięto później z powrotem do góry, zaś na tym miejscu została cała góra maleńkich kości, które nie przechodziły przez sitko.

W niedzielę 22 sierpnia przywieziono do nas jeszcze 9 ludzi. Byli to dorożkarze. Tacy, jakich przed wojną nazywano „morowymi". Myślał sobie więc niejeden z nas: koło „morowych" to i ja może się stanę morowym, a koło „frajerów" i ja frajer. Może, gdy dostaliśmy takich 9-ciu morowych, to obmyślimy, jak się stąd ratować. Ale cóż to za morowi, jeżeli tu przyszli? Jeżeli się żywcem dali tutaj wieźć na ogień? Przecież nie wiedzieli, że ich dadzą do naszej brygady, a zresztą czy to jest lepsze niż śmierć? Czy nie są takimi samymi tchórzami jak i my, kiedy jednemu z nich zabrano syna i w oczach ojca tu go zastrzelono? Było z nimi tak: dzisiaj rano, gdy wyjechali do pracy, zatrzymano ich; zrobiono rewizję i znaleziono na furze dwa płaszcze. Podejrzani o to, że chcą uciekać, dostali straszne bicie i przywieziono ich tutaj. Między nimi było także dwóch — jeden inżynier i adwokat, niejaki Abend z Tarnopola — którzy się kryli po „aryjskiej" stronie. Dostali się do więzienia śmierci i stamtąd dziś przyjechali tu „na piaski".

Nowoprzybyłym z początku wszystko u nas zdawało się straszne, nie do przeżycia, później jednak, tak jak my, pomału się przyzwyczaili. Od nowych przybyszów dowiedzieliśmy się, jak to było z owym pomocnikiem stolarza, który był uciekł pewnej soboty i w jaki sposób dostał się on tu na ogień. Przywieziono go w około 4 tygodni po jego ucieczce. Widzieliśmy go przy ogniu zabitego. Okazało się, że gdy zbiegł był od nas, uciekł do obozu. W obozie nie wiedziano, że ktoś od nas uciekł. Untersturmführer nie pozwolił wówczas nawet szupowcom rozpowszechniać tej wiadomości. Ucieczkę jego trzymano w tajemnicy, bo sam Untersturmführer miałby nieprzyjemności z tego powodu, że ktoś od niego mógł uciec. Zbieg był w obozie 2 tygodnie i później wybrał się w drogę. Na drodze złapano go jako Żyda, przywieziono do więzienia śmierci i stąd powtórnie przyszedł „na piaski".

W tym tygodniu przywieziono z „aryjskiej" strony jeszcze 6-ciu Żydów, zaś zastrzelono spośród nich dwóch. W ten sposób nasz stan ludzi wynosi już obecnie 118.

Po ukończeniu pracy na tej placówce przeniesiono się na nową placówkę, która znajdowała się o 25 m. bliżej ul. Pilichowskiej, po tej samej stronie drogi.

Groby rozciągają się tu na jakie 50 m. wzdłuż. Znajduje się tu 15 grobów, mieszczących w sobie około 9.000 trupów. Leżą w ubraniach. Trupy te leżą już około roku. Znaleźliśmy tu tych milicjantów, których powieszono w roku ubiegłym po sierpniowej akcji na ul. Łokietka[93]). W każdym grobie o 50 cm. pod powierzchnią znajdowaliśmy trupy kilku mężczyzn, którzy zasypywali tamtych, a resztę zasypali potem Niemcy. Tu znaleźliśmy jeszcze także kupę znanych „czarnych kruków". „Czarnymi krukami" od czarnych mundurów nazywano u nas ukraińskich SS-owców. Brali oni udział w egzekucjach. Dla zatarcia śladów Niemcy na koniec zastrzelili także ich. Leżeli w uniformach a w dołach znaleziono ich hełmy.

I jak ty myślisz się ocalić, człowieku, kiedy ty jesteś takim samym strasznym świadkiem?!

Tu założono dwie Brandstelle[69]), tak że jedna zawsze się paliła, a na drugiej układano trupy. Gdy kończono palenie jednego stosu, wówczas podpalano drugi i zaczynano na nowo układać stos na miejscu tego pierwszego. Tu układano stosy na 1000 trupów i więcej, przy tym kazano nalewać coraz mniej oliwy. Według słów Untersturmführera, jak skończymy te groby, to robota na tutejszej placówce będzie skończona. Terminem skończenia pracy ma być dzień 1 września. Wtedy mają naszą placówkę przenieść na Łyczaków do Krzywickiego Lasu.

Untersturmführer wyjechał na urlop, ma wrócić za dwa tygodnie.

Zauważyłem, że niektórzy kryjąc się przed nami, handlowali z szupowcami. I tak niejaki „Lufko", rzeźnik z ulicy Słonecznej, nawiązał kontakt z szupowcem nazwiskiem Schneider, pochodzącym z Łodzi. Schneider był Volksdeutschem i jako taki mówił dobrze po polsku. Lufko miał dużo znajomości w mieście wśród Polaków i Ukraińców. Po ostatniej egzekucji, będąc przy rewizji ubrań schował sobie 1000 zł. Mając u „aryjczyków" wielki majątek, zaofiarował on Schneiderowi 1000 zł., jeżeli pójdzie pod wskazanym przez niego adresem i stamtąd przyniesie mu masło, kiełbasę i wódkę. Schneider przyrzekł mu to załatwić. Na drugi dzień stoimy wszyscy na podwórku i widzimy, jak jeden szupowiec w obecności więźniów i drugiego szupowca przywołuję Lufkę do siebie i daje mu 2 kostki cukru oraz kawałek chleba z masłem, a przy tym mruga do drugiego szupowca. Lufko wziął chleb z masłem, podszedł do Herchesa, tłumacząc mu o co chodzi. Bał się „świty". Herches mógł być zły, że on na własną rękę wdaje się z szupowcami w interesy. Herches jednak, widząc że Lufko ma z szupowcem konszachty, więc i tak nic już nie będzie mógł mu zrobić, odwrócił się od niego, nie chcąc w ogóle słuchać jego usprawiedliwienia.

Tego samego dnia po obiadowym apelu, przy którym był obecny Hauptscharführer Rauch, jako zastępca Untersturmführera i reszta SD, szupowiec Schneider podszedł do Raucha i pokazując palcem na Lufkę szepnął mu kilka słów, po których Hauptscharführer Lufkę odrazu wywołał. Po kilku minutach wrócił on bardzo zbity. Teraz Hauptscharführer wywołał Herchesa, opowiedział mu fakt i zażądał tych 1000 zł., które według słów Schneidera powinien Lufko gdzieś mieć schowane. Ale Lufko zaprzeczył, jakoby miał pieniądze. Twierdził, że obiecując 1000 zł liczył na to, że ta „aryjka", u której miał wielki majątek, pośle mu pieniądze. Hauptscharführer zagroził Herchesowi, że jeśli bezpośrednio po obiedzie nie dostanie tych 1000 zł., o których wie z pewnością, że są gdzieś schowane, zrobi rewizję w bunkrze i jeżeli je znajdzie, będzie tysiąckrotnie gorzej. Jeżeli natomiast nie znajdzie pieniędzy, to będzie wiedział, że wielu z nas ma schowane pieniądze w takich schowkach, o których on nie wie i za to może „pójść"[94]) dużo ludzi, którzy będą obecni przy rewizji.

Herches odrazu zabrał się do roboty. Wytłumaczył Lufce o co chodzi. Kiedy ten i teraz zaprzeczył, jakoby miał te 1000 zł., Herches wziął się do bicia. Bił go w straszliwy sposób, aż jeden podszedł i wytłumaczył jeszcze raz Lufce o co chodzi. Powiedział mu, że jeżeli nie da tych 1000 zł. będą go tak długo bili, aż nastąpi jego śmierć. Wtedy Lufko wyjął z ukrycia 1000 zł. i oddał je. Na apelu poobiadowym zjawił się Hauptscharführer wraz z resztą SD. Pierwsze jego słowa były „Herschel, was hört man?"[95]) Herches oświadczył, że już ma 1000 zł. i wręczył mu je.

Teraz wszyscy SD weszli na podwórze obozowe oprócz Scharführera Jelitki. Hauptscharführer opowiedział wszystkim, o co idzie. Gdyby Untersturmführer się dowiedział, że się zaczyna prowadzić interesy z szupowcami, toby wówczas wszyscy „poszli".[94]). Kazał sobie przynieść kobyłkę, na której się drzewo piłuje. Na tej kobyłce położono Lufkę, w ten sposób że nogi przywiązano jedną do jednej a drugą do drugiej nogi kobyłki, tył zaś leżał na środku, gdzie się kładzie drzewo do piłowania. Głowa zwisała z drugiej strony na dół, a ręce przywiązane były do trzeciej i czwartej nogi kobyłki.

Po kolei podchodzili SS-mani i każdy z nich wymierzył Lufce po 10 bykowców. Później każdy brygadier też musiał mu dać po 10 bykowców, jeden zaś z nich dał mu 20 bykowców — 10 za siebie i 10 za Scharführera Jelitkę, który stał za drutami. Po tych wszystkich bykowcach oblano Lufkę zimną wodą, żeby wrócił do przytomności i odwiązano go od kobyłki. Człowiek jest silniejszy od żelaza, jeżeli on to mógł wytrzymać.

Lufko wstał i chwiejącym się krokiem wyszedł z podwórza obozowego na plac, który się znajdował naprzeciw dłuższej ściany bunkru. Kazali nam się wszystkim obrócić w tę stronę, gdzie on stał, o 30 kroków od niego stanęli wszyscy SD-mani z rewolwerami w ręku i strzelali do niego. Wpierw oddali strzały do rąk, później do boku, a Lufko wciąż stał i trzymał się na nogach.

Oddali do niego kilkanaście strzałów. W końcu Scharführer Jelitko wyjął rewolwer i oddał do niego strzał w serce. Dopiero wtedy Lufko upadł i wyzionął ducha. Dwóch tragarzy od nas zaniosło trupa na ogień.

Rozdział XII.

DIABŁY Z ROGAMI. MŁYN DO MIELENIA KOŚCI. KONIEC ROBOTY „NA PIASKACH". ŚLADY ZATARTE.

Od czasu owej historii z Lufką odbywają się u nas ciągłe rewizje. Rewizje te wyglądają w ten sposób: gdy tylko przychodzimy z pracy na obiad, zanim wchodzimy do bunkru, ustawiamy się, jak do apelu. Wchodzi Hauptscharführer wraz z Sturmmanem i kolejno każdego obszukują.

Minęły dwa tygodnie i Untersturmführer przyjechał z urlopu. Znalazł wszystko w porządku, bo o sprawie Lufki nie był poinformowany. Przyjechał z pomysłem, że musi tu mieć dla nas także muzykę, któraby nas witała, kiedy przychodzimy z pracy i żegnała, kiedy wychodzimy, jakoteż przygrywała nam wieczorami. Mówiliśmy między sobą nieraz, że wszystko to robione jest w tym celu, żeby nam zaprzątnąć głowy, byśmy nie myśleli o ucieczce. Byśmy wogóle o niczym nie myśleli.

Untersturmführer dał też rozkaz trzem rymarzom, którzy pracowali w warsztacie dla potrzeb Niemców, żeby zrobili dla obydwóch Brandmeistrów czapeczki z rogami, tak, jak dla prawdziwych diabłów. Od tego dnia kroczą oni we dwójkę na czele całej brygady, jako postacie symboliczne, z czarnymi rogami na głowie i z ożogami w ręku, którymi przegarniają ogień. Są oni zawsze osmoleni od ognia, czarni, w czarnych ferszalungach[6]) i w czarnych buciskach. Prawdziwe diabły. Nie wolno im nigdy tego stroju zmieniać i mają też takie same ferszalungi do przebierania się po pracy.

Jak już wspomniałem na miejscu pracy dawnej Aschkolonny[73]) w wielkim wąwozie została szara kupa drobnych kości, które nie dawały się już rozbić. Untersturmführer i o tym pomyślał, jak zemleć te kości. Pewnego dnia przywieziono tu maszynę. Wygladała, jak maszyna do mielenia żwiru. Pędzona była małym motorem Diesla. Był to jakby wielki zamknięty kocioł. W środku były kule żelazne. Kocioł ten obracał się i kule tłukły kości, które ciągle wsypywano. Z jednej strony było sitko, które przesiewało miał, zaś grubsze kawałki dalej się mełło. Zmielone kości tworzyły bardzo drobny pył, który wy-

glądał jak luksusowa mąka lub puder szarego koloru. Pył ten rozsiewano następnie po polu. Ludzie, którzy przy tym pracowali, byli zawsze czarni jak murzyni, gdyż pył ten strasznie się kurzył. Maszyna mełła bardzo wolno. Aby nadążyć z przemieleniem kości do 1-go września, maszyna pracowała od 5-tej rano do 9-tej wieczór. Z powodu większego natężenia ciągle się maszyna zatykała, zaś motor stary i pęknięty — wypuszczał powietrze. Nim go rano puszczono w ruch, trwało zawsze kilka godzin, a raz nawet cały dzień. Pewnego razu tedy Untersturmführer dokonał eksperymentu pozbycia się resztek kości w inny sposób. Na pola chłopskie, które znajdowały się obok i należały do chłopów z Hołoska Małego, spróbowano posiać te drobne kości i później przeorać całe pole. Ponieważ jednak przy takim sianiu ślad nie całkiem ginął, postanowiono w braku innego wyjścia uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż maszyna pomału wszystko zmiele.

W ostatnią sobotę sierpnia skończono robotę. Wszystko było zaplantowane i zasiane. Lecz ostatnie palenisko zostawiono. Każdy zastanawiał się, poco jest ono potrzebne. Czy czasem nie dla nas, bo przecież robota skończona, a przeprowadzki na nową placówkę pracy nie widać. Może dla obozu? A może tylko, aż skończy swoją pracę Aschkolonna?

Tymczasem zaczęto oczyszczanie całego terenu ze wszystkich pozostałości. Wyglądało to w ten sposób: wszystkie brygady oprócz Aschkolonny t.j. 80 ludzi, stanęło jednym szeregiem z wiadrami w ręku, w odstępach po 50 cm., na terenie naszej pracy na gościńcu i na przeciwległej stronie. Tam wprawdzie nie pracowano, ale wiatr mógł zanieść tam kawałek papieru lub co innego. Powolnym krokiem ludzie szli i zbierali wszystko, co leżało na ziemi, do ostatniej zapałki i najdrobniejszego skrawka papieru. Nie daj Boże, żeby ktoś z SD po przeszukaniu przeszedł i znalazł kawałek papieru lub odrobinę innego śmiecia.

Oczyszczenie terenu trwało przez cały tydzień. Został jeszcze tylko do zaplantowania plac, na którym pracowała Aschkolonna, wraz z maszyną, która jeszcze wciąż nie skończyła swej roboty.

W naszym obozie całymi dniami teraz wszyscy siedzą. Tylko codzień dwudziestka wychodzi do obsługi maszyny i wysiewania przez nią zmielonego popiołu. Untersturmführer przywiózł też z urlopu harmonię i skrzypce, ale z muzykantów, którzy się u nas znajdowali, żaden nie chciał zgłosić się, że umie grać. Skrzypce i harmonię powieszono w bunkrze na dwóch gwoździach, czekając na lepsze czasy. Przywieziono też dwa namioty do naprawy u naszych rymarzy. Te dwa namioty przeznaczone były dla nas do ustawienia na nowej placówce pracy.

Rozdział XIII.

W OCZEKIWANIU PRZENIESIENIA NA NOWĄ PLACÓWKĘ PRACY. BAJKA O „CYRKU". KOGO BOLĄ ZĘBY? WYCIECZKA DO OBOZU. PRZYWOŻĄ NAM KOBIETY... JESZCZE JEDEN GRÓB.

Codziennie kilku ludzi jeździ na nową placówkę do Krzywickiego Lasu. Ustawiają tam dookoła całego terenu tablice z napisami w języku polskim, niemieckim i ukraińskim: „Wstęp na ten teren jest wzbroniony. Z odległości 100 m strzela się ostro". Były też tabliczki z napisem w trzech językach: „Wstęp na leśną uprawę wzbroniony". Miejsce to nie było strzeżone przez Niemców tylko przez jakiegoś leśniczego. Mieszkał on przy wjeździe do lasu. Widząc przygotowania, przywożenie drzewa, z zaciekawieniem pytał, co tu będzie. Odpowiadano mu za każdym razem, że będzie tu cyrk, a drzewo jest potrzebne bo sztukmistrze będą tu przez ogień skakać. Tablice potrzebne są na to, aby ludzie z okolicy, zanim cyrk się sprowadzi, nie skradli tymczasem całego materiału. Jemu samemu obiecywali, że będzie pracował jako porządkowy w tym cyrku a narazie jest on odpowiedzialny za zwiezione materiały.

Tematem naszych rozmów w bunkrze była nowa placówka pracy i wygląd ulicy. Gdy przyjeżdżali ci, co byli na nowej placówce, skupiali się naokoło nich wszyscy, wypytując, jak wyglądają ulice, którymi przejeżdżali, jak wygląda to nowe miejsce. Później szeroko rozprawiali między sobą na ten temat. Bo i o czym innym można tutaj było z sobą mówić?

W tym samym czasie pewnego dnia na apelu Hauptscharführer ogłosił, że kto cierpi na ból zębów, ma się jutro rano porządnie ubrać i zgłosić przy apelu, to pojedzie do lagru, do szpitala by wyrwać lub leczyć zęby. Przy tym zaznaczył, że kto się jutro nie zgłosi, ten już więcej nie będzie mógł jechać. Nazajutrz przy apelu spośród wielu cierpiących na ból zębów zgłosiło się tylko trzech, którym ból już tak dokuczał, że woleli zaryzykować życie, niż dłużej cierpieć. Inni, bojąc się wiadomych

figlów z „Krankenhausem“ nie zgłosili się. Rano, gdy ci trzej wystąpili, wywołał Hauptscharführer jeszcze niejakiego rabina dr. Schönfelda, który tu z nami się znajdował i Herchesa. Wsiedli oni na auto, jak zwykle do Krankenhausu, lecz nie do tego w wąwozie śmierci, tym razem do szpitala prawdziwego, który należał do obozu.

Wraz z obiadem przyjechali nasi koledzy z Krankenhausu. Byli oni bardzo uradowani, że przynajmniej jeszcze raz w życiu widzieli swoich najbliższych. Gdy tylko weszli do bunkru, cały nasz obóz rozbił się na pięć części. Każda część okrążyła innego z tych, którzy przyjechali z Krankenhausu. I ja też należałem do takiej grupy. Kolega zaczął opowiadać.

Najpierw pojechali do Krankenhausu.

Szpital obozowy nie znajdował się w samym obozie, lecz w budynku, w którym mieścił się przedtem Dom dla Nieuleczalnych. Tam weszli do dentysty. Nie wolno im było rozmawiać w innym języku, jak po niemiecku, a z nimi wszedł też Hauptscharführer. Tam dentysta, cały w strachu, na widok Hauptscharführera z ekipy znanych morderców wyrywał każdemu po kolei zęby, nawet nie zastanawiając się, czy to te zęby, które bolą, czy inne. Chciał już widzieć jaknajprędzej tych pacjentów za drzwiami. Gdy wyszli stamtąd, wsiedli na auto i pojechali do obozu. Hauptscharführer zaznaczył, że jak się ktoś zapyta w obozie, czy to z nas, czy z szupowców, czy z SD — nawet gdyby zapytał Untersturmführer — gdzie byli, to mają odpowiedzieć, że tylko w szpitalu. Niech Bóg uchowa, by się Untersturmführer dowiedział, że Hauptscharführer wziął ich z sobą do obozu.

Gdy opowiadający doszedł do tego punktu, każdy ze słuchaczy otworzył usta z zaciekawienia, bo każdy chciał jaknajwięcej usłyszeć o tym, co się dzieje u naszych najbliższych, prócz których nikogo nie mamy na świecie.

„Zajechaliśmy prosto do kuchni. W lagrze nikogo nie było prócz ordnerów i lagerpolicjantów. Tu załadowali nam ob'ad i ich Oberjude Orland dał nam 10 setek papierosów. Wiedzą wszyscy, gdzie jesteśmy. Gdy ordnerzy i lagerpolicyści zobaczyli nasze auto i nas na aucie, uciekli by się schować, nawet Orland sam. Zdawało im się, że przyjeżdżamy, by wziąć kogoś do naszej brygady. Zawołali Orlanda, przyszedł on, trzymając w ręku 10 setek papierosów, jakby się chciał nimi od nas wykupić. Z kuchni pojechaliśmy do szwalni, gdzie Hauptscharführer, wchodząc do środka wziął ze sobą Schönfelda. Dzięki Schönfeldowi wogóle pojechaliśmy, bo brygadier krawców jest

jego dobrym znajomym, a ponieważ Hauptscharführer szył sobie w warsztacie jakieś rzeczy, prosił go brygadier, by mógł się zobaczyć z Schönfeldem i ten zadość uczynił jego prośbie i go przywiózł".

Następnie na prośbę Herchesa Scharführer poszedł z nim do D.A.W. i Herches rozmawiał ze swoją matką i żoną.

Od tego czasu jeździ się od nas dość często do obozu, niby że to do szpitala.

Co nam Untersturmführer obiecał, że załatwi, to nam załatwił. Miał nam jeszcze załatwić kobiety.

Gdy Untersturmführer wiecznie się dopytywał, co nam brakuje, chcąc mu pokazać, że jesteśmy bardzo zadowoleni, odpowiadaliśmy zawsze: „Na ogień przywożą takie ładne kobiety. Gdyby nam je dano, pracowałyby tu jako sprzątaczki, prałyby nam bieliznę, kuchnię by nam prowadziły, wogóle wszystko by robiły i mielibyśmy kobiety.

Tak uratowałoby się tymczasem kilka kobiet, a co później będzie? Jak długo człowiek ma oczy otwarte, tak długo ma nadzieję, — może uda się nam ocalić. Tak samo jak Włochy skapitulowały, tak samo może się stać z Niemcami.

I właśnie dziś, w czwartek 26 sierpnia, stanęło koło namiotu szupowców auto z 24 kobietami. Czekano na rozkaz Untersturmführera, który miał lada chwila nadjechać. Nagle słyszymy strzały szupowca. Auto odwróciło się i pojechało w kierunku niezaplantowanej Brandstelle. Po upływie jakiej pół godziny wywołują Brandmeistra i jego pomocnika wraz z czterema tragarzami. Po upływie kwadransa wracają wszyscy zdenerwowani, jak nigdy. Ze słów szupowca dowiedzieli się całej prawdy. Było 24 dziewcząt w wieku od lat 17 do 20. Były to najładniejsze dziewczęta w całym obozie. Wczoraj SS-owcy w lagrze urządzili sobie zabawę. Na tej zabawie były i one obecne, z rozkazu SS-owców, co było surowo zakazane. Bawili się tam z nimi do rana. Następnie, po zabawie do której je zniewolono, celem usunięcia świadków wywieziono je „na piaski". Tu, ze względu na ich młodość i zdrowie, chciano je zatrzymać jako posługaczki i sprzątaczki dla nas i dla szupowców. Gdy jednak auto stało i czekało na Untersturmführera, jedna z dziewcząt zeskoczyła z auta, chcąc uciekać. Ale tu już jest za późno. Kto się tu dostaje, ten już żywy stąd nie wyjdzie. W tej samej chwili padła od strzałów. Szupowcy otworzyli ogień zaporowy, Hauptscharführer widząc, że są to niechętne dziewczęta, które wolą śmierć niż tutejsze życie, odrazu dał rozkaz, by odjechać z nimi na ogień.

Maszyna kończy mielenie reszty kości. Zaczynamy się już pakować.

W tych dniach któregoś popołudnia przychodzi Scharführer do naszego obozu i każe sformować brygadę 50 ludzi i wziąć ze sobą sztychówki.

Idą tą drogą, którędy my chodziliśmy codziennie z więzienia śmierci. Idą w kierunku obozu. Tu w pobliżu Waschraumu[3]) obozowego, koło wieży z Askarami, Scharführer zatrzymuje ich i pokazując palcem na kawał ziemi mówi, że tu mają być dwa groby. Są to te dwa groby, przed którymi ja stałem zeszłego roku 8 czerwca nago wraz z grupą 180 ludzi. Nie dużo brakowało, żeby i mnie tu dziś wykopano[96]). Ludzie z obozu widząc, że nasza brygada idzie w ich kierunku, schowali się do baraków, a my maszerując, śpiewaliśmy. Przykro nam było, że ludzie nas się boją. Tak strasznie przecież nie wyglądamy? To nasi dwaj Brandmeistrzy, którzy w swoich czapkach z rogami na głowie i z hakami w ręku wyglądali, jak prawdziwe diabły — wzbudzali taki popłoch.

Zaczynamy robotę. Wpierw robimy z desek ścianę wysokości 4-rech metrów przed drutami obozowymi w tym celu, aby nie widzieli w obozie, co my tu robimy. Dziś tylko zaczęliśmy rozkopy. Nawet połowy ziemi jeszcze nie wyrzuciliśmy, żeby dotrzeć do trupów. Po naszym odejściu na straży zostało dwóch szupowców. Dotychczas stali tu Askarzy, którzy pełnią straż w obozie, a teraz i Askarom wstęp tu jest wzbroniony.

Na drugi dzień, ledwie zaczęło świtać, poszliśmy do pracy. W lagrze jeszcze nie wszyscy poszli do roboty. Wystawiono wszystkich lagerpolicystów, którzy mieli uważać, żeby nikt nie wyszedł z baraku, zanim my pójdziemy do roboty.

W południe wyciągnięto wszystkie trupy i tu na wyplantowanej Brandstelle podpalono je, a obydwa groby zasypano. Trupy te leżały warstwami, a między warstwami trupów znajdowały się warstwy ziemi. Chociaż ziemia była tu naogół sucha, to jednak było tu dosyć leżących już luzem kości, ponieważ ciała były nagie. Nagie zwłoki ulegają rozkładowi szybciej niż ubrane, a trupy, które leżą koło ścian grobów albo na samym spodzie prędzej gniją niż te, które leżą w środku, między innymi trupami.

Było tu 275 trupów. Wynikła trudność usunięcia resztek kości. Aschkolonna skończyła już swoją pracę, a na to aby znowu uruchomić tę brygadę, nie ma już czasu, bo się mamy przeprowadzić. Wobec tego wykopano głęboki dół i zakopano niedopalone kości.

Na tym grobie zakończyliśmy pracę w tutejszym terenie.

Rozdział XIV.

PRZEPROWADZKA. MYŚLI ŻYDA W PRZEJEŹDZIE PRZEZ MIASTO. W KRZYWICKIM LESIE. NOWY OBÓZ I JEGO ORGANIZACJA.

Było to we wtorek 7-go września. O godz. 5-tej rano, wszystkich wypędzono z baraku. Wszyscy, jak żołnierze w jednakowy sposób, poprzednio porządnie spakowaliśmy swoje rzeczy do koców, które dostaliśmy z obozu w dniach ostatnich. Paczki te ułożono rzędami za drutami naszego podwórza. Jedna grupa, składająca się z 20 ludzi, pojechała na nową placówkę pracy aby tam ustawić celty i zadrutować plac obozowy. Reszta została tu na miejscu aby rozebrać tutejszy bunkier z ogrodzeniem i zaplantować cały teren. Stanąwszy tu poraz pierwszy przed 12-tu tygodniami, napewno się nie spodziewałem, że ten bunkier sam będę rozbierał.

Po południu bunkier i druty były rozebrane. W dwie godziny cały teren został wyplantowany. Góry wróciły do dawnego wyglądu. Tymczasem auta, których było dzisiaj dwa, jeździły ciągle tam i z powrotem, odwoziły materiał na nową placówkę. Gdy skończyliśmy pracę, cała brygada oczyściła jeszcze raz teren naokoło bunkru, usuwając ostatnie resztki i odpadki po naszym obozie.

Teraz rozpoczął się przewóz.

Po 20 ludzi na aucie pod eskortą pięciu szupowców jechało na nową placówkę pracy. Ja sam, jadąc przedostatnim autem jako brygadier, siedzę na wozie z boku. Reszta siedzi piątkami, trzymając jeden drugiego pod ramię. Ale i mnie nie wolno się podnieść, ani popatrzeć na ulicę. Muszę siedzieć z głową opuszczoną, tak jak wszyscy. Przed oczyma migają wysokie domy, wolni ludzie. Przez głowę przesuwają się różne myśli. Ach, jacy ci ludzie są szczęśliwi. Mogą chodzić po mieście, wolni i swobodni. Jaki ten jest szczęśliwy, który tu pod kościołem siedzi bez nogi z ręką nastawioną po jałmużnę. Nie ma ciągle przed oczyma trupów i śmierci, tak jak my. Ma prawo przebywać ze swymi najbliższymi. Gdyby zapytać

takiego pana z laską w ręku, który teraz spaceruje z żoną i ze swoim dwojgiem dzieci, czy jest szczęśliwy, może odpowiedziałby, że nie. Chciałby może posiadać większy majątek albo pragnąłby mieć żonę, w którejby się bardzo kochał. Nie wie sam, jak powinien być szczęśliwy, jeżeli tylko posiada wolność i jest wraz ze swoimi najbliższymi. Nie ma mu się co dziwić, gdyż i ja sam tego nie wiedziałem, jak jestem szczęśliwy, kiedy jeszcze byłem wolny. Ja szczęśliwym już być nie mogę, bo wszystko, co najdroższe, utraciłem. O zeskoczeniu w tej chwili z auta nie ma mowy, gdyż jesteśmy bardzo strzeżeni, a prócz tego, gdzie tylko postawię pierwszy krok, to mnie zaraz złapią jako Żyda. Ach, Boże, czym ja tyle zawiniłem? Czy jestem z kamienia, czy matki nigdy nie miałem? Czy nie mogłeś mnie, Boże, sam ukarać, a nie oddać w ręce morderców? Takie myśli snułem, jadąc pędzącym autem. Z szaloną szybkością mijamy ulicę Łyczakowską, skręcamy na trakt Gliniański i zbliżamy się do Krzywickiego Lasu.

Już na trakcie Gliniańskim poznać można, że tu nastąpiła jakaś zmiana. Z okien tutejszych domów wyglądają szupowcy. Zajęli oni mieszkania w ładniejszych domach, położonych bliżej lasu i wczoraj się tu przeprowadzili. Przecież muszą mieszkać blisko nas, bo nawet w nocy, kiedy nie mają u nas dyżuru, też czuwają i gdy usłyszą jakiś strzał, który w nocy jest sygnałem niebezpieczeństwa, wszyscy muszą być na nogach. Należą oni do naszej komendy. Komenda nasza nosi nazwę „Sonderkommando 1005".

Na trakcie Gliniańskim skręcamy w prawo drogą, którą się jedzie do Lesienic. Niedaleko zakrętu, o kilkanaście metrów od tamtejszej rzeźni, zaczyna się las. Las ten, jak już zauważyłem, został obstawiony tablicami, które zabraniały wstępu. W tym lesie będziemy pracowali.

Tuż przy gościńcu zaczyna się droga, która prowadzi przez las. Na tej drodze postawiono szlaban, a przy szlabanie stoi już niemiecki posterunek. Obok widać jednopiętrowy dom w ogrodzie, prywatną willę. Tu w tym domu, który musiał w ostatnim tygodniu opuścić jakiś cywil, mieści się teraz kuchnia dla Szupo. W tym samym domu mieszka także majster Szupo, który pełnił tu zamiast Oberleutnanta funkcje szefa oddziału.

Widać stąd nasze namioty, które naprawdę tak wyglądają z daleka, jakby należały do jakiegoś cyrku.

Wysiadamy i idziemy drogą pod górę. W oddaleniu jakichś 200 metrów od drogi znajduje się plac, na którym stoją namioty, ogrodzone drutem kolczastym. Ogrodzeń takich

jest dwa, odległych od siebie o ½ m. Ogrodzenia są gęsto przeplatane drutem kolczastym. Pierwsze ogrodzenie z drugim są również splecione drutem kolczastym. Wysokość ich wynosi 3 m. Plac ten ma 22 m długości i 20 m szerokości. Po obydwu przeciwległych stronach znajdują się budki, w których w czasie deszczu kryją się szupowcy. Naprzeciw drogi znajduje się jedna furtka, zaś po przeciwległej stronie druga. Namioty odległe są od drutów od strony drogi o 2 m. Także wzajemna odległość namiotów od siebie wynosi 2 m. Wyjście prowadzi w kierunku furtek. Z lewej strony odległość od drutów do namiotów wynosi 4 m. Na tym placu składano później i rąbano drzewo, potrzebne do palenia stosów. Tutaj rżnięto także drzewo dla szupowców.

Opiszę szczegółowo, jak wyglądał nowy obóz i jego organizacja.

Naprzeciwko wejścia znajduje się kuchnia i ławki z miednicami. Każdy namiot ma 9 m długości i 6 m szerokości. W jednym namiocie mieszka 80 ludzi, zaś reszta w drugim, który przeznaczony jest tylko dla świty, fachowców, ordnerów i niektórych pracowników Aschkolonny, t.j. dla ludzi, którzy przeważnie bezpośredniej styczności z trupami nie mają. ⅓ część drugiego namiotu zajmuje warsztat, oddzielony ścianą od pozostałej części namiotu. Przy ścianach namiotów stoją po obydwu stronach jednopiętrowe prycze. W środku stół i ławka. Mamy tu także elektryczne światło. Ze wszystkich stron podwórza znajdują się reflektory, które świecą przez całą noc.

Naprzeciw baraku z drugiej strony wznosi się w odległości 10 m góra białego piasku. Góra ta, bardzo wysoka, stanowi prawdopodobnie specjalnie obraną zasłonę dla naszej fabryki, która zmienia ludzi w popiół. Na samym szczycie góry znajdują się w odległości kilkudziesięciu metrów od siebie dwa bunkry. Jeden naprzeciwko naszego namiotu, drugi zaś bliżej lasów, naprzeciwko grobów. Bunkier taki mieści się w ziemi i ma wymiary 2 na 2½ m. Jest podzielony na dwie części. W jednej są łóżka, zaś w drugiej — amunicja t.zn. granaty i kule do karabinów maszynowych, które lufami są skierowane na nasz obóz. Na górze mają też reflektory, które na znak czujności dają co pół godziny sygnał niebieskim światłem. W każdym bunkrze czterech szupowców pełni stały dyżur. Dwaj śpią, jeden siedzi w bunkrze przy telefonie, jeden się kręci w odległości jakich 50 m od bunkru tam i z powrotem. Oprócz tych dwóch szupowców, którzy tutaj pełnią straż i zmieniają się co dwie godziny, całą noc chodzą ponadto t.zw. „streify“ t.zn. dwaj szupowcy, którzy patrolują cały teren i co pół godziny tu wracają.

Na placu, który się mieści między górą a naszym obozem, stoi maszyna do mielenia kości, a koło niej wyplantowano plac, na którym mieścić się będzie Aschkolonna. Tu już drobieniem kości nie trzeba się będzie męczyć, bo maszyna będzie wszystko mełła.

Ponieważ jednocześnie z naszym przyjściem z roboty zapada noc, pozwalają nam chodzić po podwórzu obozowym do godz. 8-mej. Po godzinie 8-mej wieczorem nie wolno się pokazywać na podwórzu bez wytłumaczenia. Z jednej strony namiotu drzwi są zamknięte, zaś przy drugich drzwiach stoją w obydwu namiotach wybrani spośród nas lagerpolicyści, którzy każdego z nas wychodzącego na stronę meldują szupowcom.

Oprócz M.P. i 300 kul szupowcy uzbrojeni są także w granaty ręczne.

O godz. 9-tej gaśnie światło w namiotach i każdy musi leżeć rozebrany na swoim posłaniu.

W odległości 25 m od naszego obozu w kierunku drogi, znajduje się celt dla szupowców, a w nim zapas amunicji.

Rozdział XV.

NOWE GROBY, NOWE „FIGURY". HANDEL Z SZUPOWCAMI KWITNIE. MAMY MUZYKANTA. SPRZECZNE POGŁOSKI O WYJEŹDZIE BRYGADY NA PROWINCJĘ. WIECZORNE SPACERY, SZEPTY, PLANY UCIECZKI.

W czwartek, 9-go września wychodzimy do roboty. Między obozem a górą w odległości 30 m od naszego obozu w kierunku gęstego lasu zaczynają się groby masowe jeden koło drugiego. Leżą tu trupy dość dawno, t.zn. ponad rok. Na trupach pod ziemią leżały w niektórych grobach pakunki z pościelą, bielizną, ubraniem itd. Pakunki te wskazują na to, że zabrano ofiary te w grudniowej akcji roku 1941 przy „moście śmierci". [97])

Na rozkaz Untersturmführera uczyniono próbę palenia trupów na rusztach żelaznych, ale pod wpływem gorąca i ciężaru żelazo uginało się i trupy spadały na ziemię. Wobec tego następny ogień palono już tym systemem, jak poprzednio „na piaskach". Palono tu już wogóle bez oliwy. Układano stosy z 2.000 i więcej „figur". Jak już wspomniałem, Niemcy tak stale nazywają trupy. Nas samych też nie wołają inaczej, jak „figury". Mówią np. „Zehn Figuren heraustreten". [98])

Najczęściej podpalano stosy w sobotę. Całkowite spalenie stosu trwało najmniej do następnej środy.

Minęło pięć tygodni.

Mamy obecnie muzykanta, którego tu przywiózł Untersturmführer. Przygrywa nam wieczorami, po skończeniu roboty, na skrzypcach.

Warsztat, który obsługuje nas oraz szupowców zatrudnia 3 krawców, 5 rymarzy, 5 szewców i 3 stolarzy. Szupowcy już zaczynają palić w swoich pokojach. U nas piłuje się dla nich i rąbie drzewo. Wieczorami chodzimy do zajmowanych przez nich domów, aby zanieść im drzewo. Dzięki temu handel kwitnie. W domu, gdzie niema innych Niemców oprócz nich, ani oni, ani my już się nie boimy handlować.

Robota nasza jest na ukończeniu. Według słów Untersturmführera mamy jechać na robotę do Stanisławowa, nawet jest już opracowany plan jak tam będziemy mieszkali, wobec tego, że zbliża się zima. Natomiast według słów Scharführera jedziemy do Złoczowa, a według szupowców znów — do Gródka Jagiellońskiego. Te sprzeczne wiadomości mocno nas niepokoją. Jedziemy wszędzie, a gdy się jedzie wszędzie, to znaczy, że się nie pojedzie nigdzie, tylko na ogień.

Na podwórku widać wieczorami, jak ludzie trzymając jeden drugiego pod ramię, chodzą niby to na spacer, szepcząc coś jeden drugiemu do ucha. Gdy przechodzą blisko szupowca zmieniają temat rozmowy i rozmawiają głośno, niby to o kobietach lub jedzeniu. Ludzie ci zaczynają snuć plany ucieczki i wyratowania się stąd. Kręcąc się tak, co kilka minut wchodzą do celtu, gdzie nasz muzykant gra na skrzypcach, niby to wtórują mu śpiewem, bo przecież trzeba pokazać szupowcom, że jesteśmy weseli. Po kilku minutach znowu wychodzą i tak spacerem kilka razy okrążają celty. Potem zbliża się godzina 8-ma — apel i wszyscy idą spać.

Głównym celem tych ludzi jest naprowadzić tutejszą „świtę" na myśl, że wybiła godzina i trzeba wybierać — „śmierć albo życie". Mianowicie Herches, jako przewodniczący „świty", mając matkę i żonę w obozie, odkłada termin ucieczki z dnia na dzień. Powiada, że jeszcze czas, a to dlatego jak przypuszczamy, że z chwilą ucieczki straci swoją matkę i żonę, o których Untersturmführer wie, że są w obozie. Czeka więc, bo chce przy najbliższej sposobności, jak tylko będzie w obozie, dać znać swojej matce i żonie, żeby uciekły z obozu, wtedy i on z czystym sumieniem będzie mógł myśleć o ucieczce. Widząc to wahanie się Herchesa, niektórzy z naszej grupy zaczęli sami planować ucieczkę bez „świty". Pewnego wieczora w sobotę mieli oni już uciec, ale „świta", która się dowiedziała o ich planie, uniemożliwiła im ucieczkę i w niedzielę na posiedzeniu, na którym byli obecni ci wszyscy, którzy chcieli uciec, zabroniono im, pod groźbą kary śmierci, myśleć o oddzielnym ratowaniu się.

Ustały spacery. Spotykając jeden drugiego, rzucaliśmy sobie tylko pocichu słowa: „Będziemy straceni i to w najbliższych dniach".

Jak się jednak później okazało, sama „świta" też planowała ucieczkę i to dla wszystkich. Ale żeby nie wywołać wilka z lasu, zachowywała te plany w tajemnicy.

Rozdział XVI.

POD BURAKAMI. PROF. BARTEL I INNI. ZWÓZKA TRUPÓW Z OKRĘGU LWOWSKIEGO.

W piątek, dnia 8 października zakończyliśmy robotę na miejscu. Leżał wtedy ostatni stos trupów i było ich powyżej 2.000. Zostało do roboty jeszcze tylko wypalenie tego stosu i zaplantowanie kilku grobów. W tym dniu Herches dostał rozkaz sformowania grupy najlepszych dwudziestu robotników na godz. 8-mą wieczorem na wyjazd. Dziś po raz pierwszy od czasu, gdy tu jesteśmy, wychodzą ludzie na robotę poza teren.

Wszyscy oczekujemy z niecierpliwością godziny 8-ej. O godz. 7,30 zajeżdżają dwa auta ciężarowe, auto dla szupowców i jedno auto z S.D., z Untersturmführerem na czele. Jedno z tych dwu aut wygląda jak auto - lodownia. Do tego auta załadowaliśmy narzędzia t.j. sztychy i haki do wyciągania trupów, jakoteż grabie i nasiona. Nakoniec sami też wsiedliśmy do tego auta, zamknięto drzwi za nami i auto ruszyło. Przed naszym autem jechało auto S.D., za nami auto z szupowcami, a za nimi drugie ciężarowe auto, na którym znajdowały się reflektory.

Jedziemy na Wólkę, gdy nagle auto staje. Czterech z nas schodzi i każą im wyładować reflektory i ustawić je naokoło miejsca pracy. Tymczasem szupowcy obstawili cały teren. Nie umiem powiedzieć dokładnie gdzie to było, ale gdy Pan Bóg da i wyjdziemy na wolność, to pójdę na to miejsce i napewno je odnajdę i rozpoznam, gdyż obraz całego terenu mam przed oczyma.

Na polu, gdzie były zasadzone buraki (niewielki kawał), a z daleka było widać rzędy trzypiętrowych willi, zaczęliśmy wyrywać buraki i kopać. Ziemia tu była sypka tak, że z początku byliśmy pewni, że tam jest grób. Był tam może kiedyś jaki budynek, który został rozebrany, bo natrafiliśmy na kawałki cegły. Ale gdy dotarliśmy do głębokości poniżej dwu metrów i ziemia stała się znowu twarda, wówczas Scharführer

pojechał na Dienststelle i po pół godzinie wrócił z SD-manem, który wiedział, gdzie się trupy znajdują. Zaprowadził nas na inne miejsce. Dziewięciu z nas poszło na to drugie miejsce, zaś druga dziesiątka została, aby zasypać niepotrzebnie wykopany dół. Dół ten zasypali, ale buraków z powrotem nie wsadzili. Gospodarz rano pewno dziękował Bogu, że ktoś spłoszył mu złodziei, którzy chcieli wykraść buraki...

Nowe miejsce znajdowało się o jakieś 30 m dalej. Teren był falisty. Niedaleko stąd widać było drogę, a obok był parów. Tu na okrągłym skrawku ziemi o średnicy około 2 metrów stanęliśmy, zaczęliśmy kopać i za kwadrans widać było trupy. Poznaliśmy odrazu, że musieli to być jacyś wybitni ludzie. Niektórzy byli w wieczowych strojach, inni zaś leżeli w ubraniach z drogich materiałów. Chociaż zbutwiały, ale znać było dobry gatunek. Gdy tylko podnieśliśmy pierwsze trupy, już leżały dwa złote zegarki kieszonkowe z łańcuszkami i złote pióro Watermana. Jedno wieczne pióro miało złotą obrączkę szerokości 1 cm z wybitym nazwiskiem właściciela.

Grób nie był głęboki — miał zaledwie około metra, tak, że po pół godzinie trupy były wyjęte i załadowane na auto-lodownię. Dokładnie nie wiem, ilu było zabitych, gdyż tu ich nie liczono, a na oko musiało ich być mniej więcej trzydziestu kilku. Po kilku minutach grób był splantowany i zasypany. Po przeliczeniu nas wsiedliśmy do auta, w którym przedtem były reflektory i tak o godz. 11,30 znajdowaliśmy się już z powrotem w naszym namiocie.

Na drugi dzień ci, którzy w nocy wyjeżdżali, mieli wolne, reszta zaś wyszła wyładować trupy i zanieść je na stos. Układacze, zaciekawieni kim byli ci panowie, wyciągnęli im z ubrań dokumenty, które wykazały, że był to prof. Bartel, dr Ostrowski, prof. Stóżek i inni. Według obliczenia obsługi było ich 38. [99])

W sobotę, dnia 9-go października podpalono stos, obejmujący powyżej 2.000 trupów, między nimi zwłoki kilkudziesięciu najlepszych synów Polski. W dniu tym wypadł Jom Kipur (Sądny Dzień) i wielu naszych ludzi pościło.

Po wyjeździe do Wólki pojechało 40 osób na robotę do Jaryczowa. Nie wiem, w jakim miejscu wykopano tam trupy, wiem tylko, że to było w lesie. Także tu załadowano trupy na auto-lodownię i przywieziono je do nas.

I tak od dzisiejszego dnia wyjeżdżaliśmy kolejno do Brzuchowic, do Dornfeld, do Bóbrki. Wszędzie odkopywaliśmy groby i przywoziliśmy trupy do nas na spalenie.

Rozdział XVII.

MODLITWA W BRYGADZIE. POBOŻNI I NIEPOBOŻNI. DZIWNE TYPY. KTO PRZYNIÓSŁ REWOLWER? „OPEROWY ŚPIEWAK". „GŁUPI AWRUM". GDYBY NIE BYŁ GŁUPI, TOBY NIE ŻYŁ. ROZMOWA O POLITYCE.

Osobno napiszę o stosunku ludzi z „Brygady śmierci" do religii. Tu w „Brygadzie śmierci", składającej się ze stu dwudziestu kilku ludzi, było jak w małym miasteczku. Różni ludzie, z różnych sfer, religijni i nie religijni jako też i antyreligijni.

Antyreligijna była cała „świta", która na różne sposoby prześladowała ludzi pobożnych, dokuczała im itp. Ale ci pobożni, nie zważając na to, modlili się co wieczora.

Jak już zauważyłem, niczego nie wolno było wziąć bez pozwolenia Untersturmführera, a gdyby np. znaleźli u kogo kawałek papieru spotkałyby go za to tortury i kara śmierci.

Ci pobożni jednak, nie zważając na to, gdy znaleźli wśród ubrań zabitych modlitewniki lub tefilin[100]), zabierali je ze sobą do baraku. Przytem trzeba zauważyć, że przetrzymywanie tych rzeczy groziło większym niebezpieczeństwem niż trzymanie pieniędzy, bo pieniądze zaraz zakopywano, a modlitewników nie zakopywano, tylko codziennie rano i wieczorem modlono się z nich.

I któż to się tak modlił codziennie rano i wieczorem? Byli tu tacy, którzy napewno przed wojną nie modlili się, a tu się modlili.

Znaleźli się wśród nas i tacy, którzy nawet mięsa nie jedli, z tego powodu, że nie pochodziło z rytualnego uboju. Zupę jedli tylko dlatego, że coś jeść musieli, aby utrzymać się przy życiu, bo przecież dobrowolnego wyrzekania się życia, jak wiadomo, religia zabrania.

Jak już zaznaczyłem, trudno było u nas dostać papierosa, a jednak byli i tacy, którzy nie tylko, że nie palili w sobotę ale nawet nie chcieli brać w sobotę papierosów na zapas, na dzień następny.

Opiszę, jak wyglądał Sądny Dzień w „Brygadzie śmierci". W tym to dniu było znać, że dziś wieczorem jest święto. Gdy tylko ludzie przyszli z pracy, każdy obmył się jaknajszybciej, wszyscy prędko zjedli, przebrali się i w kilka minut później w jednym z naszych namiotów, gdzie prawie wszyscy się zeszli, cichym świątecznym tonem zaczęła się modlitwa. Podczas modlitwy kilku kręciło się na dworze uważając, czy kto z Szupo lub SD nie nadchodzi, jako też kontrolując, czy modlitwa nie odbywa się za głośno, to znaczy, czy jej na dworze nie słychać. Przy modlitwie byli obecni częściowo nawet ci, którzy zazwyczaj uchodzili za bezbożnych. Jeśli chodzi o post, to w Sądny Dzień pościło tu około 40 ludzi.

W naszych warunkach post nie był rzeczą łatwą. Raz, że większość musiała i w tym dniu jak codzień ciężko pracować, powtóre część osób złamała post na skutek straszliwego pragnienia.

Praca przy trupach z powodu strasznie zanieczyszczonego powietrza dusiła człowieka i musiał przy każdej możliwości zwilżyć sobie gardło.

I nawet, gdy myślano o ucieczce, też nie zapomniano o Bogu. Gdyśmy mieli uciekać, widziałem, jak niektórzy stoją w kącie i odmawiają „tfilat haderech" — specjalną modlitwę człowieka ruszającego w drogę.

Żeby lepiej zapoznać czytelnika z życiem więźniów w naszej brygadzie, opiszę tu także niektóre osoby, wyróżniające się spośród wszystkich.

W trzecim dniu naszego pobytu „na piaskach" przywieziono do nas grupę ludzi z H.K.P., którzy zostali włączeni do naszej brygady. W tej to grupie był pewien chłopak, lwowianin, lat około 22, który do wojny uczęszczał na uniwersytet, jako student prawa. Był to „stary" i typowy obozowiec. Trzeba wiedzieć, że każdy, kto dostał się do obozu pomału stawał się bezdusznym automatem, który wie, że od rana do wieczora musi pracować, nie czuje już bicia, zawsze ma spuszczoną, smutną twarz, przy chodzeniu nie podnosi nóg, tylko włóczy je za sobą, a jedyną potrzebę, jaką jeszcze ma, jest tylko zaspakajanie głodu. Na takiego właśnie typowego obozowca wyglądał nasz nowy kolega. Po krótkim czasie, kiedy u nas zapanował tyfus, niedoszły prawnik zachorował i został zastrzelony. Z człowiekiem tym, nie tylko że niktby nie mówił o zorganizowaniu ucieczki, ale nawet niktby w jego obecności o ucieczce nie wspomniał. Żywy trup — i tyle. Nawet do „frajerów" nie zaliczano go. Tymczasem po jego zastrzeleniu ujawniła się ciekawa rzecz.

Pewnego rana niejaki Wielicz woła Herchesa na bok i coś mu opowiada. Po kilku minutach Herches każe każdemu opuścić barak, zawołać jednego obozowca o przezwisku „Opernsinger", brygadiera Segala i 4 „morowych". Następnie zwraca się do „Opernsingera" z zapytaniem, gdzie schował złoto (było to bezpośrednio po wypadku z Lufką); „Opernsinger" odpowiedział, że nie ma żadnego złota. Na to Herches i reszta kompanii zaczęli go bić. Bili go w straszliwy sposób, aby się przyznał gdzie schował złoto, a ten krzyczał „Ja złota nigdzie nie schowałem i nie mam". Ale nie wierzyli mu. Jak się okazało, znaleźli łopatę pod słomą, gdzie on śpi, a za przechowywanie łopaty nie tylko w baraku lecz nawet na podwórzu obozowym, gdyby się to wykryło, SD mogło wszystkich wystrzelać. W biciu główny udział biorą „morowi". Bili człowieka, aż upadł i stracił przytomność. Ratowali go, oblewali zimną wodą, a gdy ten wrócił do przytomności, dalej go bili. „Opernsinger" jednakże trzymał się swego. Utrzymywał w dalszym ciągu, że o niczym nie wie. Aż widząc, że nic nie pomaga bicie i że wnet nie będzie kogo bić, bo jest już prawie nieżywy, zostawili go w spokoju.

Otóż z tą łopatą było tak: Ten chłopak, o którym mówiłem, że przyszedł z H.K.P., przyniósł ze sobą rewolwer i ponadto kombinował jakiś podkop. O zamiarach jego wiedziało kilka osób, między nimi i „Opernsinger". Gdy tamtego zastrzelili, rewolwer i łopatę zabrał „Opernsinger". Niektórzy z tej grupy „frajerów" udali się następnie do „morowych" aby wraz z nimi zorganizować wypad i „morowym" oddali rewolwer. Tymczasem ci „morowi" bali się trzymać rewolwer, a oddać „frajerom" też go nie chcieli, bo obawiali się, że przez tych „frajerów" i oni mogą wpaść. Wobec tego rzucili rewolwer do ustępu. Takimi to tchórzami okazali się rzekomi „morowi", podczas gdy ledwo już na nogach trzymający się „frajer" do ostatniej chwili swego życia obmyślał ratunek i miał tyle sprytu i odwagi, by do tego najstraszniejszego miejsca przemycić niewiadomo jakim sposobem zdobytą broń. Gdy wspomniałem o „Opernsingerze" opiszę go dokładnie, gdyż i on się różnił od innych. „Opernsingera" złapano po stronie aryjskiej bezpośrednio po likwidacji ghetta lwowskiego. Został złapany przez jednego szupowca, który był do nas przydzielony. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Gruber — przed wojną miał on sklep papierniczy przy Placu Gołuchowskich 11. Po złapaniu strasznie go zbito, tak, że twarzy nie można było poznać. Do brygady śmierci dostał się wraz z mężczyznami z firmy „Federn Daunen". Gdy go pytali, dlaczego jest tak zbity i kto go pobił czy Szupo czy SD, odpowiadał, że spadł z auta. Zdarzało się dość często, że ktoś z SD pytał

tego czy innego z naszych ludzi, jaki ma zawód. Raz zapytano o to Grubera. Wtedy on odpowiedział, że jest śpiewakiem operowym. W ten sposób przylgnęło do niego przezwisko „Opernsinger", używane przez Niemców zarówno jak przez nas. Widząc, że nie jest normalny, gdyż głosu do śpiewu nie miał, zrobili sobie z niego wszyscy pośmiewisko. SD-mani kładli mu kamienie na głowie i strzelali do niego, nożem zacinali mu palce itp. Człowieka tego można było bić do krwi, żeby naprzykład zaprzeczył temu, co ktoś drugi złego lub nieprawdziwego na niego nagadał, a on odpowiadał: „Napewno gdy tak mówi, to wie co mówi". Przy tym jednak trzeba zaznaczyć, że nie był wcale głupi. Był tylko może troszkę, jak mówią, „stuknięty".

Był tu też niejaki Abraham. Pochodził z Warszawy, z zawodu szewc. Był on w „Brygadzie śmierci" brandmajstrem. Ten całkiem świadomie grał wariata. Nazywali go „der meszugener Awrum" — „zwariowany Abram", a potrosze także nim był. W każdym razie nie był przy całkiem zdrowych zmysłach. Untersturmführer bardzo go lubił, gdyż takich on najbardziej lubił. Pamiętam, razu pewnego dwaj tragarze nieśli trupa na noszach, który dlatego, że źle leżał na noszach (nogi zwisały w bok) przyprawiał coraz niosących o kłopot. Untersturmführer, widząc to, odezwał się: „Warum seit ihr so dumm [101]), warum legt ihr nicht so die Figur, dass sie euch nicht so schwer ist[101]). I odwracając się do szupowca, który stał obok, odezwał się: „Ja, ja, wenn sie nicht so dumm wären, dann lebten sie schon lange nicht mehr" [102]).

Tak to trzeba było nieraz grać durnia, by odwrócić uwagę Niemców od tego że myśleć możemy o zorganizowaniu jakiegoś buntu lub ucieczki. Tylko, że nie każdy do tej gry się nadawał. Kiedy Awrum grał wariata miało się niekiedy wrażenie, że ze wszystkich kpi. Nawet z nich — naszych katów.

Oto pewnego wieczora — było to z końcem września — siedzi na stole w celcie Untersturmführer, a my wszyscy naokoło niego. Wszyscy śpiewamy wraz z nim. Nagle przerywa Untersturmführer śpiew i zaczyna swoją starą piosenkę „Nur anständig und sauber". Przy tym opowiada że jeżeli się trzymać będziemy tych dwóch rzeczy, to on dla nas o wszystko się wystara. „Ich werde für euch sorgen, wie ein Vater für seine Kinder". Wtem dał się słyszeć głos zwariowanego Abrama: „Ja Vater, wir fahren noch kein Amerike un unz hat men noch ojf 1000 Jahre Arbeit [103]) (mówił źle po żydowsku i myślał, że to po niemiecku). Wtedy się odezwał Untersturmführer z powagą żeby się nie śmiał, że niestety wie, że wszystko co tu się dzieje nas bardzo boli, ale na to nie może nic poradzić. „Das Leben ist hart und unerbittlich" [104]).

Jeśli chodzi o to co mówili Niemcy, pamiętam, jak pewnego dnia rozmawiałem z szupowcem na temat Żydów. Opowiadał mi, że oni np. sami jeszcze nigdy nie wykryli schronu lecz zawsze miejscowi agenci donoszą im, gdzie się ukrywają Żydzi. I, jak twierdził tenże szupowiec, najwięcej schronów, w których ukryci byli Żydzi, zostało wykrytych przez ukraińską policję. Gdy zaś oddano Żyda do rąk Niemców, to go oni już musieli zastrzelić. To, że „musieli", uważał on za „wyższą siłę". Kiedy Hitler coś nakazywał, oni musieli to robić. Hitler był dla nich bogiem.

Z tymże szupowcem rozmawiałem o wszystkim, bo z nim handlowałem. Do wyżej przytoczonej naszej rozmowy dodał, że i nas będą zmuszeni rozstrzelać, gdyż gdybyśmy zostali przy życiu, tobyśmy się nie liczyli z tym, czy musieli zabijać czy nie, lecz gdybyśmy potem kogo z nich złapali, tobyśmy zabili każdego.

Myślę sobie, niektóre rzeczy, które on opowiada, wiem już oddawna i przechodzę na temat polityki. Opowiada mi, że Sowieci idą naprzód, ale to nic. Oni jeszcze się z Sowietami pogodzą i wspólnie pójdą na Anglię. Inni znowu pocieszali się, że się pogodzą z Anglią i pójdą przeciw Rosji. Tak żyli oni nadzieją do ostatniej chwili.

A nam serce rosło, kiedy widzieliśmy, że oni już przeczuwają swój paskudny koniec.

Rozdział XVIII.

ZNOWU „ALARM LOTNICZY". „ŻYWY TRUP". JAK SIĘ WYKAŃCZA LUDZI. NASI PRAKTYKANCI. DLACZEGO TAK DŁUGO ŻYJEMY?

Untersturmführer dostarczył nam kołder, piecyki nam wstawia do namiotów bo przecież idzie zima Ale my mu nie wierzymy. Wiemy, że nic prócz śmierci nas tu nie czeka. Chcemy tylko zginąć mężnie a nie jak podli tchórze.

Untersturmführer przychodzi do nas wieczorami siada razem z nami, śpiewamy i robimy mu owacje, ale gdy on odchodzi omawiamy dalej swoje plany. Wiemy już, że w tych dniach ma tu przyjść Janowski obóz na spalenie, bo dziś w sobotę Untersturmführer powiedział, że w tych dniach dostanie każdy po dwie albo trzy pary butów. Dnia dzisiejszego przywieziono też trzy auta drzewa i wyplantowano nowe ognisko. Niedaleko paleniska zrobiono rowy na krew. Ci ludzie nie mają być przywiezieni tą samą drogą co wszyscy, t. zn. przez las, tylko prosto przez łyczakowską rogatkę, na piaskową górę, która znajduje się naprzeciwko naszego obozu. Od góry tej wytyczono drogę, która łączy się z drogą prowadzącą do paleniska. Po obydwóch stronach drogi porobiono kolczaste zasieki, ukryte pod gałęźmi. Dzień niedzielny minął na przygotowaniu nowej drogi śmierci dla tysiąca nowych ofiar.

25 października wypadł w poniedziałek. Wszyscy jeszcze śpimy, jest godzina piąta rano, gdy nagle wpada majster Szupo: „Was Ihr schläft noch"?[88]). Wszyscy zrywamy się z łóżek. „In 5 Minuten ist alles angezogen und mit den Hacken auf der Hand steht alles vor dem Zelt"[105]) Nie wiemy co się stało. Może mają nas zastrzelić.

Gdy ubraliśmy się i wyszli przed namiot, ujrzeliśmy jak drogę, którą wczoraj wytyczyliśmy, obstawiają po dwóch stronach w odstępach 2-metrowych ukraińscy milicjanci.

Scharführerzy nasi w tej chwili przyjeżdżają taksówką tacy pijani, że nie wiedzą, co się z nimi dzieje. Majster zaczy-

na nam tłumaczyć, że w związku z alarmem lotniczym, który tu zaraz nastąpi i będzie trwać dość długo, — przy czym przez omyłkę może ktoś strzelić do namiotu i trafić kogo z nas — mamy zejść do wsi do rzeźni, gdzie spędzimy dzień dzisiejszy.

Zeszliśmy do rzeźni. Włączyli radio, żeby nam grało, po czym widząc, że się kręcimy nieswoi, przynieśli nam jeszcze szachy i karty. Nie wolno nam zapominać, gdzie jesteśmy, w czyich rękach. Więc bierzemy karty do rąk i udajemy, że gramy. Ciągle patrzymy w kierunku tej drogi. Widzimy jak z góry brygadami po 40 — 50 ludzi zbiega w dół. Ciągle przychodzi do nas Hauptscharführer, opowiadając, że w każdej nadjeżdżającej brygadzie pyta się o podane przez nas wczoraj na liście nazwiska, czy nikogo z tych ludzi nie ma. Ale narazie nikogo nie było.

Godzina była 12-ta. Kazali nam się zebrać i wrócić do lagru. Gdy przyszliśmy do lagru, wyglądało tu naprawdę jak po bombardowaniu. Wszystko było przewrócone i zrzucone na ziemię.

Naprzeciwko naszych namiotów, między górą piaskową i drutami obozowymi, leżała wielka kupa butów około 2½ tysiąca par, aż czarno było przed oczyma. Niedaleko niej osobno leżała kupa ubrań, a trochę dalej w mniejszej kupie papiery, dokumenty, pieniądze, chusteczki i t. d. Widocznie wpierw skazańcy musieli wyłożyć pieniądze, papiery i inne drobiazgi, bo to leżało najbliżej ścieżki. Dalej leżało obuwie a następnie ubranie. Po powrocie nastąpił apel, podczas którego nasza brygada została podzielona na dwie grupy. Pierwsza grupa wyszła do rewizji ubrań, a druga do układania tych nowych, dzisiejszych trupów na stos.

Ja zostałem w obozie dla odebrania lepszych ubrań, które miały być przeznaczone dla nas. Przytem muszę zaznaczyć, że przy wybieraniu ludzi do rewizji ubrań zostali wyznaczeni przez Herchesa ci, którzy się jeszcze przed tym z nim porozumieli, żeby część pieniędzy i złota oraz innych kosztowności zostawić w ubraniach, a ja miałem to wszystko wyjąć i schować. Te drogocenne rzeczy miały być przeznaczone dla nas na drogę, kiedy będziemy uciekali.

Godzina 5-ta. Kończy się robota. Wszystko wraca do obozu. Na apelu jest obecny Untersturmführer. Powiada, że chce nas widzieć jutro wszystkich przebranych w nowe buty i nowe ubrania.

Untersturmführer odszedł. Urządzamy tajne posiedzenie, na którym oblicza się, ile pieniędzy, złota, brylantów i in-

nych kosztowności dziś zebrano. Okazało się, że było tego wartości powyżej 2 milionów złotych. Rzeczy te zakopaliśmy potajemnie w baraku i miały być wyjęte dopiero w tym dniu, kiedy się zrobi wypad.

Jak wyglądało rozstrzeliwanie tych przeszło 2 tysięcy ludzi?

Byli to ludzie z obozu. Przywożono ich tu autami. Każde auto liczyło około 25 ludzi. Po przybyciu na miejsce kazano schodzić z aut i rozbierać się, poczem pędzono ich do miejsca, gdzie była przygotowana dla nich Brandstelle[69]). Tam ustawiano ich rzędem i jeden z SD oddawał do nich salwę z ręcznego karabinu maszynowego. Których zastrzelił to zastrzelił, ale niektórych nawet nie zranił. Wszyscy jednak padali. Teraz podstawiano drugą 25-tkę przy tamtych trupach i do nich tak samo strzelali SD. Następna 25-tka padała na poprzednią. W ten sposób tworzył się wał trupów, jeden na drugim.

Przy układaniu trupów na stos biorą tragarze jednego trupa do rąk, a tymczasem okazuje się, że człowiek ten żyje, nie został nawet ranny! Kładą go z powrotem między trupy i zaczynają brać innego z drugiej strony. Przy robocie jeden niby to rozmawia głośno z drugim i w ten sposób dają wskazówki rzekomemu trupowi; mówią że mu zostawią ferszalung na noc. Każą mu, gdy się ściemni, włożyć ferszalung i pójść około północy, kiedy mniej pilnują. Objaśniają, jaką ma iść drogą. Człowiek ten nazywał się Zusman. Pochodzi ze Lwowa, miał przed wojną na Zniesieniu[106]) restaurację.

Zusman o mało nas nie wpakował. Wyobraźcie sobie, jak się nasi ludzie zlękli, kiedy przed wieczorem, nim odeszli z roboty każe Untersturmführer przesypać trupy chlorowym wapnem. Przesypywano zwykle trupy chlorowym wapnem, żeby się muchy nie mnożyły. Nasi ludzie bali się więc, żeby żywy nieboszczyk nie kichnął, kiedy obok stał Untersturmführer. Jednakże tym razem jakoś to przeszło. Zostawili też na placu „ferszalungi", niby że pochodzą z trupów, więc dla tego nie biorą ich do namiotu.

Tak zakończono dzisiejszy dzień pracy. Ułożono na stos dopiero 400 trupów. Świeże trupy jest ciężej układać niż stare, bo każdy trup waży dwa razy tyle, zwłaszcza te, które leżą na dole i pod wpływem ciężaru więcej napuchły. Stos świeżych trupów układano tak, że czym wyższa warstwa tym była szersza, bo świeże trupy są śliskie i dlatego trzeba na górze umieścić większy ciężar, żeby się nie rozsuwały. Trupy z boku leżące przy paleniu spadały i później z powrotem wrzucano je do ognia.

Wtorek dnia 26 października. Dziś rano mamy drugi alarm, ale nie taki jak wczoraj, że nas wypędzono. Tym razem nas zamknięto. Przez ściany namiotów słyszeliśmy zajeżdżające samochody i głosy Niemców: „Alles herunter“[107]), „Ausziehen“[15]); „Zu fünf antreten“[75]); „Unterhacken“[38]); „Im gleichen Schritte marsch“[108]).

Mówiąc o alarmie dokładnie opiszę, jak wyglądała w tym okresie akcja niszczenia Żydów.

Najpierw każdy dostawał się do „więzienia śmierci“ lub też zagarniano brygadę, idącą do pracy albo z pracy powracającą i niespodzianie ładowano ją na auto. Krytymi autami ludzi tych zwożono do nas. Przed naszym namiotem auto stawało. Gdy tylko auto zatrzymywało się przed rampą, która jest na drodze, prowadzącej do nas, przy której stale stoi posterunek, już nas wpędzano do namiotów, wołając: „Alarm!“ Potem otwierano bort samochodu i rozlegały się ryki, komenda, jak powyżej podałem. Ma się rozumieć, że nahaje szły żwawo w ruch i oprócz wrzasków słyszeliśmy także odgłosy wściekłego bicia.

Słychać „Die ersten fünf antreten[109]). To pierwsza piątka idzie w kierunku ognia, który znajduje się o jakieś sto metrów dalej. Za nią kroczy druga piątka, trzecia, czwarta i t. d. Podchodzą do samego ognia. Teraz każdy z nich dostaje kulę w tył czaszki i za minutę już się pali. Tak wyglądało to przeważnie, gdy wszystko szło „normalnie“, t. zn. gdy się ludzie dosyć szybko rozbierali. Istotnie ludzie się przeważnie szybko rozbierali, chcąc jaknajprędzej przejść przedśmiertne tortury. Przy tym trzeba powiedzieć, że matki rozbierały swoje dzieci i naga matka, niosąca nagie dziecko na ręku, szła z nim do ognia. Bywało jednak czasem, że matka nie chciała rozebrać swego dziecka, albo dziecko nie chciało dać się rozebrać, że przy tym krzyczało: „Mamo, dlaczego mi się to należy?“ „Mamo, ja się boję“. Takie głosy dochodziły do nas codziennie. Wtedy SD brał dziecko za nóżki i roztrzaskiwał główkę o drzewo w oczach matki, poczem trzymając je za nóżki wrzucał do ognia. Jeśli przy tym matka zareagowała na to, albo choćby tylko poprostu odezwała się jakimś słowem, to ja wśród strasznego bicia wieszano za nogi głową na dół, aż skonała.

Jeszcze raz muszę zaznaczyć, że ludzie rozbierali się bardzo szybko, szli do ognia bez słowa, nawet bez westchnienia. Każdy chciał już jak najprędzej pozbyć się życia. Już za długie były męczarnie. Każdy już miał kogoś z najbliższych straconego. Każdemu się zdawało, że ma samych wrogów na świecie — od dziecka w pieluszkach do starego. Uczono nas,

że towarzysze wspólnej niedoli łączą się, stają się przyjaciółmi. Tego nie było widać.

A dlaczego ci ludzie nie popełniali samobójstwa? Gdyby w tej chwili, t. zn. gdy już był nagi, idąc do ognia, zapytano takiego człowieka: czego ty teraz chcesz — śmierci czy życia? — z pewnością by odpowiedział: śmierci! Nie każdy jednak ma odwagę, a przede wszystkim nie każdy ma narzędzie lub truciznę, by samemu sobie odebrać życie, które już dlań żadnego smaku nie ma. Poza tym część ludzi była z dziećmi, a nie każda matka lub ojciec może zabić swoje dziecko. Znowu inna część liczyła na to, że może, może jednak uratuje się. Nie poto aby żyć, ale po to aby zemścić się, poto aby samemu widzieć upadek wielkiego kata i organizatora morderstw.

Chcę także zaznaczyć, że podczas naszej pracy zarówno „na piaskach", jak w krzywickim lesie, ciągle przyjeżdżały do nas komisje składające się z takiej samej ilości S.D.-manów jak drużyna, przydzielona do nas. Komisje te przyjeżdżały z różnych stron Polski, by się u nas uczyć przeprowadzania egzekucji i palenia trupów. Po kilku tygodniach odjeżdżali do różnych wyznaczonych im miast na prowincji, aby tam prowadzić taką samą robotę.

Gdy oni się pytali kogoś z nas, jak długo tu pracuje, nie wolno było mówić, że dłużej, niż 10 — 12 dni, gdyż w takiej brygadzie nie wolno nikogo trzymać więcej niż 14 dni. Untersturmführer trzyma nas tu w tajemnicy, a w Dienststelle melduje co dwa tygodnie, że zamienił swoją brygadę.

Untersturmführer trzyma nas dlatego tak długo i stara się nam dogodzić, byśmy nie chcieli uciekać, bo już stanowimy wyćwiczony zespół, na czym mu, jako dobremu organizatorowi, zależy. Powtóre nabrał on z czasem przekonania, że nikt z nas nie ucieknie, a to jest dla nich najważniejsze ze względu na rozkaz zachowania tajemnicy. Ważniejsze nawet niż dobra robota. Za każdego naszego robotnika odpowiadają szupowcy głową, a Untersturmführer w razie czyjejś ucieczki, dostaje naganę, a nawet może pójść za to na front, czego boi się, jak samej śmierci. Taki, jak on, będąc tu oficerem, w razie pójścia na front zostaje zdegradowany do stopnia zwykłego szeregowca.

Rozdział XIX.

RATOWANIE „ŻYWYCH TRUPÓW". DLACZEGO TRUPY „NA PIASKACH" MIAŁY OTWARTE USTA. „PATRZ, PROWADZĄ..."

Kiedy alarm się skończył, t. zn. kiedy wszyscy już zostali rozstrzelani, słychać było: „Herschel, heraus!" Herschel wychodził i wtedy słychać było rozkaz: „Lass den Haufen antreten"[110]). Wtedy słychać było głos Herchesa: „Zbiórka — apel". Za minutę wszyscy stali piątkami na placu. Rozlegała się komenda: „Abzählen"![111]). Jak okiem mrugnąć odliczano i teraz Herches daje rozkaz: „Achtung, Mützen ab!" „Die Augen links um"[112]) (zależy, gdzie stoi ten, który przyjmuje apel. Jest to zawsze ktoś z SD), po czym melduje: „Herr Hauptscharführer, lub Scharführer (zależy, komu zdaje raport) ich melde gehorsam 120 Mann zu Apell angetreten"[113]). Teraz dostaje odpowiedź: Kollonenweise antreten!"[114]) W tym samym czasie podchodzi jeden z szupo i otwiera furtkę, przy której już stoi oddział szupowców, czekając na przydział. Teraz naczelnik szupo odbiera każdą brygadę z osobna, przydziela odpowiednią ilość szupowców, oddając im pewną ilość „figur" i odmaszerowują do roboty.

Ceremonia wymarszu i dziś wygląda jak codzień, z tą tylko różnicą, w związku z wczorajszym wypadkiem znalezienia wśród trupów żywego, że każdy, który pracuje jako tragarz bierze ze sobą kilka kawałków cukru. Godzina 12-ta — obiad. Nie ma teraz czasu zajmować się pytaniami, kogo dzisiaj rano przywieźli, gdyż musimy się zająć żywymi ludźmi, których pełno jest między trupami. Są to ludzie albo lekko ranni, albo nawet wogóle nie ranni. Teraz staje się jasnym, dlaczego w „wielkim wąwozie" na piaskowiu Janowskim na wielu trupach nie było znaku kuli i mieli otwarte usta. Gdyby tych odrazu zasypano, byłoby to samo.

Każdy z tragarzy dostaje kilka kawałków cukru, wkładają ferszalungi, potrzebne niby to do roboty, a przeznaczone do pozostawienia na polu po robocie. Dwaj biorą dwie pary butów, w które wkładają po 1500 złotych, aby tamci mieli na

pierwszy krok i dostają odpowiednie wskazówki, jak wszystko mają zorganizować, aby nic się nie wykryło. Czy nie pamiętamy wydarzenia z Lufką, który zginął w męczarniach za ukrycie 1000 złotych? Nie mówiąc już o tym, coby nam się dostało za zbrodnię ratowania ludzi.

Koniec obiadu i godzina pierwsza, apel. Wychodzimy do pracy.

Godzina piąta, wszystkie brygady wracają z roboty. Po apelu myją się, kolacja. Teraz wszyscy już w celcie na pryczach. Siedzą gromadami, skupiają się wokół tragarzy. Ci opowiadają, kogo dzisiaj ułożono na stosie. Opowiadają, że dzisiaj rano przywieziono 112 kobiet z obozu. Opowiadają, kogo widzieli ze znajomych. Że dużo jest żywych, dużo zaś zaduszonych. Tym żywym dawali cukier. Gdy podchodzili brać trupa, wkładali ukradkiem do ust żywemu cukier. Przy tym niby to mówili do drugiego kolegi i w taki sposób dawali leżącemu wskazówki, kiedy, którędy ma uciekać i gdzie co leży, żeby mógł się ubrać. Ferszalung, który wczoraj zostawiono, znikł. Znaczy to, że „trup" szczęśliwie uciekł. Tak mija dzisiejszy dzień pod wrażeniem nowych ofiar.

27 października. Dzień zaczyna się jak zwykle apelem. Po apelu śniadanie. Przy śniadaniu słychać: „Patrz, prowadzą". Oczy każdego z nas kierują się w stronę „Wysokiej góry piaskowej". Stamtąd prowadzą w dół w kierunku naszego obozu wysokiego, przystojnego, ledwo żyjącego i ledwo powłóczącego nogami człowieka. Nazywa się on Kessler i pochodzi z Tarnopola. Ubranie jego składa się z ferszalungu i znanych nam bucików. Więc jest to jeden z tych, którzy wczoraj żywi leżeli między trupami. Ale poco go teraz tu prowadzą? Chyba tylko po to, by pokazał, kto mu dał ferszalung i buty. Koło furtki naszego obozu stanęli. Tak stali kilka chwil. Biedny człowiek upadł. Leżał kilka minut, później pomału siadł. Gdy usiadł, jeden z szupowców zaczął mu zadawać pytania. Przed pytaniem do niego tak przemówił: „Widzisz — (pokazując mu palcem na nasz obóz), w tym obozie są twoi koledzy. Oni tu pracują, powodzi im się dobrze, nikt ich nie bije, mają jedzenia i wszystkiego co im potrzeba podostatkiem. Wogóle jest im bardzo dobrze, lecz aby dostać się do tego obozu, trzeba być bardzo porządnym człowiekiem. Mówić prawdę. Widzisz, tu w tym obozie są twoi przyjaciele i oni powiedzą całą prawdę. Mówię to wszystko, bo mam litość dla ciebie. Jesteś przecież zdrowym, przystojnym, inteligentnym człowiekiem. Żyć chce każdy. Lepiej żyć niż umierać. A teraz jeżeli powiesz cała prawdę — my ją i tak znamy — to będziesz uratowany. W przeciwnym razie zastrzelimy cię, a przed rozstrzelaniem

przejdziesz jeszcze straszne tortury. Chyba wiesz, że my potrafimy zadawać tortury".

Na to odpowiada cichy, słaby głos: „Nie boję się już niczego, nic nie chcę mówić". Milczenie. Nadchodzi majster Schupo, zamienia kilka słów z szupowcem po czym każe tamtemu wstać, wskazując mu palcem kierunek w stronę ognia. Kazał mu pójść, ale gdy widział, że prędzej go zaniosą nim dojdzie sam, wyjął rewolwer i go zastrzelił. Zastrzelił go sam, a nie oddał do SD, nie dlatego, że mu chciał zaoszczędzić tortur, ale sam się bał, bo szupowcy powinni i trupów pilnować. Tymczasem ten zdołał uciec, a za to i oni ponieśliby odpowiedzialność.

Rozdział XX.

JAK BYŁA PRZEPROWADZONA AKCJA W OBOZIE. MAMY JUŻ ORKIESTRĘ. APTEKARZ ZASTĘPUJE LEKARZA. TAJNE POSIEDZENIA. „MOROWI" I „NIEMOROWI". „HIKI — PIKI".

Pod koniec tygodnia dowiedzieliśmy się, jak była przeprowadzona akcja w obozie:

Już na kilkanaście dni przed akcją, szef obozu, Hauptsturmführer Warzog[115]) puszczał pogłoski, że powyżej 1000 ludzi mają odtransportować z obozu do Lublina. Zarządził też, żeby co wieczór przy kolacji grała muzyka. Pewnego dnia t. zn. 25 października (było to w poniedziałek) ludzie wstają jak zwykle o godz. 4-tej i z wielką radością widzą, że wachy, która pilnowała obozu, nie ma. Karabiny maszynowe, którymi był obstawiony obóz, znikły. Nikt nie wiedział, czym to tłumaczyć, ale w każdym razie każdy się cieszył. Czy to nie jest dobry znak, jeżeli znikli ci i to co siało śmierć? Zbliża się godzina 6-ta. Jak zwykle zganiają lagerpolicyści ludzi na apel. Stoją już wszyscy. Jednakże apel nie wygląda dziś jak zwykle. Zazwyczaj przychodzi na plac apelowy kilku SS-manów z nahajkami, a dzisiaj przybył tylko szef lagru Hauptsturmführer Warzog, za nim zaś kroczy kilku Żydów, pracujących w magazynie i niosą ubrania. Pomału zapełniają plac apelowy ubraniami i obuwiem. Koło tych ubrań stoi Warzog, śmiejąc się sam do siebie. Ludzie też są zadowoleni z tej sytuacji, która wskazuje na jakąś zmianę i to na dobre. Muzyka zaczyna grać. Zaczyna się właściwy apel. Warzog wygłasza przemówienie. Mówi o tym, że u niego i obozowcy muszą być porządnie i czysto ubrani. Nadchodzi przecież zima. Warzog sam wywołuje pierwszą brygadę. Nie DAW, która codziennie wychodziła jako pierwsza, a inną. Brygadę DAW odstawił Warzog na koniec. Ogląda każdego człowieka z osobna. Temu, co ma dobre buty, każe je zdjąć i daje mu lepsze, drugiemu znów daje palto, trzeciemu ubranie. Brygada już wymaszerowała za bramę, ale Warzog woła ją z powrotem. Zauważył,

że jeden z robotników ma podarte buty, krzyczy, dlaczego mu o tym nie powiedział. Każe mu zmienić buty na nowe. Gdy znowu kto inny mu pokazuje, że ma podarte buty, krzyczy Warzog, że sam widzi. Nagle jeden z więźniów wkłada rękę do palta i znajduje tam 500 złotych. Inny znów w marynarce znalazł całe 1000 zł. Szczęśliwcy! Ubrania i pieniądze są, może nawet będzie wolność. Grunt, że askarów[14] już nie ma. Tak wymaszerowują aż poza główną bramę obozu. Tu na nich czekają — askarzy, SS i auta. Askarzy i SS odrazu okrążają brygadę i prosto na auta...

Relację powyższą podali nam muzykanci przywiezieni do nas z obozu. Untersturmführer i tym razem dotrzymał słowa. Powiedział, że musi u nas być orkiestra i orkiestra jest. Stało się to w następujący sposób. Codziennie wieczorem SS-owcy brali sobie kogoś z orkiestry obozu Janowskiego do domu, aby mu tam grał. I dziś także pojechał nasz Hauptscharführer Rauch i Sturmmann Reiss autem do obozu i zabrali stamtąd znanego pianistę lwowskiego Hermana i jednego saksofonistę. Zamiast do siebie do domu przywieźli ich jednak tu do naszej brygady. W piątek wieczorem przed furtką naszego obozu staje auto. Drzwi auta otwierają się. Wychodzi znany nam Herman z harmonią w ręku, a za nim człowiek niskiego wzrostu w okularach — saksofonista. Hauptscharführer i Sturmmann wprowadzają ich do celtu. Oni patrzą, gdzie tu wpadli. Widzą diabła (Brandmeistra). Szupowcy każą im usiąść u nas na stole. Wołają też skrzypka, który jest u nas od 4-rech tygodni i każą im grać. Grają, a łzy spadają im na palce, które uderzają w klawisze. Godzinę temu był jeszcze Herman razem z żoną i ojcem w obozie Janowskim. Nawet się z nimi nie pożegnał, a już ich napewno nigdy nie zobaczy.

I tak od dzisiaj orkiestra przygrywa nam, gdy wychodzimy do roboty i wita nas, kiedy wracamy z pracy. Orkiestra ta zagłusza płacz dzieci, które idą na śmierć.

Kiedy nasza brygada była w Szczercu, zabrała ze sobą w drodze powrotnej pewnego aptekarza żyda, któremu po likwidacji gheta pozwolono zostać. Był to znany lwowski aptekarz nazwiskiem Sternbach, lat około sześćdziesieciu. Miał w swoim czasie aptekę we Lwowie przy ul. Gródeckiej. Przywieźli go do nas i tu u nas pracował. Ponieważ nie było lekarza, zastępował go aptekarz.

Od czasu ostatniej akcji w obozie co wieczór odbywają się tajne posiedzenia. Jak takie posiedzenie wyglądało? W celcie gra muzyka, jedni wtórują śpiewem, drudzy tańcza, a w tym samym czasie siedzi w warsztacie mała grupa ludzi i naradzają się co do „wypadu". Trzeba działać i to w naj-

bliższym czasie. Według ostatnich wiadomości z gazety, którą nam jeden szupowiec przynosi za 20 złotych dolarów, armia sowiecka się zbliża.

Handel z szupowcami kwitnie. Na dworze coraz zimniej. Szupowcy, którzy mają dyżur koło naszego obozu, rozpalają sobie gniska, przy których się grzeją. My wynosimy drzewo do tych ognisk, przy tym też wynosimy kawałki złota, za które ten i ów szupowiec coś nam przynosi. Papierosy, wódkę i t. p.

Gdy zaczęto mówić o zorganizowaniu wypadu, ludzie nie zważając na to, że istnieje wspólna kasa, zaczęli sami chować pieniądze i walutę. Fakt ten mógł wywołać wilka z lasu, więc zorganizowaliśmy rewizję i pod groźbą kary śmierci zabroniliśmy chować złoto.

Zauważyłem już poprzednio, że był w obozie rozłam między „świtą" a „morowymi" czyli przedstawicielami świata przestępczego, którzy dostawszy się do obozu, występowali solidarnie a często i wrogo w stosunku do reszty Żydów nazywanych przez nich z pogardą i nienawiścią „di jołdn" t. j. naiwnisie, „frajerzy". Teraz wszyscy zjednoczyli się, w celu wspólnego działania, w organizację pod nazwą „hiki - piki".

Co się tyczy roboty, zwozi się teraz trupy z Jaryczowa, Bóbrki, Szczerca, a nawet zaczęto już wykopywać trupy z masowych dołów na cmentarzu żydowskim przy ulicy Janowskiej.

Było to około 10-go listopada 1943 r., kiedy rano Untersturmführer zwołał apel szupowców. Byliśmy pewni, że teraz nastąpi wreszcie nasza śmierć. Tymczasem chodziło o rzecz następującą:

Naprzeciwko furtki, która znajdowała się po przeciwnej stronie piaskowej góry, stała wielka, żelazna skrzynia, w której chowano zebrane złoto. Dopiero, gdy zebrano większą ilość złota t.zn. około 50 kg. odstawiano je do banku. Tam też chowano papierosy i wódkę, przeznaczone na przydział dla szupowców. Klucz miał tylko Untersturmführer. Tymczasem jeden z szupowców podrobił sobie klucz i codziennie w nocy, kiedy miał dyżur, wykradał coś do picia. Aż dziś Untersturmführer zauważył braki i z tego powodu zwołał apel.

Po tym niepotrzebnym strachu wzmógł się nacisk na zorganizowanie ucieczki. Wyznaczono ucieczkę na dzień 17-go listopada.

Rozdział XXI.

WYPAD NIE DOSZEDŁ DO SKUTKU. PRZYGOTOWANIA DO LIKWIDACJI OBOZU.

Nareszcie nadszedł upragniony dzień. Robota szła jak zwykle. Wieczór wyglądał jak zawsze. Grała muzyka, ludzie śpiewali, tańczyli. Gdyby ktoś przyszedł, powiedziałby: istny dom wariatów. Zbliżała się godzina 9-ta. Wszyscy położyli się spać. Każdy miał przygotowane ubranie, aby w chwili, gdy dadzą nam znak, wszyscy prędko się ubrali.

Jak miał wyglądać wypad? Otóż wieczorem, kiedy niby to wszyscy już śpią, miał być, jak dość często, zawołany szupowiec, który ma dyżur koło furtki. Już z góry wiedziano, kto o której godzinie ma dyżur. Wiedziano, że ten właśnie szupowiec, gdy mu się mówi, że się dla niego coś ma, przychodzi do celtu. Gdy szupowiec wejdzie do środka, mają mu narzucić na głowę koc, udusić go, zabrać mu automat i granaty. Wtedy dopiero wszyscy mają się po cichu ubrać i rzucić się do ucieczki.

Herches i jeszcze dwaj, którzy byli ubrani, poszli tymczasem wykopać schowane w warsztacie pieniądze i złoto, aby je rozdzielić między wszystkich. Niestety jednak ktoś ich już wyprzedził i wszystko było wyjęte. O tym miejscu, gdzie pieniądze i złoto było zakopane, wiedzieli tylko „morowi". Znalazłszy pusty dołek, Herches zdenerwowany wszedł do celtu i idąc od jednego do drugiego bił każdego, kto tylko miał przygotowane ubranie pod głową. Każdy pomału zaczął odkładać ubranie tam, gdzie powinno leżeć. Słychać tylko było szepty „co się stało"? A on mruczał: „Ja wam dam uciekać! Raz wy nie ludzie, to rozstrzelać was jak psów".

Tak skończył się dawno oczekiwany dzień.

Czy jednak, gdy kilku zawiniło — mają za to cierpieć wszyscy? I tak drugiego dnia nad ranem Herches oświadczył, że jeżeli do trzech godzin znajdą się pieniądze, to znowu zaczyna się organizować na najbliższe dnie „wypad".

W przeciwnym zaś razie, jeżeli usłyszy od kogoś słowo o ucieczce, to go wyda na rozstrzelanie. W dwie godziny później został podrzucony woreczek z pieniędzmi i złotem. Wprawdzie coś brakowało, ale już się nad tym nikt nie zastanawiał. Dzisiejszego wieczora zaczęto więc pracę nad organizacją nowego planu ucieczki, gdyż tamten plan niektórym się nie podobał. Tegoż dnia po południu przyjechał też Hauptscharführer Rauch z Sturmmannem i kazał sobie załadować do auta 20 sztychówek. Poco? Nikt nie wiedział, ale różnie o tym mówiono.

Na cmentarzu Janowskim już wyjęto wszystkie trupy z masowych grobów. Specjalnej pracy nie ma. W piątek dnia 19 listopada każe Untersturmführer, żeby Herches wydzielił 4 ludzi, a jako piąty wsiadł on sam. Pojechali do miasta. Tymczasem do nas przyszedł Hauptscharführer Mayer, opowiadając nam to, o czym już kilkakrotnie była mowa w ostatnich kilku dniach, a mianowicie, że przywiezie się do nas Striksa (kapelmistrza obozu Janowskiego). Tymczasem tamci pojechali na Dienststelle[34]), na ulicę Pełczyńską po drzewo. Z tym drzewem pojechali na ulicę Janowską w kierunku obozu. Byli pewni, że jadą do obozu, aby wziąć dla nas żywność. Tymczasem przy rogu ul. Pilichowskiej podniósł się drogowskaz i pokazał, że auto skręca w tę ulicę. Może na cmentarz, aby coś wziąć? Może jadą złożyć drzewo na tutejszej piaskowni i przygotować palenisko dla reszty obozowców? Wiemy przecież, że w tych dniach ma zginąć reszta Żydów.

Gdy podjechali bliżej i znaleźli się koło miejsca, gdzie dawniej stał szupowiec, który uważał, żeby nikt nie wszedł do naszej „fabryki" dziś również ujrzeli tego samego szupowca. Gdy tylko podjechali do rampy, usłyszeli głos szupowca: „Herein mit der Scheisse"[116]). Na to szupowiec, który jechał na aucie i uważał na Żydów, odezwał się: „Das ist unser Kommando 1005"[117]). Zrzucono tu drzewo i pojechali z powrotem.

Gdy odebraliśmy raport o wycieczce, zrozumieliśmy że akcja w obozie jest w toku. Poto wzięto wczoraj wieczorem sztychówki, aby wykopać rowy na krew i przygotować miejsce dla nowych ofiar. A dlaczego Untersturmführer nie wziął od nas ludzi do przygotowania miejsca dla nich? Nie wziął nas chyba z tego powodu, bo wiedział, że wielu z nas ma kogoś w obozie, dla któregoby życie oddał. Gdybyśmy się więc wczoraj o tym dowiedzieli, staralibyśmy się wszelkimi siłami dać znać swoim bliskim o przygotowaniach do likwidacji obozu. Być może też, że Untersturmführer nie chciał nam pokazać, że nie dotrzymuje słowa.

Przed tamtą akcją mógł nam przyrzec, że naszych najbliższych wyratuje, jak tylko tu przyjdą, a potem powiedzieć, że nie przyszli. Tak czy owak nie mogliśmy się o tym przekonać. Teraz jednak, gdy wykończyć miano wszystkich, nie można już nas było niczym łudzić.

Gdy ta piątka wróciła, byli wszyscy bardzo zdenerwowani. Sam Herches miał w obozie matkę i żonę. Nic nam narazie nie mówili, ale gdy ja mu powiedziałem, że worek z pieniędzmi jest, odezwał się: „a co mi tam pieniądze". Widząc że szkoda z nim mówić, bo jest bardzo zdenerwowany, myślę sobie: „Mam czas mówić z nim wieczorem, gdy mu złość przejdzie. A może nie chce on mówić, aby nie narobić narazie popłochu".

Jak się później okazało, to drugie przypuszczenie moje było słuszne.

Rozdział XXII.

PLAN DZIAŁANIA. PRZY DŹWIĘKACH MUZYKI. UDAŁO SIĘ, ALE NIEZUPEŁNIE. UCIEKAMY. JEDEN NIE CHCIAŁ UCIEKAĆ...

Gdy tylko zapadł wieczór dnia 19 listopada, Herches kazał mi zwołać wszystkich młodych mężczyzn do lat dwudziestu kilku i wszystkich „morowych" do warsztatu. Kilkoma starszymi obstawić kazał oba namioty, żeby dali znać, jeśli ktoś przyjdzie. Co do reszty, spędzono niektórych do naszego celtu. Tu muzyka grała a oni wtórowali śpiewem.

W warsztatach zaczęło się posiedzenie. Pierwszy jako przewodniczący zabrał głos Herches. Zaczął swoje przemówienie tymi słowami:

„Koledzy i bracia! wybiła godzina życia lub śmierci. Jutro będziemy w ogniu lub na wolności. Mówię tu w pierwszym miejscu o ogniu, a później o wolności, bo człowiek powinien sobie wyobrazić wszystko najgorsze, by wyszło najlepsze. Przytym ognia się nie boimy, gdyż i tak w najbliższej godzinie powitałaby nas śmierć. Czyż nie lepiej paść od kuli, która niewiadomo skąd przyszła i zginąć honorowo za wolność, niż rozebrać się i pójść potulnie piątkami do ognia, a do samej śmierci jeszcze im wiernie służyć? Pomagać im zniszczyć ślady mordów? Dość tego!..."

Powoli Herches doszedł do sprawy podziału funkcji. Najpierw przedłożył plan ogólny i wyznaczył, kto gdzie ma pójść, zaznaczając przy tym, że jeśli ktoś z wyznaczonych nie czuje się na siłach do spełnienia wyznaczonej mu funkcji ma odrazu powiedzieć, gdyż funkcje są bardzo odpowiedzialne i ryzykowne. Ludzie zostali podzieleni na czwórki. Plan działania był następujący: Pierwsza czwórka ma załatwić obydwu szupowców, którzy pełnią dyżur koło naszego obozu. Musi to zrobić tak, aby Szwaby nawet nie pisnęli, bo wtedy będziemy zgubieni. W tym celu dwóch z nas wyjść ma z drzewem do szupowca przy jednej furtce. W tym samym czasie druga dwójka ma wyjść do drugiego szupowca pod pozorem, że niby to

chcą mu dać parę butów, a dla pretekstu wynoszą drzewo. Gdy on się schyli, albo odwróci ażeby im dać to, co przyrzekł, wówczas jeden z nich rzuci się na szupowca i udusi go. W ten sam sposób druga dwójka ma się załatwić z drugim szupowcem. Później mają zabrać im M.P. i granaty i wrzucić do celtów. Teraz nadejdzie kolej na drugą czwórkę. Oni mają się uzbroić w M.P. i granaty i mając już drogę otwartą, okrążyć celt szupowców. Dwóch z nich ma wejść do środka i tak jak oni leżą na swych pryczach nieuzbrojeni (przed chwilą był tam jeden z naszych i zdał raport o tym, co oni robią), a broń stoi od nich w odległości kilku kroków przy przeciwnej ścianie — mają oni jednym pociągnięciem cyngla wszystkich wystrzelić, gdyby zaś to się nie udało, wrzucić poprostu między nich granat ręczny. W tym samym czasie druga czwórka ma zejść główną drogą w dół w stronę kantyny szupowców z nożami w rękach, a gdyby przypadkiem nadszedł który z szupowców, unieszkodliwić go. Nie będzie to rzeczą trudną, bo często się zdarzało, że ktoś z nas szedł pod nadzorem szupowca do kuchni po piwo lub co innego, więc ten, któryby nadszedł, widząc idącego z przeciwka Żyda, niczego by nie podejrzewał.

Gdy wszystko już się uda, ma wrócić na miejsce pierwsza czwórka, ta która była w celcie szupowców. Do tego czasu wyznaczonych 6-ciu ludzi ma utrzymać odpowiedni nastrój w celtach, bo mamy jeszcze na górze w bunkrach wachę, której nie wolno nam niczym zaalarmować.

Najbardziej ze wszystkich zagrożeni byli muzycy i ci, którzy wtórowali orkiestrze śpiewem, bo w razie najmniejszego niepowodzenia lub zmiany w przeprowadzeniu planu, oni nie mieli szans zdążyć na czas z ucieczką. Sprawa ta była omawiana i trzeba przyznać, że ludzie, których to dotyczyło, nie czynili z tego kwestii i istotnie padli ofiarą swego poświęcenia dla towarzyszy.

Dopiero na dane hasło wszyscy opuszczą dotychczasowe posterunki, wejdziemy do celtu zabitych szupowców, gdzie znajduje się amunicja, uzbroimy się, przebierzemy się w ich mundury i wszyscy razem stąd odejdziemy. Nim ktoś z pozostałych ujrzy, że wszyscy szupowcy są zabici, my zdążymy się oddalić stąd o kilka kilometrów.

Tak wyglądał nasz plan.

Tymczasem muzyka grała, niektórzy śpiewali, niektórzy rżnęli drzewo na noc. Są przecież piecyki i całą noc w nich się pali. Jeden szupowiec zamówił sobie wiązkę drzewa i kazał zostawić ją na umówionym miejscu, skąd ją zabierze o godzinie 11-tej do bunkru, gdyż i tam oni sobie całą noc palili

w piecykach. Wszystko było w porządku. Teraz trzeba było tylko działać i prosić Boga, aby nasz plan nam się udał.

Jak zwykle, tak i teraz plany były jednak ładniejsze od czynów. Niektórzy byli za tym, aby zacząć działać o godz. 9-tej, niektórzy żeby z miejsca, bo skoro zacznie się odkładać z godziny na godzinę, to nic z tego nie będzie. Ci którzy mieli zaatakować tych dwóch szupowców byli zdania, żeby działać z miejsca.

Ja miałem wyznaczony posterunek na podwórzu, jako łącznik. Stoję więc przy kuchni, niby jem i jednym okiem patrzę, co robi szupo.

Nagle widzę, że jeden z szupowców podchodzi do furtki, jakby chciał komuś otworzyć drzwi. Patrzę w tę stronę i widzę, jak ci dwaj od nas, którzy mieli jego unieszkodliwić, wychodzą do niego. Jeden z nich miał w ręku kilka kawałków drzewa, drugi zaś trzymał schowaną pod bluzą parę butów. Już umówili się z nim przedtem, że mają schowaną dla niego dobrą parę butów i że mu ją zaraz wyniosą. Szupowiec na to się zgodził. W tym samym czasie druga dwójka miała wyjść do drugiego szupowca, więc i ja biegnę szybko do furtki. Już podeszli do furtki, którą miał im otworzyć drugi dyżurujący, aby i jemu coś wynieść. Drugiego szupowca jednakże nie było. Spóźnił się o kilka minut.

Pierwsza dwójka wyszła do szupowca, który stał między naszym a ich celtem. Podeszli z nim aż do jego budki. Jeden z chłopców zrzucił drzewo, zaś drugi zaczął wyciągać buty. Szupowiec nachylił się, żeby je odebrać i jaknajprędzej schować do budki. Bał się, że może ktoś nadejść i zobaczyć, że pozwolił komuś do siebie przyjść, co jest surowo wzbronione. Drzewo dla ich paleniska musiało się im zawsze przerzucać przez druty, a nie zanosić na miejsce. Gdy szupowiec schylił się, żeby wziąć te buty, drugi z naszych, który niósł był drzewo, rzucił się na niego i zaczął go dławić. Niestety, źle go złapał. Niemiec zdążył głośno krzyknąć. Więcej głosu nie wydał. Rzucili się na niego tak, że go odrazu udusili.

Tymczasem muzyka w baraku dalej grała, niektórzy śpiewali tak jak zwykle i niczego nie dawali po sobie poznać. Gdy usłyszałem pisk Szwaba, pobiegłem w stronę drugiej furtki. Tymczasem nietylko ja usłyszałem pisk, ale i niektórzy z celtów, którzy w tej chwili wybiegli na podwórze.

Druga dwójka przygotowana do wyjścia stała i pytała się, co z tamtą dwójką słychać, czy już wyszła, gdyż nie dano im znaku w chwili wyjścia. Ja odezwałem się do nich, że tam-

ten jest już załatwiony. Gdy oni to usłyszeli, zbliżyli się do furtki, przy której stał już szupowiec czekający na nich, aby mu przynieśli to, co przyrzekli. Nie orientując się, czy coś się stało, otworzył furtkę. My zaś, widząc, że nam nie wolno czekać, rzuciliśmy się na niego i w tej samej chwili usłyszeliśmy za sobą strzały.

Jak się okazało, także siedzący w celcie szupowcy usłyszeli krzyk, uzbroili się szybko i wybiegli. Zorientowawszy się w sytuacji, z miejsca otworzyli ogień w kierunku naszych celtów. Jeden z dwójki wyznaczonej do rozprawienia się z szupowcem, stojącym przy drugiej furtce, trzymał właśnie w ręku łopatę, na której znajdowało się palące drzewo do rozpalenia ognia. Gdy szupowiec otworzył furtkę, ten, który trzymał łopatę z ogniem, zadał mu tą łopatą cios w twarz, a ja jako drugi obaliłem go na ziemię i ogłuszyłem go uderzeniem podkutego buta w głowę. Zdążył jeszcze zakrzyknąć: „Meine Herren lasst mich leben"[118]). (Tak to w ciągu jednej minuty z „figur" staliśmy się panami) Więcej głosu nie wydał. Legł przy samej furtce a każdy uciekający, przebiegając przez furtkę, deptał po nim i miażdżył jego twarz.

Wszyscy rzucili się do ucieczki. Umówiliśmy się byli, że mamy iść w las. Ale gdzie tu szukać reszty kolegów, kiedy za nami już strzelają? Mieliśmy się odbić w stronę gęstego lasu. Będąc pewny, że tamta strona jest już obstawiona przez szupowców, odbiłem się w przeciwnym kierunku i pędem pobiegłem przed siebie w stronę góry.

Myliłby się ten, ktoby myślał, że wszyscy staneli do biegu. Byli tacy, którzy wogóle nie chcieli uciekać. I tak np. niejaki Jehuda Goldberg, były legionista polski, który przed wojną pracował jako tercjan w szkole Czackiego, nie chciał próbować ucieczki. Miał lat około czterdziestu. Po zebraniu, na którym oznajmiono wszystkim, że dziś uciekamy, on jak codzień tak i tej nocy rozebrał się i położył się spać. Wtedy przystąpili do niego inni z zapytaniem, czy nie wie co się dzieje. Na to on odpowiedział: „Wiem wszystko i niech wam Pan Bóg dopomoże, by wam się ucieczka udała. Żebyście doczekali ich końca i mogli opowiedzieć światu jako naoczni świadkowie, jak zniszczono naród. Ja zaś — gdzie pójdę? Do miasta, do jakiegoś schronu — kto mnie przyjmie? Przyjaciół ani znajomych „aryjczyków", którzyby mnie przyjęli, nie mam. Także do lasu pójść nie mogę, bo wiem, że na darmo bym tego próbował. Ja już nie jestem taki młody, jak wy, tak że ja tam nie wytrzymam, a gdy się do was przyłącze, będziecie mieli ze mną kłopot i możecie jeszcze przeze mnie wpaść. Prędko chodzić już nie potrafię, tak że przeze mnie i wy nie będziecie mogli

predko iść, gdyż wam sumienie nie pozwoli mnie na drodze zostawić. Jak wy uciekniecie, to szupowcy tu wpadną i mnie zabiją, ale wolę tutaj paść tej nocy, a nie żeby oni mnie złapali po drodze.

A zresztą poco mam żyć? Żonę i siedmioro dzieci, które były moim największym skarbem straciłem, więc i ja nie chcę żyć".

Powiedział jeszcze: „Dobranoc wam! Szczęśliwej drogi! Daj wam Boże przeżyć wojnę, a mnie lekką śmierć!" Odwrócił się i zamknął oczy do snu.

Rozdział XXIII.

DOKĄD SIĘ UDAĆ? TOWARZYSZE NIEDOLI. NA ZNIESIENIU. UPADLI I NIE WSTALI JUŻ. ODNALEZIENIE TOWARZYSZA. SPOTKANIE Z AUTEM. „ACH, JACY CI LUDZIE SĄ SZCZĘŚLIWI!“

Jak już zaznaczyłem, odbiłem się w kierunku góry.

Na dworze jest tak ciemno, że jeden drugiego nie widzi. Za nami słychać głośne strzały z M.P., rzucają granaty ręczne. Nie przebiegłem jeszcze 10 m, gdy już zaczepiłem o zasieki kolczastych drutów, które ukryte były pod krzakami. Upadłem. Podniosłem się i przeskoczyłem przez znane mi zasieki, gdyż myśmy je sami robili. Biegnę dalej i nagle słyszę szelest krzaków. Jakby ktoś między nimi biegł. Pytam się „kto tam?“, bo wiem, że to z pewnością nie szupowiec. Szupowiec by sobie zaświecił latarką.

Z krzaków odzywa się znajomy głos przyjaciela niedoli, niejakiego Buka, byłego kelnera w Bristolu[119]) — „To ja“.

Wołam go bliżej. Chcę, byśmy się razem trzymali, bo zawsze co dwaj, to nie jeden. Nagle wyrósł wśród nas trzeci, niejaki Mojżesz Korn znany pod przezwiskiem „Kaczanos“.

Biegniemy teraz w trójkę. Ciągle potykamy się i padamy. Teren jest taki — że co krok to pagórek lub dołek. Człowiek nie widząc, pada w dół na twarz. Tak padamy ciągle w trójkę, jeden po drugim, pomagamy sobie podnieść się i biegniemy dalej. Po drodze gubimy Korna. Drapiemy się pod samą górę i znajdujemy się już na gościńcu. Tu mamy przed sobą dwie drogi. Jedna prowadzi do rogatki Łyczakowskiej, druga do Winnik.

Stajemy na chwilę. Zastanawiamy się, dokąd pójść? Ja mówię, byśmy szli prosto do lasu, Buk mówi, że wpierw musimy pójść do miasta. Udać się na miejsce, gdzie dawniej było ghetto, tu pod ruinami rozwalonych domów schować się na jutrzejszy dzień i dopiero wieczorem wyruszyć do lasu. Ale w każdym razie chcąc się udać do miasta, trzeba znać drogę,

a tymczasem my nie wiemy, w którą się skierować stronę. Na prawo — czy na lewo — iść przed siebie, czy zawrócić. Żałujemy niezmiernie że straciliśmy z oka Korna, bo on jeden znał dobrze tę okolicę. Wreszcie decydujemy się i idziemy na prawo w kierunku Winnik.

Uszliśmy kilka metrów, gdy słyszymy stąpanie ludzi. Przyjaciel mój chce się cofnąć, zaś ja mu mówię, że cofnąć się i pójść inną drogą nie wolno. Mówię mu: „Chodźmy naprzód, odważnie, rozmawiajmy głośno na batiarski jakiś temat". Idziemy więc prosto. Zbliżamy się do ludzi, których kroki słyszeliśmy. Gdy się zbliżyliśmy, ujrzeliśmy, że jest to nie kto inny, jak właśnie nasz zgubiony towarzysz M. Korn wraz z niejakim Lejzorem Sandbergiem, z zawodu szoferem.

Łączymy się razem i tak idziemy w czwórkę. Prowadzi nas Korn, bo on jeden z nas zna drogę. Idąc za nim krok w krok, nie pytamy go nawet, dokąd nas prowadzi. Z wielką ochotą poddajemy się jego przewodnictwu i robi się nam lżej na duszy, że mamy prowodyra. Gdzie tylko natrafiamy na jakiś dołek — przewracamy się, podnosimy jeden drugiego i dalej idziemy. Idziemy jeden za drugim, kierując się słuchem, gdyż jest tak ciemno, że jeden drugiego nie widzi. Idziemy z otwartymi nożami w rękach, gotowi do bójki. Nasza śmierć i śmierć tego, co nas zaczepi.

Pomału wychodzimy z rejonu osiedli ludzkich. Jesteśmy już w polu. Gdy słyszymy, że ktoś idzie, padamy na ziemię, gdy tamci przeszli, podnosimy się i idziemy dalej. Jesteśmy już na Zniesieniu[106]) naprzeciwko fabryki Ruckera. Idziemy w kierunku tutejszej rampy kolejowej. Posuwamy się torem kolejowym w kierunku rzeźni.

Nagle z budki, która stoi przy torze wychodzi dyżurny i pyta: „Kto tam?" Korn jako przewodnik odzywa się „Swój". Kierownik ruchu odpowiada — „A czy nie wiecie, że tędy nie wolno chodzić. Marsz z powrotem"!

„Idziemy" — mówi Korn i oddalamy się z powrotem o kilka kroków.

„A co wy za jedni? Halt"[120]) odzywa się po kilku minutach tamten, jakby się namyślał, co ma mówić.

„To przecież my" — odpowiada Korn.

„Co za my? Stać! Bo strzelam".

„Ta nie strzelajcie, to przecież my" — mówi znowu Korn, i tak mówiąc, cofa się wraz z nami wciąż wstecz.

Dyżurny widząc, że nie stajemy, zaczął strzelać, a my zaczęliśmy uciekać. Ja i Korn odbijamy się osobno na prawo, zaś tamci dwaj biegną torem naprzód i zostają zastrzeleni. Upadli i nie wstali już więcej. Tak utraciliśmy ich.

Ja sam odbiłem się na prawo osobno, a osobno odbił się w tym samym kierunku Korn. Widziałem jeszcze, że popędził tak samo na prawo, ale utraciliśmy łączność. Biegłem tak aż pod sam parkan rafinerii, która się tu znajduje. Tu słyszałem głos dyżurnego rafinerii, który wyszedł na dźwięk leżących tu co krok blach i drutów, o które w biegu ciągle uderzałem nogami.

„Kto tam?"

Położyłem się. Leżę i myślę, co mam teraz robić. Gdzie pójść? Do lasu? Jestem sam. Pójść do miasta i kręcić się po mieście — pierwszy lepszy policjant mnie złapie, gdyż noszę przecież wielki garb na plecach w postaci wyszytej łaty żydowskiej. Nagle słyszę szelest krzaków. Mimowoli z ust moich wyrywa się nazwisko przyjaciela. Po chwili siada koło mnie Korn.

„Czy idziemy dalej" — pyta mnie zcicha po chwili.

„Nie" — odpowiedziałem mu. Narazie musimy odetchnąć i odczekać jaki kwadrans, aż dyżurny się uspokoi. Później pójdziemy dalej.

Siedząc, zaczęliśmy szeptem rozmowę na temat tamtych dwóch towarzyszy drogi. Z pewnością zginęli. A dokąd my teraz pójdziemy? Dokąd?

Wychodzimy na tor, na którym za nami przed kilkoma minutami strzelano. Idziemy tym razem w kierunku Zniesienia Żółkiewskiego. Stoimy już przy rampie. Przed nami biegnie gościniec. W jednym kierunku prowadzi on do miasta, zaś w przeciwnym kierunku na prowincję. Według planu Korna trzeba przejść kawałek drogi przez ulice miasta. Ale jak pójść? Jest to przecież główna ulica, trakt automobilowy, przez który biegną nieustannie samochody tam i z powrotem. Możliwe jest, że zatelefonowano z miejsca na Dienststelle S.D. i oni już wystawili posterunki, żeby nam zamknąć drogę na wszystkich rogatkach. Ale cóż mamy czynić: śmierć albo życie.

Idziemy ulicą. Na ulicy nie widać nikogo. Cicho wszędzie. Księżyc, który wyłonił się w tej chwili, oświecił nam drogę. Nagle zrobiło się na drodze bardzo jasno. Reflektory auta, które w tej chwili zbliża się do nas, rzucają snopy światła. Korn zaczyna szeptać: „Jesteśmy zgubieni", robi mi wyrzuty, że go ciągnąłem, aby szedł przez ulicę. „Nie peszyć się samochodem, iść pewnym krokiem!" odpowiadam mu.

Auto zbliża się do nas. Staje na chwilę. Nie wiem nawet po co. Wyciągamy noże i przygotowujemy się do walki. Sądzimy, że jesteśmy niechybnie zgubieni. Po chwilowym postoju auto rusza dalej.

Oddychamy. Wchodzimy za dom, który stoi tuż koło nas na osobności. Chcemy przeczekać, aż auto całkiem się oddali. Po kilku chwilach wychodzę ja sam, aby zobaczyć czy auto się oddaliło. Z przerażeniem widzę, że właśnie wraca. Może wraca po to, aby nas wylegitymować? Widząc to, cofam się na swoje poprzednie miejsce za dom. Stoimy tu, widzimy, jak auto zbliża się, gdyż reflektory coraz jaśniej oświetlają drogę, naprzeciwko której stoimy.

Nareszcie auto nas mija. Wychodzimy z kryjówki. Idziemy dalej. Noc robi się coraz jaśniejsza, księżyc rzuca swoje blaski, które odbijają się w kałużach wody przy drodze. Z zaciemnionych okien wyłaniają się, jakby ukradkiem, z boku rąbki światła.

Mieszkania. Jakże szczęśliwi są ludzie, którzy mają mieszkania! W mieszkaniu tym napewno siedzi jakaś para małżeńska i opowiada sobie o przejściach dnia, snując dalsze plany życia. Przy ścianie stoi napewno łóżko zasłane czystą, śnieżno białą a może i brudną pościelą. A może nawet wogóle na łóżku tym pościeli nie ma. Ale zawsze leży tam jakiś łachman do nakrycia, jakiś łach pod głowę. Ach, jak ci ludzie są szczęśliwi! Sami o tym nie wiedzą. Gdyby oni tak widzieli, jak idą ulicą dwaj ludzie umazani błotem, przemoknięci, zmęczeni, ze spuszczonymi głowami. Przed oczyma widzą śmierć i nie wiedzą dokąd iść dalej. Byliby przecież najszczęśliwsi, gdyby mogli wejść bodaj do jakiejś ciemnej piwnicy, narazie choć na jedną noc.

Słychać szczekanie psów, które pilnują śpiących gospodarzy. Całe miasto pogrążone jest w głębokim śnie. Mija północ. My ciągle idziemy, idziemy i idziemy. Idziemy, a znajdujemy się ciągle jakby w tym samym miejscu. Nareszcie zbliżamy się do mostu nad Pełtwią od strony ulicy Zamarstynowskiej. Tu stajemy. Patrzymy w dół. Przecież tu byliśmy wszyscy umówieni. Nikogo nie ma. Może dlatego, że wszyscy padli na drodze, a może wszyscy już tu się zebrali, a widząc, że nas tak długo nie ma, odeszli. Pozostaliśmy we dwóch.

Zakończenie.

Korn ma na Kleparowie[106]) znajomego Polaka. Idziemy więc do niego. Ale jak wejść do jego domu? Tam i inni mieszkają. A jest około godziny pierwszej w nocy, więc brama jest zamknięta. Gdy zapukamy do bramy może wyjść ktoś obcy, a wtedy jesteśmy zgubieni. Wpadam na pomysł. Ponieważ tamten jest furmanem, więc mówię by zapukać do bramy, a gdy ktoś wyjdzie, poprosić, żeby zawołał tego znajomego. Pukać miał Korn i tłumaczyć się, że nie może sam wejść, bo boi się wóz z koniem zostawić na ulicy. Ja miałem się nie pokazywać. Więc idziemy. Stoimy już koło domu, gdzie mieszkał znajomy. U wejścia do domu znajduje się kilka schodków. Pod tymi schodkami pustka. Tu się schowałem, żeby mnie nikt nie widział, a mój towarzysz wszedł na schodki i zapukał do bramy. Puka, puka. Aż nareszcie po długim pukaniu (bo boją się otwierać z powodu napadów nocnych, które się teraz często zdarzają) odzywa się głos. „Kto tam?" „Do Macieja B." odpowiada Korn. „Kto tam?" pyta się raz jeszcze ten sam głos. „Proszę go zawołać i powiedzieć, że ktoś czeka na niego z koniem" — odpowiada Korn.

Po kilku minutach słychać kroki. Ktoś idzie, ale nie sam, tylko z kobietą. Słychać, jak ona szepce mu ciągle „Ja boję się, żebyś ty poszedł". Nareszcie otwierają się drzwi. Znajomy wychodzi. Widząc, że to Korn, wszystko zrozumiał i schodzi z nim na dół. Skręca w boczną ulicę, gdyż dom był narożny, a ja tymczasem siedzę dalej pod schodami i słyszę jak żona, czekając na powrót męża, rozmawia z sąsiadem, który ich zawołał. A to że tamci długo siedzą, że może się coś stało, a to że trzeba pójść zobaczyć, co robią. Nareszcie słyszę, jak tamten wraca sam, bez Korna, wchodzi do domu, zamyka bramę. Dlaczego? Co? Nie wiem, leżę pod schodami dalej, nie mam innej rady. Po kilku minutach słyszę, jak znowu otwiera się brama, ktoś schodzi i stanął koło tej dziury, gdzie ja leżę. Wstrzymuję oddech, po kilku sekundach słyszę szept „Chodź". Wstaję i idę. Wprowadzono mnie do komórki, która znajduje się za domem. Tam już zastaję Korna. Znajomy jego zamyka drzwi komórki i odchodzi. My kładziemy się na ziemi i leżymy. Leżymy i uwa-

żamy na każdy oddech, żeby nie był za głośny. Leżymy, a każda minuta wydaje się nam rokiem.

Około 5-tej nad ranem ktoś idzie. Otwierają się drzwi i wchodzi nasz gospodarz. Przyniósł nam śniadanie. Ale komu chce się jeść? Odzywa się cichym ledwie słyszalnym głosem: „No, co robimy dalej? Widzicie przecież, że tu nie ma dla was kryjówki".

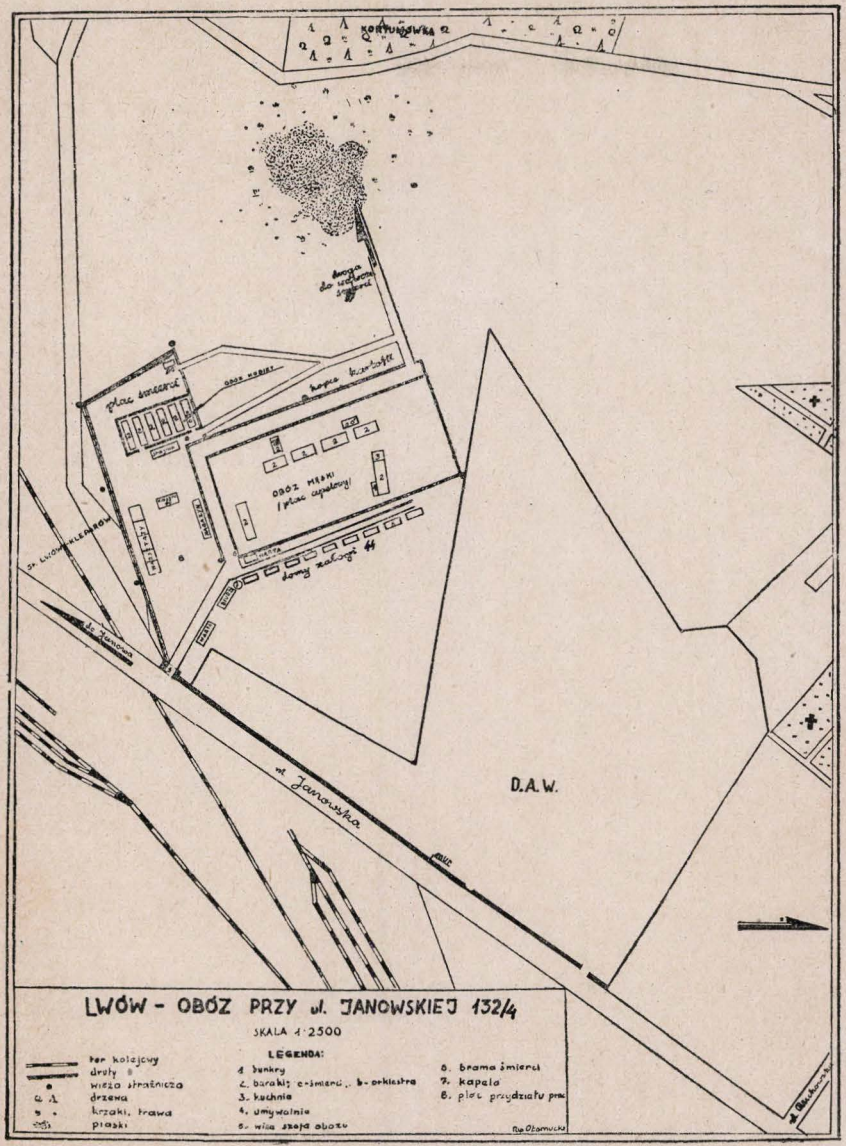
Korn prosi go, żeby nas zaprowadził do innego znajomego Polaka. Ten zgadza się. Więc idziemy. Na dworze już świta. Odległość do nowego miejsca jest nieduża. Jesteśmy na podwórzu nowego gospodarza. Nie jest to dom taki, jak poprzedni, w którym mieszka kilka rodzin. Ten dom wygląda jak wiejska chałupa. Stoimy na podwórzu z nowym gospodarzem, a tamten odchodzi.

Jesteśmy już sami. Teraz dopiero zaczynamy rozmawiać, gdzieby on mógł nas schować, ponieważ dotychczas udawano za milczącym porozumieniem, że on ma nas gdzieś dalej zaprowadzić. Jeden bał się drugiego. Powiada, że zrobi schron tu w piwnicy, ale narazie idziemy do stodoły. Zaraz dajemy mu pieniądze, żeby poszedł przynieść nam jedzenie. Prosimy go też, żeby poszedł na miejsce, gdzie mieliśmy się spotkać z innymi kolegami pod mostem na ulicy Kleparowskiej, nad Pełtwią. Odszedł. My siedzimy w tej stodole w słomie. Boimy się poruszyć, bo słoma szeleści. Nareszcie po godzinie gospodarz nasz przychodzi. Opowiada nam, że był na tym miejscu, gdzie mieliśmy się wszyscy spotkać. Gdy szedł w tamtą stronę, widział średniego wzrostu mężczyznę, bruneta lat około czterdziestu. Siedział nad rzeką z opuszczoną głową, a potem nagle podskoczył, rzucił się do wody i utonął. Zrozumieliśmy, że za długo tam czekając na kolegów, zwątpił o ratunku i popełnił samobójstwo. Przedwcześnie się załamał.

U tego gospodarza siedzieliśmy przez trzy dni. Po trzech dniach musieliśmy opuścić to miejsce i to nawet bez jego wiedzy, bo otrzymawszy od nas pieniądze, poszedł pić i o nas zapomniał. Nie przychodził do domu i nikt nam nie podawał jedzenia, my baliśmy się wyjść nawet za naturalną potrzebą i bylibyśmy zginęli z braku jakiejkolwiek pomocy, gdyby do kryjówki naszej nie był przyszedł ojciec gospodarza, który się nami zaopiekował, zabierając nas do siebie. U niego znajdował się schron, w którym siedziało 22 Żydów. Z naszym przyjściem liczba ukrywających się wzrosła do 24. O życiu w tym schronie i o dalszych przeżyciach napiszę osobno.

Chcę tylko jeszcze nadmienić, że w kilka dni po przybyciu moim do schronu wydobyłem zapiski, które prowadziłem podczas pobytu w „Brygadzie śmierci", do czego miałem okazję, przechowując jako porządkowy w baraku papier i ołówki, przeznaczone dla rachmistrza zapisującego codzień liczbę spalonych trupów.

Zabrałem się do spisywania moich pamiętników z czasu wojny, których trzecią część stanowią podane tu dzieje moich przeżyć w „Brygadzie śmierci".


KOMUNALNA
droga do ogólnego użytku
plac apelowy
droga kwatermistrzowska
OBÓZ KOBIET
OBÓZ MĘSKI (plac apelowy)
domy załogi
ul. Janowska
D.A.W.
LWÓW - OBÓZ PRZY ul. JANOWSKIEJ 132/4
SKALA 1:2500
LEGENDA:
tor kolejowy
druty
wieża strażnicza
drzewa
krzaki, trawa
piaski
1. bunkry
2. baraki: a-śmierci, b-orkiestra
3. kuchnie
4. umywalnie
5. wilia zasób obozu
6. brama śmierci
7. kaplica
8. plac przydziału prac

OBJAŚNIENIA.

1) W dniu 25, 26 i 27 lipca 1941 miały miejsce we Lwowie łapanki uliczne i mordy ludności żydowskiej, dokonywane przez ukraińską policję pomocniczą, pod hasłem odwetu za zabicie atamana Semena Petlury. Dla „uczczenia" rzekomo przypadającej w te dni rocznicy zamachu Schwarzbarda, który w rzeczywistości dokonał swego czynu w maju r. 1926, zabitych zostało we Lwowie w tzw. „dni Petlury" wśród okropnych tortur kilka tysięcy Żydów (por. dr Filip Friedman „Zagłada Żydów lwowskich" str. 7).

2) Akcję definitywnej likwidacji ghett w niektórych okolicach nazywano „Judenfrei". Judenfreimachung — oczyszczenie z Żydów.

3) Pomieszczenie, w którym znajdują się krany z wodą i urządzenia do mycia.

4) Brygady lagrowe — drużyny robocze, pracujące na terenie obozu w warsztatach obozowych, w magazynach, przy utrzymywaniu czystości lub przy reperacji i rozbudowie urządzeń obozowych. Głównie chodzi tu o to, że nie wychodząc na placówkę pracy do miasta, pracownik brygady lagrowej nie ma okazji do szmuglu i handlu żywnością.

5) Żydowska milicja obozowa przeznaczona do egzekwowania przepisów regulaminu i dyscypliny obozowej oraz utrzymania porządku.

6) Kombinezony robocze.

7) W obozie Janowskim we Lwowie, podobnie jak we wszystkich większych obozach, znajdowała się orkiestra, złożona z muzyków żydowskich, wśród których nie brak było znakomitych wirtuozów. Wygrywając w nieskończoność różne marsze i taneczne melodie, dawali oni niesamowite przez kontrast tło wokalne koszmarnej rzeczywistości obozu. Witali wracających z pracy i żegnali wychodzących do pracy lub na śmierć, wtórowali swoją grą makabrycznym wybrykom i sadystycznym wyczynom obozowych katów.

8) Porównaj plan obozu Nr 6. Przy bramie tej odbywały się selekcje i część robotników lub całe brygady kierowane były stąd na rozstrzelanie.

9) Maschinenpistole — pistolet maszynowy.

10) Baczność, czapki zdjąć.

11) Padnij!

12) W lewo zwrot, równym krokiem marsz.

13) Brygada stać.

14) Służba pomocnicza, rekrutująca się ze steroryzowanych perspektywą śmierci głodowej lub masowego mordu oraz obałamuconych perfidną propagandą niemiecką, jeńców sowieckich. Nazwa „askarów" pochodzi podobno od szefa obozu Janowskiego Willhausa. Nazwą tą oznaczano przed pierwszą wojną światową w niemieckich koloniach afrykańskich członków tubylczej policji pomocniczej.

15) Rozebrać się.
16) Obróć się.
17) Budowa drogi Kulików—Żółkiew.
18) Porównaj plan obozu. Pustkowie oznaczone tą nazwą zasłynęło podczas niemieckiej okupacji, jako teren egzekucyj.
19) Ażeby uniknąć odruchów rozpaczy ze strony ofiar, przeznaczonych na śmierć oraz związanego z tym dla siebie niebezpieczeństwa, Niemcy starali się zawsze i wszędzie do ostatniej chwili maskować różnymi kłamstwami mordercze zamiary.
20) Sechs — sześć. Pospolicie używany sygnał ostrzegawczy.
21) Czapki włożyć!
22) Porządkowi, sprzątacze.
23) Brygada cmentarna.
24) Menażka.
25) Stopień podoficerski w SS.
26) Dość, dość!
27) Pierwszy stopień oficerski w SS.
28) Szupo — skrócone Schutzpolizei — straż bezpieczeństwa.
29) Wysiadać.
30) Nie bójcie się.
31) Kto z was był brygadierem?
32) Dosłownie — naczelny Żyd — żydowski komendant danej jednostki.
33) Kto z was jest stolarzem?
34) Placówka służbowa SD we Lwowie znajdowała się przy ul. Pełczyńskiej obok remizy tramwajowej.
35) Schron — pomieszczenie.
36) Czy masz dosyć kul?
37) W prawo zwrot.
38) Wziąć się pod ramiona.
39) Naprzód.
40) Ale wolnym krokiem.
41) Porównaj plan obozu „obóz kobiet".
42) Deutsche Ausrüstungswerke — Warsztaty wojskowe, por. plan obozu.
43) Porównaj plan obozu.
44) Palacz i rachmistrz wydzielą kolację, por. str. 43.
45) Co się tu dzieje? Natychmiast ma być spokój.
46) Natychmiast się położyć.
47) Jazda, prędzej, dlaczego pracujesz tak pomału?
48) Hej ty, prędko, chodź na górę.
49) Por. plan obozu.
50) Plutonowy.
51) Wyjść.
52) Straż.
53) „Feder-Daunen" — Pierze i puch. Nazwa niemieckiej firmy prywatnej, zajmującej się eksploatacją tych artykułów, stanowiących część spuścizny po Żydach.

54) Stopnie SS następują po sobie w następującej kolejności: Sturmmann-szeregowiec, I stopień — Unterscharführer, II-gi stopień — Scharführer, III-ci stopień — Oberscharführer, IV-ty stopień — Hauptscharführer, V-ty stopień — Sturmscharführer. I stopień oficerski — Untersturmführer, II stopień oficerski — Sturmführer III stopień oficerski itd.

55) Sicherheitsdienst.

56) Marsz stąd!

57) Wstać.

58) Dwóch ludzi na górę.

59) Kto z was narzeka? (dosłownie „wymyśla").

60) Ja.

61) Chodź!

62) Tak, ty, ty.

63) Dlaczego właśnie ja?

64) Nie paplaj tyle, odwróć się!

65) Wachmistrz.

66) Tylko przyzwoicie, a czysto.

67) Ale.

68) Będę o was dbał, jak ojciec o własne dzieci.

69) Palenisko, por. str. 61.

70) Nadporucznik.

71) Hej, taka twoja mać, pocoś mnie wydała na świat? Takie życie, takie życie — bodajbyś mię była poroniła (domyślne: matko).

72) Rosyjska karawana.

73) Brygada popiołowa, por. str. 55 i 56.

74) Okrzyk popędzania.

75) Występować piątkami.

76) Herszku prędzej!

77) Niech wszyscy wyjdą!

78) Zela 19 — Niemiecka firma prywatna pracująca na zlecenie H.K.P. (Heereskraftfahrtpark) tj. wojskowych zakładów samochodowych.

79) Wszystko dla was załatwię, ale przyzwoicie i czysto musi tu być. Tylko tych 2 rzeczy od was wymagam i za to będę o was dbał jak ojciec o swoje dzieci. Gdy się jednak na was zawiodę, wówczas będę bez litości.

80) Ale uważajcie — wtedy będziecie u mnie żyli 20 lat. Co mówię 20 — 100 lat żyć będziecie. Pracy mamy jeszcze mnóstwo. Pojedziemy jeszcze do Meksyku. Tylko uważajcie, tylko czysto i porządnie! Herszku, staraj się rozdzielić sprawiedliwie rzeczy.

81) Czyście zrozumieli, co ja do was mówiłem? A więc dobrze.

82) No, jeszcze więcej o was będę dbał, tylko mi o czystość i porządek dbać. Do roboty, dzieci, do roboty!

83) Szpital. W tym wypadku ukryte znaczenie — śmierć.

84) Czy jest ktoś chory?

85) Nikt, pytałem się i nikt się nie zgłosił.

86) Poszukiwacze złota z Alaski.

87) Namiot...

88) Co to, śpicie jeszcze?

89) Placówka pracy przy lotnisku.

90) Czy jesteś zadowolony, czy może wolałbyś wrócić do obozu?

91) Ale gdzież tam, panie Untersturmführerze, przecież mam tu co jeść i pić.

92) A jednak wiem, że chciałbyś wrócić do obozu. Ktoś z was mi powiedział, że masz tam ochotę wrócić.

93) Dnia 1 września 1942 r., tytułem odwetu za prawdziwy czy rzekomy zamach Żyda lwowskiego na niemieckiego funkcjonariusza gestapo, powiesili na balkonach i oknach lokalu rady żydowskiej, mieszczącej się w domu narożnym przy ul. Jakóba Hermana i Łokietka, prezesa Rady Żydowskiej dr. Landesberga i 12 członków milicji żydowskiej (por. dr. Filip Friedman „Zagłada Żydów lwowskich" str. 20).

94) Pójść, w znaczeniu: pójść na śmierć.

95) Herszel, co słychać?

96) Por. życiorys, str. 28.

97) Most kolejowy nad ulicą Zamarstynowską, pod którym przechodzić musiały podczas przeprowadzki do dzielnicy żydowskiej, położonej za torem kolejowym, tłumy ludności żydowskiej wraz z dobytkiem, nazwany został przez Żydów „mostem śmierci". Przeprowadzka odbywała się w miesiącu listopadzie i grudniu i przy tej okazji policja niemiecka i ukraińska przeprowadziła większą akcję, wyłapując i wywożąc na stracenie, pod pozorem niezdolności do pracy, kilka tysięcy ofiar, głównie kobiet. (Por. op. cit. str. 12 i 13)

98) Dziesięć figur niech wystąpi.

99) Po wkroczeniu Niemców do Lwowa 29 czerwca 1941 r. aresztowali oni w piątek, dnia 4 lipca prof. Kazimierza Bartla, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Antoniego Cieszyńskiego, Władysława Dobrzanieckiego, Jana Greka z żoną, Jerzego Grzędzielskiego, Henryka Hilarowicza, ks. Komornickiego, Włodzimierza Krukowskiego, Romana Longchampsa de Berier z trzema synami, Antoniego Łomnickiego, Stanisława Malczewskiego, Witolda Nowickiego ze synem, Osterna, Tadeusza Ostrowskiego z żoną, Stanisława Piłata, Romana Ręckiego, Stanisława Rocha z rodziną, Włodzimierza Sieradzkiego, Kaspra Ba gla, Romana Witkiewicza i innych, których po wywiezieniu na Wólkę rozstrzelano. Razem wtedy padło ich 38, por. „Los uczonych jednego miasta" w jęz. ros. Wyd. staraniem Komitetu uczonych ZSRR w Moskwie w 45 r. oraz art. Józefa Sieradzkiego „Z każdym świtem umieraliśmy" — Odrodzenie Nr 47 z dnia 21 października 1945 r.).

100) Tefilin — wkładane podczas modlitwy porannej w dnie powszednie na czoło i łokieć lewej ręki, przytwierdzone do rzemyków małe skórzane futerały, zawierające wewnątrz napisany na pergaminie werset Pisma Świętego.

101) Dlaczego jesteście tacy głupi? Dlaczego nie położycie tak figury, by ją wam nie tak ciężko było nosić?

102) Tak, tak, gdyby oni nie byli tacy głupi, toby już dawno nie żyli.

103) Tak, ojczulku, pojedziemy jeszcze do Ameryki i mamy jeszcze na tysiąc lat roboty.

104) Życie jest twarde i bezlitosne.

105) W ciągu 5 minut wszyscy mają być ubrani i z hakami na ramieniu stać przed namiotem.

106) Przedmieście Lwowa.

107) Wszyscy zejść!
108) Równym krokiem naprzód.
109) Pierwsza piątka niech wystąpi.
110) Niech ta kupa się zbierze.
111) Odliczyć!
112) Baczność, czapki zdjąć! W lewo patrz!
113) Melduję posłusznie, 120 ludzi stoi do apelu.
114) Brygadami wystąpić!
115) Hauptsturmführer Warzog objął komendę nad obozem Janowskim po ustąpieniu Willhausa w 1.VII 1943.
116) Wjeżdżać z tym g... em!
117) To jest nasze komando 1005. Jednostka niemiecka SD przydzielona do usuwania śladów zbrodni niemieckich w okręgach lwowskich figurowała w niemieckiej ewidencji urzędowej jako Sonderkommando 1005.
118) Panowie, darujcie mi życie!
119) Hotel i restauracja przy ul. Legionów we Lwowie.
120) Stój.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	7 — 9
Uwagi wstępne	11 — 23
Mój życiorys	25 — 27
Rozdział I.	
Ostatni dzień w obozie	29 — 34
Rozdział II.	
W brygadzie śmierci. Więzienie śmierci. Co robiono w wąwozie?	35 — 44
Rozdział III.	
Praca „Na piaskach". Ulubieniec Untersturmführera. Kiedy belka z rąk się wyślizgnie... Obiad wśród trupów. Pewien ojciec miał dwie córki. Sen	45 — 50
Rozdział IV.	
Jeszcze nas nie zabijają. Powiększają brygadę. Chłopak, którego złapano po „aryjskej stronie". Widoki ucieczki. Jeden się powiesił. Jeden uciekł. „Quatsch nich soviel- dreh dich um!"	51 — 54
Rozdział V.	
Nowy tydzień się rozpoczął. „Brygada popiołowa". Na własnym gospodarstwie—„Obóz na piaskach". „Anständig und sauber"	55 — 60
Rozdział VI.	
Nowe groby. Sposób wyciągania i palenia trupów. Dół zasypany. Ziemia wyrównana, zasiana trawą	61 — 63
Rozdział VII.	
Nawiązujemy interes z Szupo. Komendant pragnie widzieć wesołe twarze i słyszeć śpiew. Dbałość o opiekę sanitarną. „Alarm lotniczy" i co pod tym należy rozumieć. Jak zaopatrują nas w nowe ubrania. Jeszcze jedno przemówienie .	64 — 68

Str.

Rozdział VIII.

Udar słoneczny czy tyfus. „Krankenhaus". „Apel językowy". Brygada się kurczy . . . . . 69 — 71

Rozdział IX.

Stosy, stosy . . . . . 72 — 74

Rozdział X.

Trupie dowcipy. Hilda. Nowe ofiary. Nasz „dobroczyńca" i „wychowca". Beczka piwa. „Wesoła stypa" . . . . 75 — 78

Rozdział XI.

„Brygada „siewna". „Czarne kruki". Uzupełniają skład brygady. Rowy na krew. Nowych 9000 trupów. Losy naszego zbiega. Untersturmführer wyjeżdża na urlop. Lufko. . . 79 — 83

Rozdział XII.

Djabły z rogami. Młyn do mielenia kości. Koniec roboty „na piaskach". Ślady zatarte . . . . . 84 — 85

Rozdział XIII.

W oczekiwaniu przeniesienia na nową placówkę pracy. Bajka o cyrku. Kogo bolą zęby? Wycieczka do obozu. Przywożą nam kobiety. Jeszcze jeden grób . . . . . 86 — 89

Rozdział XIV.

Przeprowadzka. Myśli Żyda w przejeździe przez miasto. W Krzywickim lesie. Nowy obóz i jego organizacja. . . . 90 — 93

Rozdział XV.

Nowe groby, nowe „figury". Handel z szupowcami kwitnie. Mamy muzykanta. Sprzeczne pogłoski o wyjeździe brygady na prowincję. Wieczorne spacery, szepty, plany ucieczki . 94 — 95

Rozdział XVI.

Pod burakami. Prof. Bartel i inni. Zwózka trupów z okręgu lwowskiego. . . . . 96 — 97

Rozdział XVII.

Modlitwa w brygadzie. Pobożni i niepobożni. Dziwne typy. Kto przyniósł rewolwer? „Operowy śpiewak". „Głupi Awrum". „Gdyby nie był głupi, toby nie żył..." Rozmowa o polityce . 98 —102

Rozdział XVIII.

St

Znowu alarm lotniczy. „Żywy trup". Jak się wykańcza ludzi? Nasi praktykanci. Dlaczego tak długo żyjemy? . . . 103—107

Rozdział XIX.

Ratowanie żywych trupów. Dlaczego trupy „na piaskach" miały otwarte usta? „Patrz, prowadzą..." . . . . . 108—110

Rozdział XX.

Jak była przeprowadzana akcja w obozie? Mamy już orkiestrę. Aptekarz zastępuje lekarza. Tajne posiedzenia. „Morowi" i „niemorowi". „Hiki-Piki" . . . . . 111—113

Rozdział XXI.

Wypad nie doszedł do skutku. Przygotowania do likwidacji obozu . . . . . 114—116

Rozdział XXII.

Plan działania. Przy dźwiękach muzyki. Udało się, ale niezupełnie. Uciekamy. Jeden nie chciał uciekać. . . . 117—121

Rozdział XXIII.

Dokąd się udać? Towarzysze niedoli. Na Zniesieniu. Upadli i nie wstali już. Odnalezienie towarzysza. Spotkanie z autem. Ach, jacy ci ludzie są szczęśliwi! . . . . . 122—125

Zakończenie . . . . . 126—128

Objaśnienia . . . . . 129—133

SPIS FOTOGRAFII.

1. Fotografia autora.
2. „Wąwóz śmierci", miejsce stracenia dziesiątek tysięcy Żydów ze Lwowa i okolicy. Zdjęcie zrobione po wyzwoleniu Lwowa w rocznicę likwidacji ghetta lwowskiego.
3. Wyciąganie trupów z masowych grobów.
4. Na cmentarzu.
5. Plan obozu Janowskiego we Lwowie.

Uwaga. Podane zdjęcia ilustrują metody stosowane przez faszystów niemieckich, ale nie wszystkie pochodzą z obozu Janowskiego we Lwowie. Wobec tego, że tematowo odpowiadają treści pamiętnika niniejszego, umieściliśmy je w tym wydawnictwie.

WYDAWNICTWA

Centralnej Żydowskiej Komisji Historycznej

w Polsce

Ukazały się w druku:

1. Instrukcje dla zbierania materiałów historycznych z okresu okupacji niem. Str. 22.
2. Instrukcje dla zbierania materiałów etnograficznych z okresu okupacji niem. Str. 14.
3. Instrukcje dla badania przeżyć dzieci żyd. w okresie okupacji niemieckiej. Str. 16.
4. Metodyczne wskazówki do badania zagłady żydostwa polskiego (w języku żydowskim) str. 47.
5. Dokumenty zbrodni i męczeństwa (wyd. Oddziału krakowskiego) 214 + VX.
6. Mapa obozów na Dolnym Śląsku. (wyd. Oddziału katowickiego).
7. Album zdjęć fotograficznych p. t. „Zagłada żydostwa polskiego" w opracowaniu *Gerszona Taffeta.*
8. *Dr. Filip Friedman* „Zagłada Żydów lwowskich". Str. 38.
9. *Gusta Draenger* „Pamiętnik Justyny" (wyd. Oddziału krakowskiego). Str. 126.
10. *Michał Borwicz* — „Uniwersytet Zbirów" (wyd. Oddziału krakowskiego). Str. 112.
11. *M. Gebirtig* — Tom pieśni ghettowych (wyd. Oddziału krakowskiego). Str. 37.
12. *Rudolf Reder* — „Bełżec" (wyd. Oddziału krakowskiego) Str. 65.
13. *Dr. Szymon Datner* „Walka i zagłada białostockiego ghetta" (wyd. Oddziału białostockiego).
14. Dokumenty i materiały do dziejów Żydów w Polsce pod okupacją niemiecką, tom I „Obozy", w opracowaniu *N. Blumentala.*

W druku:

1. *Sz. Szajewicz* — Pieśni ghetta.
2. Dokumenty i materiały do dziejów Żydów w Polsce pod okupacją niemiecką. Tom II — Wysiedlenia i akcje, w opracowaniu *Dr. J. Kermisza.*

W przygotowaniu:

1. Podziemny ruch w ghettach i obozach — Materiały i dokumenty w oprac. *B. Ajzensztejn.*
2. *Rachela Auerbach* — Na polach Treblinki (reportaż).
3. *Rachela Auerbach* — Z ludem pospołu (Żałobna kronika zagłady pisarzy i artystów żydowskich w Warszawie).
4. *Jan Mawult* — Moje wspomnienia (Ghetto Warszawskie wyd. Oddz. Warszawskiego).
5. *Bluma Wasser* — Sobibór — (Wyd. Oddz. Warszawskiego).
6. *Róża Bauminger* — Skarżysko — Kamienna — (wyd. Oddz. Krakowskiego).
7. Mapa obozów na terenie Polski (wyd. Oddz. Katowickiego).
8. Martyrologia dzieci żydowskich pod okupacją niemiecką. Materiały i dokumenty w oprac. *N. Grüssa.*
9. *Michał Borwicz* — Literatura w obozie janowskim (wyd. Oddz. Krakowskiego).
10. *H. Wasser i G. Taffet* — Album zdjęć fotograficznych — Ghetto warszawskie (wyd. Oddz. Warsz.).
11. *G. Taffet* — Album zdjęć fotograficznych Nr 3 — „Łódź".

C. Nr 9-012026

DS
135
.U42
L86
1946